

TAK BARDZO POTRZEBUJĘ TWOJEJ AKCEPTACJI. ROBIĘ WSZYSTKO, ŻEBYŚ BYŁA ZE MNIE
DUMNA I ZADOWOLONA. CZY KIEDYŚ USŁYSZĘ OD CIEBIE TE DWA PROSTE, PIĘKNE SŁOWA?

Grażyna
Mączkowska



Powiedz,
że mnie kochasz,
mamo

Grażyna
Mączkowska

Powiedz,
że mnie kochasz,
mamo



Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Iwona Krynicka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Renata Kuk, Ewa Mościcka*

Zdjęcie na okładce:

© Mark Owen/Trevillion Images

© for the text by Grażyna Mączkowska

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2015

ISBN 978-83-7758-999-1

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2015

Wydanie I

*Każde życie jest powieścią.
Przemkowi i Radkowi,
najukochańszym moim synom.*

Spis treści

Prolog

Część pierwsza Ekspresem przez dziewięć lat

Część druga Niekochana, znaczy Gabriela

Część trzecia Gabi i jej mazurskie życie

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Prolog

Sto lat. Wiek. Mam za sobą jego połowę. Druga przywitała mnie pięknym słowem: „córaniu”. Tak nazwał mnie pewnego dnia starszy pan, obcy człowiek. Ojciec innych dorosłych córek i synów. Na dźwięk tego słowa inaczej zabiło moje serce... Najpierw z niedowierzania, potem z radości i błogości, jakie poczułam. Zakochani mają motyle w brzuchu, ja miałam je wtedy w sercu. Niezliczoną ilość razy słyszałam to słowo, lecz nigdy nie było ono skierowane do mnie.

- Moja córka jest tam.
- Córki nie ma.
- To dla córki?
- Gabriela to nasza córka.

Oto zdania o mnie, wypowiedziane do innych. A ja byłabym szczęśliwa, gdyby dwa proste słowa „moja córko” były skierowane do mnie.

Tymi samymi słowami może się zwrócić starsza osoba do młodszej kobiety, nawet jeśli między nimi nie ma relacji rodzinnej. Jednak tamtego dnia w ogóle o tym nie pomyślałam. Przyjęłam „córaniu” dosłownie, z niewyobrażalnego głodu podobnie cudownych słów, którymi rodzice obdarowują swoje dzieci. Normalni rodzice, w zdrowych rodzinach. Prawda jest taka, że cierpię na niedosyt ciepłych słów i miłości – rodzicielskiej, bo są przecież różne. Innymi jestem wysycona po brzegi. Tej jednej nie doznałam...

Widocznie niektórym do pełni szczęścia potrzebne są wszystkie.

Gabrysia

Śpij, moja córeczko.

Śnij sny kolorowe.

Daj odpocząć warkoczykom,

Sukieneczkom i bucikom.

Luli, luli, lu,

Mama będzie tu.

Otuli cię pierzynką,

Śpij, słodka kruszynko.

Część pierwsza

Ekspresem przez dziewięć lat

Jest późne lato. Gorące. Jeszcze eksponuje swoje kolory, chociaż czuć, że jesień jest tuż za płotem. I to ona za chwilę przejmie paletę barw. Siedzimy z Gabrysią na tarasie mojego domu w lesie i wspominamy lata naszej znajomości, która przerodziła się w przyjaźń. Wpadła do mnie na degustację nalewki aroniowej rocznik 2013.

Wiele osób uważa, że wszystko, co nas w życiu spotyka, jest z góry zaaranżowane, zapisane, a my, czy tego chcemy, czy nie, żyjemy według tego scenariusza. I wszystko ma jakiś cel. Cel wytyczony oczywiście nie przez nas. Ja nie należę do tej grupy. Niestety, Gabi tak.

Sączymy więc sobie moją naleweczkę z maleńkich kieliszków, lica wystawiamy do ostatnich promieni letniego słońca i rozmawiamy o sprawach nazywanych przez moją przyjaciółkę tematami z wyższej półki.

– Jeśli wszystko ma jakiś cel, to po cholere mieszkać w lesie już dziewiąty rok? Dostrzegasz w tym jakiś sens? Kiedy mieliśmy konie, to owszem, ale teraz? – pytam ją.

– Po to, kochana, żebyśmy się poznały i żebyś napisała list do mojej matki – odpowiada Gabi.

– Co takiego? Zwariowałaś...?

– Tak zapisano w gwiazdach. Miałyśmy się spotkać, zaprzyjaźnić, miałaś poznać moją historię. I tak się stało. To właśnie ty masz mi pomóc przedstawić jej moje dzieciństwo widziane moimi oczyma, z mojej perspektywy, nie jej. Skoro nic do niej nie dociera i w żaden sposób nie potrafimy się porozumieć, to tylko list może uświadomić jej ogrom tego, co wraz z ojcem zafundowali mi w dzieciństwie, i jak to wpłynęło na moje dorosłe życie.

– Oj, przestań, nie możesz sama? – Jestem trochę oburzona.

– Nie mogę. Nie potrafię. Czy ona w ogóle chciałaby zrozumieć moje pisanie? Ty już wszystko wiesz i jestem pewna, że potrafisz uporządkować to, o czym przez lata ci pisałam. Tylko ty potrafisz ogarnąć w logiczną całość mój chaos myślowy, bo tylko ty wiesz o mnie wszystko, moja druga połówka gruszki. I tak pięknie piszesz, tak kolorowo, obrazowo, że jak

czytam maile od ciebie, to jakbym z tobą była, widziała i przeżywała to, co ty.

– Hm... Kto dziś pisze listy na papierze?

– Moim rodzicom jest obcy cały ten nasz e-świat. Oni mają niemal po osiemdziesiąt lat. Nawet nie mają komputera! Nie można nikogo zmusić do słuchania. Tym bardziej przez telefon. Jak się nie chce czegoś wysłuchać i przyjąć do wiadomości, to się nie przyjmie. List to co innego, dla każdego jest wielką niewiadomą, dopóki się go nie przeczyta. Człowiek z natury jest ciekawski. Zazwyczaj nie wyrzuca się listów przed przeczytaniem.

– No, niby tak.

Nagle Gabrysia zerwała się z fotela, energicznie przeszła całą długość tarasu, zawróciła w moją stronę, stanęła i trzymając jedną dłoń na czole, jakby coś jej się rodziło w głowie, wypaliła, wskazując na mnie palcem.

– Najlepiej od razu napisz książkę! Ależ by to było! Książka to... prestiż, rozumiesz?

– Czy to możliwe, żeby trzy, cztery naparsteczki aroniówki mogły ci aż tak zaburzyć logikę myślenia i poczucie realizmu? – zapytałam, po czym wykrzyczałam: – Nie jestem pisarką!

– Posłuchaj, byłoby wspaniale! Zbierzesz w książkę wszystko, co zawarłam w mailach do ciebie. Ktoś doceni twój tekst i go wyda. Książka znajdzie się w księgarniach, a ja jedną wyślę matce. Ojciec też przeczyta. Albo wyślę im dwie, żeby czytali równocześnie. Może po lekturze ojciec wypowie to słowo, na które czekam od dziesięcioleci: „przepraszam”. To dopiero byłoby coś! Książka to zupełnie inne źródło wiedzy niż moje gadanie. Książka! O matko, to się musi stać. Już nie wyobrażam sobie innej możliwości. Spisanie tego wszystkiego wreszcie przyniesie mi ulgę, osiągnę spokój, raz na zawsze zrzucę ciężar smutnych przeżyć. Wielu dorosłych ludzi nękają demony przeszłości, może moja historia komuś pomoże...? Może ktoś, kto dziś znęca się nad swoimi dziećmi, zastanowi się nad ich przyszłością...? Pomyśli, zajrzy w serce swojego dziecka, w oczy...

Siedzimy chwilę w milczeniu, Gabi chyba jeszcze bardziej zdziwiona ode mnie, jakby dopiero teraz dotarł do niej sens jej własnego słowotoku.

– Wiesz, czuję, że wtedy wszystko przeniesie się z mojej pamięci do książki, że przestanę grzebać się w tym, ruszę całą parą do przodu – podsumowuje. – Tamte lata będą leżały na półce, nie w głowie.

Nazwała nas, mnie i siebie, dwiema połówkami gruszki. Gruszki, nie jabłka, bo przecież drugą połowę jabłka mam od bardzo dawna. Natomiast z Gabi poznałyśmy się zaledwie kilka lat temu. Przyjeżdżała do nas, do stajni, z wnuczkami, Oliwką i Nelą.

Życie jest wspaniałym scenarzystą, wymyśla niesamowite sploty wydarzeń i zbiegi okoliczności. I wszystko potrafi w fascynujący sposób spiąć w całość. Okazało się, że Gabrysia i jej mąż – tak samo jak my – kupili dom pod Szczytnem i co jest dla mnie najbardziej niesamowite – tego samego roku i też wiosną! W każde wakacje i wiele razy w ciągu roku przyjeżdżali do nich synowie, najpierw sami, potem ze swoimi dziewczynami, potem z żonami i dziećmi. Przy okazji wpadali do nas na konie – latem, czasem jesienią, raz nawet zimą.

W miarę jak poznawałam Gabrysię, odkrywałam w niej cechy, które uwielbiam w ludziach. Ma podobne do moich priorytety, podejście do życia i wiary. Czyta książki. Mnóstwo książek. Kocha przyrodę, zwierzęta i uwielbia wytrawne białe wino. Jest domatorką, cieszy się z małych rzeczy i jest po pięćdziesiątce! Wymieniamy się książkami, przepisami i potrafimy milczeć na ten sam temat. Obie też kochamy czekoladę. Najlepiej z wiśniami. I znamy się jak łyse konie. Gabi niczego nie udaje, jest bezpośrednia, szczerą. Mogłabym wymieniać jeszcze długo jej cechy charakteru. Jest wspaniała, tylko ma w sobie drugą osobę – Gabrielę, zupełnie inną od tej, która przyjeżdża do mnie. Inną od Gabi. Od lat toczą ze sobą wojnę, nie tolerują się.

W jesienne szarugi i zimowe zawieje pisujemy do siebie maile, a w naszą pogodę (tak, mamy swoją ulubioną pogodę) spotykamy się w swoich domach lub na mieście. To w mailach Gabrysia przez wiele lat opisywała mi swoje dzieciństwo i to, jak ono wpłynęło na jej dorosłe życie. Pisze chaotycznie, targają nią wielkie emocje, jest w niej wiele złości, nienawiści i pretensji. Czy po latach mailowania potrafię to wszystko zebrać w logiczną całość?

Witaj, Gabi! Wszystko, o czym piszesz, czytam bardzo uważnie. Długo po zamknięciu komputera Twoje zdania wciąż zostają we mnie. Choć to bardzo smutne, jednak cieszę się, że obdarzyłaś właśnie mnie tak wielkim zaufaniem, że powierzyłaś mi bardzo osobiste sprawy. Piszesz, że czujesz ulgę po wyrzuceniu z siebie tego, co trzymałaś w głowie przez dziesiątki lat. Tak powinno być. Ulga to normalna reakcja po każdym oczyszczeniu, jakimkolwiek. Jestem z Tobą, Gabi. Zawsze, kiedy tylko masz ochotę, pisz, spotykaj się ze mną, bo w sumie i mnie bardzo często potrzeba bratniej duszy rodzaju żeńskiego (więc chyba siostrzanej, nie?). Całuję, pa! 😊

* * *

Cześć, moja połowo gruszki. Pytasz, co u mnie. Ano, czekam na mazurskie żurawie. Mam nadzieję, że i w tym roku nie zawiodą, i przylecą na moje primaaprilisowe imieniny. Wraz z nimi budzę się na dobre do życia z zimowego snu. Poza tym cierpię na brak słońca, wraz z wiekiem łaknę światła jak kania dżdżu, a zimy jak na złość są coraz dłuższe. Chcę słońca, ciepła i skowronków! Chcę sukienek, sandałków i kwiatów w ogrodzie! Napisałam kiedyś w komentarzu do strony jakiegoś blogera, że „chcę skowronków, żurawi itp.”. Ktoś mi odpisał: „Sprzedam skowronki, żurawie itp.”. Pa, czekam na Ciebie i na maile. Grażka.

* * *

Jestem szczęśliwa, bo na niebie pojawiły się miliony ptasich kluczy (miliony to moja ulubiona liczba). Wraz z czekoladą zjadam milion kalorii, a siedząc na tarasie, rozmyślam pod niebem rozświetlonym milionem gwiazd. Myślę o życiu, o Tobie, Gabi, o moich dzieciach tam gdzieś i o milionie innych spraw.

* * *

O, jest moja wierna para żurawi; wróciły, chodzą sobie dumne po naszej łące i dają nadzieję. Teraz się wszystko zacznie, życie przeniesie się z domu na dwór. Zaczynam działać w ogrodzie. Kopanie, sianie kwiatów, których nasiona sama zebrałam jesienią, przenosiny jednych roślin na miejsce

drugich i na odwrót. To teraz moje jedyne zajęcie. No, może nie do końca jedyne, bo jeszcze piorę, rozwieszam do suszenia, sprzątam, karmię psa, kury, piszę do dzieci, czytam maile od nich i mam męża. Skoro jem, jemy, to i gotuję.

Wpadnę do Ciebie po krzewuszkę, a w zamian przywiozę fajny żółty iglaczek, który z uszczypanej odnóżki wyhodowałam dla Ciebie. Masz wszystkie rośliny świata, ale takiego żółtego jałowca nie masz. I wiesz co? Uświadamiam to sobie i jestem zadowolona! To pa!

** * **

Sianokosy, Gabi, a ja latam z lornetką i liczę bociany. Nie uwierzysz, na naszej i sąsiada łące naliczyłam ich sto piętnaście! Widok jest niesamowity. Skąd ich tu tyle i czy ornitologowie o tym wiedzą? Musisz koniecznie wpaść i zobaczyć to cudo natury. Pewnie już nie będzie ich tyle, co dziś, bo najwięcej jest zawsze, gdy pracują kosiarki. Jestem szczęśliwa. Wiosno, trwaj, lato, trwaj!

** * **

Poruszył mnie Twój ostatni list. Nie, nie powtarzasz się, nie pisałaś mi jeszcze o tym. Spotkajmy się jutro w Szczytnie w naleśnikarni, bo stęskniłam się najbardziej za Tobą, a potem za moimi ulubionymi naleśnikami z łososiem i awokado. Zdzwonimy się, okej?

** * **

Cześć, Gabi. Nie uważasz, że lato zbyt szybko mija? Dlaczego zima ciągnie się niemiłosiernie, a nie lato? Minęło, sama nie wiem kiedy, a teraz czuję się jak w Mickiewiczowskich Dziadach: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie”. Przygnębia mnie koniec października i ta cała polska okołoduszkowa czerń.

Chyba Ci nie mówiłam, że na Halloween lecę do dzieciaków, do Londynu. Przynajmniej się wygrzeję, bo tam listopady są dość ciepłe, marce też. Tych, którzy odeszli, mam w sercu. Dla nich pierwszego listopada palę świeczki na ganku. I dla moich wszystkich kotów, które odeszły. Dla Marusi,

Tygryska, Perelki, Bonifacego, Maćka, Złego. I dla psów: Diany, Jackiego, Elvisa. Oczywiście jeśli jestem w domu.

Z Londynu przywożę Ci pyszne herbatki na zimę. A Ty do mnie pisz, będę ściągać pocztę i odpisywać między zwiedzaniem, pićm glenfiddicha a spaniem. Pa! :)

** * **

Hej! Musisz koniecznie przeczytać książkę o Toskanii! To już kolejna powieść, umieszczona w cudownym klimacie winnic, serów, oliwek i niespiesznego życia Toskańczyków. I ciepła, na brak którego wciąż narzekam. Po prostu połknęłam ją jednym tchem. Przywożę Ci, wiem, że też się zakochasz w tokańskich wioskach. Może dlatego pociąga mnie tamten region Włoch, bo ma tak wiele wspólnego z Prowansją, w której byłam ostatniej wiosny. Chociażby domki w piaskowych barwach, kolorowe okiennice, kuchnia tak różna od polskiej, wino do obiadu i niesamowita serdeczność ludzi. Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek zjem żaby smażone w panierce, a we Francji dałam się namówić. Były pyszne. Zauroczyły mnie wielkie platany i ponadtysiącletnie drzewa oliwne. Po Prowansji marzy mi się Toskania, kto wie, życie jest przecież nieprzewidywalne. Ale Ty przecież znasz kawał Francji, więc wiesz, o czym piszę. Gabi, lećmy do Toskanii! Do zobaczenia. Zadzwońię.

** * **

Ostatni list od Ciebie wzruszył mnie do tego stopnia, że chcę Cię przytulić, ukołysać... Nie jesteś nikim, Gabi! Jesteś wspaniałą kobietą. Masz rodzinę, fajnego męża, dzieci, z których jesteś taka dumna, i żyjesz tak, jak sobie wymarzyłaś. Twoje życie jest wartościowe, nie ma w nim nic z tamtych lat. Tylko pamięć pozostała, bo tak nas skonstruowała natura, a liczy się tu i teraz.

Wiesz, jak wiele osób chciałoby zamienić się z Tobą na życie? Na życie, które wiedziesz. Wiem, jestem tego pewna, bo wkoło tyle samotności, biedy, ludzkich tragedii. Spójrz na rzeczy inaczej. Nie uważasz, że masz wszystko? Wszystko, co najważniejsze w życiu. Osobę, która Cię kocha już trzydzieści lat, dzieci w szczęśliwych związkach, słodkie wnusie, Oliwię i Nelkę, i...

mnie :) Masz własny dom i całkiem spory kawałek kuli ziemskiej na własność, że o niebie już nie wspomnę. Sprawne ręce i nogi, wzrok i słuch. Gabi, to jest właśnie pełnia szczęścia! Znany grunt, znana codzienność, dwuosobowy tłok w łóżku. I Twoja bogata osobowość. Jesteś farciarą, moja Gabi!! Posyłam całusy wraz z leśnym powiewem wiatru. Pa.

* * *

Cześć, Gabi. Jesień przyszła, ale to przecież wiesz, bo masz swoją wokół domu. Pięknie jest, prawda? Lubię tę wczesną, tę najbardziej kolorową, ciepłą i grzybną. Między znoszeniem grzybów do domu a przygotowywaniem ogrodu do zimy utrwalam letnią opaleniznę. Wyleguję się na słońcu, a moje piegi mają radochę. Rozwiesiłam pranie na dworze i się gapię, bo uwielbiam patrzeć, jak powiewa. Paznokcie mam jak wieśniaczka, a jutro jedziemy do kina. Ty też tak masz? Dziesięć razy włożę rękawiczki, idąc do ogrodu, a milion razy – nie. Muszę doprowadzić łapska do kultury. A właściwie po co, skoro w kinie jest ciemno?

* * *

Nie mam co czytać, muszę iść do biblioteki wymienić książki, ale mi się nie chce. Jak już nie mam nic nowego, to czytam którąś ze swoich starych książek, nic to, że kolejny raz. Jestem uzależniona i nie mam innego wyjścia. Rzadko mi się zdarza taka sytuacja, zwykle pilnuję, żeby iść po coś nowego, jedną książkę muszę mieć na zapas, inaczej czuję się zagrożona. Często czytam dwie naraz, jedną w sypialni w bezsenne noce albo wieczorem, drugą w dzień i w każdej wolnej chwili. Bywało już, że czytałam trzy naraz. No i nie wyobrażam sobie książki niepapierowej, taka moja staroświeckość się odzywa.

Poza tym Trójmiasto mnie woła, tam jest jedno z moich kochanych mieszcuchów. Ojej, żeby mi się chciało tak wyjeżdżać z domu, jak mi się nie chce, tobym częściej jeździła do dzieci czy dokądkolwiek.

* * *

Gabi, wiesz, że niemożliwe jest, żeby wszyscy byli pierwsi i szli jednakowym tempem? Ktoś musi być w środku i ktoś na końcu. A najlepiej nam jest, jak idziemy swoim rytmem, czyż nie? Dlatego świat jest tak interesujący, bo każdy jest inny. Wyobraź sobie świat z jedynie doskonałymi ludźmi. Ależ byłoby nudno. Czy w ogóle tacy są? Nam się wydaje, że tak, ale zapewniam cię, że nikt tak o sobie nie myśli. I nie marudź mi tu. W sumie ja też Ci marudzę, gdy najdzie mnie szarowstręt. Narzekam na zimę i na nasze ciemności jesienno-zimowe. Wszystko to musi mieć jednak miejsce, żeby mogło przyjść inne. Ciągła wiosna i lato też by się nam znudziły. Człowiek nie doceniałby tego, co jest codziennością, co jest wciąż, co jest pewne. A tak doświadczamy różnych emocji i nastrojów. Trzeba tę naszą różnorodność pokochać, nie ma innej rady. Oczekiwanie jest miłe, a jeszcze miłsze doczekanie się.

* * *

Muszę przenieść aronię gdzieś na podwórko, bo za płotem sarny obżerają jej gałązki. W podziękowaniu zostawiają mi groszki prawie czekoladowe. Uroki mieszkania w otoczeniu lasów.

Lecę zrobić krem z pora, ulubioną zupę mojego męża. Pa.

* * *

Cześć. Byłam dziś w mieście. Jesień tam wygląda inaczej niż u mnie, w lesie, ale też jest ładna. Lubię iść pod kasztanowcami, szeleścić liśćmi, pomiędzy którymi błyszczą świeże kasztany. One puszczają do mnie oko. Podniosłam kilka, schowałam do torebki, przywiozłam do domu. Wygląda na to, że same brzozy, klony, dęby i jarzębiny mi nie wystarczają. Bo kasztanowców nie mam. Widziałaś, że w mieście sprzątają te piękne jesienne liście specjalnymi odkurzaczami? Szkoda mi ich, jednak tak trzeba. Na szczęście nie da się połknąć wszystkich, te pozostawione dodają uroku miastu, przypominają o trwającej jesieni, o przemijaniu. A, i zrobiłam przegląd czapek i szalików. Mąż stwierdził, że wywołują zimę. To co, mam je znów wynieść na strych? Pa.

* * *

Ależ zima! Jesteśmy odcięci od świata. Czekamy na ekipę odśnieżającą, chociaż pewnie odkopią nas dopiero, gdy przestanie sypać śnieg. Widoki są bajkowe. Zasypany las wygląda zjawiskowo, oczywiście wszystko fotografuję. Poobwieszałam kawałkami słoniny krzak bzu za oknem. Jest mnóstwo sikorek, nieraz przyleci pożywić się sójka. Widocznie nie odleciała za morze w tym roku. Jest wielka w porównaniu z małymi sikorkami, zżera całe kawały słoniny. Nie odganiam jej, nich się naje. W karmniku też już ruch. A co tam u Was?

** * **

„Wiosna się ciągle waha i spóźnia się jak tramwaj” – tak śpiewa Małgorzata Ostrowska. Dziś jak nigdy czuję przekaz jej słów. Co za dużo, to niezdrowo. Mam dość zimy, kto to słyszał, żeby w kwietniu aż tak sypało! Już nie było śladu po śniegu, a tu wszystko od nowa. Żurawie chodzą po białej pierzynie, zdziwione bezkresną bielą. Może się zastanawiają, czy nie poleciały za daleko na północ?

Nie ma mi kto poprawić nastroju, już nawet nalewka kawowa nie pomaga. Ratuj, Gabi! Chodźmy na zakupy, muszę sobie kupić coś nowego, choćby majtki, żeby nie zwariować od tej bieli. Albo zrobię sobie włosy na rudo, przynajmniej będzie jakiś kolorowy akcent na białym tle.

** * **

Wysłałam moim londyńskim dzieciom zdjęcia zasypanych Mazur. Są zachwycone, mówią, że fajnie, że zazdroszczą! Co one wiedzą o zimie? Jak u nich raz w weekend spadła temperatura kilka stopni poniżej zera, powiadomiono uczniów, że w poniedziałek szkoła nieczynna. Innym razem podczas lekcji zaczął padać śnieg, to dzwoniło do rodziców, żeby wcześniej odebrali dzieciaki ze szkoły, jakby to był jakiś kataklizm! A nawet mróz nie chwycił. Dwa światy, dwie zimy.

To jak, idziemy w miasto?

** * **

Cześć! Tak to rozumiem, takie pisanie napawa optymizmem, ciepłem, radością.

A co u mnie? Jak i u Ciebie, nieustające zakochanie w lecie. Robię miliony zdjęć wszystkiemu, co piękne i interesujące. Przyjechały dzieci, wnuk, więc żyję w totalnej sielance. Kwitną aksamitki, goździki, dale w różnych kolorach. Róże i kanny. Ognisko właściwie nie gaśnie, grill pachnie pieczoną karkówką, kiełbaskami, smażonymi warzywami. Życie jest takie cudne!

W tym roku pierwszy raz mam cieplarnię, właściwie cieplarenkę pod folią. Mam pomidory w czterech odmianach, ogórki i paprykę. I pierwszy raz wysiałam cukinię. O matko, ta to jest plenna! Obdarowuję nią okolicznych znajomych. Pamiętasz, jak upiekłyśmy ją w piekarniku w ziołach i oliwie? Była pyszna. Na grillu też się sprawdzi. Mogłabym dać i Tobie, ale Ty pewnie masz już swoją, co? Gabi musi mieć w ogrodzie wszystkie rośliny świata. A i w końcu mąż zrobił mi altankę. Moi miejscy synowie, przesiąknięci wielkimi aglomeracjami, mieli frajdę, jedząc każdego dnia na świeżym powietrzu. Wnuk się cieszył, że rano może wyjść w piżamce na dwór. W życiu piękne są tylko chwile, to jedna z nich. Utykam ją w zakamarkach pamięci na potem, gdy nie będę już skowronkiem. Spotkamy się, jak moi i Twój odjadą. Cmok.

PS „Jak nie będę już skowronkiem” należy czytać: „Jak będę jeszcze bardziej zgryźliwym tetrykiem, znaczy się tetryczką”. O, komputer poprawił mi na „papryczką”, ha, ha.

** * **

Cześć, Gabrysiu. Buuu... buczę. Smutno, nagle cicho, zimno, jakby dzieci zabrały resztę mojego leśnego lata ze sobą, do swoich wielkich miast. Przywykam na nowo do ciszy, jeszcze kilka dni tęsknoty, oglądania zdjęć z ich pobytu, nostalgienia i wszystko wróci do normy. Znowu na długo pozostaną nam tylko maile, telefony. Włożyłam wino do lodówki, niech się schłodzi na wieczór, mam ochotę się napić.

Co Ty na to, żebyśmy jutro połączyły po Szczytnie? Muszę zrobić porządne zakupy spożywcze, bo w lodówce tylko air dynamic. Poza tym żadnych innych sklepów, okej? Zbyt długo nie widziałyśmy się w realu! W ogóle do

bani się widzujemy. Przerwy kilkudniowe są okej, ale miesiąc albo dwa czy dłużej to jakaś masakra. Więc do jutra. Pojeździmy sobie schodami ruchomymi... Nasze miasto się rozwija, czyż nie?

* * *

Cześć. Ach, jak potrzebne mi było wczorajsze połączenie z Tobą po mieście – i wcale nie po sklepach. Dziś mam już zupełnie inny nastrój.

Tamtego maja przeprowadziliśmy się nie tylko na Mazury, lecz także jednocześnie i do Unii Europejskiej. Taki zbieg okoliczności. Na moich oczach przez te dziewięć lat wiele się w Szczytnie zmieniło. Wczoraj to zauważyłam, bardziej niż do tej pory, wpadając tylko po zakupy. Przybyło sporo fajnych miejsc, a nad jeziorem jest po prostu cudnie, prawda? Deptak, klomby, mnóstwo ławeczek i fontanna na wodzie, ho, ho! Miło posiedzieć, wysiąść na chwilę z tego całego wariactwa życiowego i zatrzymać się w takim miejscu. Ile miast w Polsce chciałoby mieć jezioro w centrum, a my mamy aż dwa! Myślałam, że znam już wszystkie krasnale w naszym mieście, a tymczasem odkryłam nowego pofajdoka! No i dzisiaj naszła mnie ochota, żeby pogrzebać na ich temat w internecie, sprawdzić, gdzie jeszcze są i jakie. Wnuk Staś, gdy przyjeżdża do nas, zawsze się nimi fascynuje. Robimy mu z nimi zdjęcia. A on chwali się pani i kolegom w szkole, w Londynie. Wymienia, które widział. Dziecięcy zachwyty, ale przecież i my, dorośli, powinniśmy pielęgnować w sobie co nieco z dziecka, bo to nas upiększa wewnątrz. Wtedy to piękno odbija się w naszych oczach, bo one są odbiciem duszy, czyż nie?

PS Zauważyłam, że Szczytno nazywam „moim miastem”, nie pamiętam od kiedy. A Ty od kiedy tak mówisz?

* * *

Cześć, moja Ty. Szkoda, że nie mieszkasz za płotem. Wyobrażasz to sobie? To byłby dopiero kosmos! Razem biegałybyśmy co rano, piły przedpołudniową kawę z baileysem. Żadna nie miałyby zimowej chandry, między nami sąsiadkami byłoby to niemożliwe. Jednak mój mąż nie jest takim optymistą, czarno widzi skutki naszego sąsiedztwa. Po pierwsze, znając moją żywiołowość, uważa, że od gadania tak by mnie bolały ręce, że

nie byłabym w stanie już nic innego zrobić w ciągu dnia. Po drugie, wszystkie garnki byłyby przypalone. Przesadza, przecież nie leciałabym do Ciebie w czasie gotowania obiadu, prawda? A w ogóle to zobacz, jak ważne są dla faceta te garnki, garnuszki... Ich zawartość raczej. A mówi się, że mężczyźni tylko o jednym... He, he!

Nie tęsknisz za miastem? Ja często. Do mojego odludzia przywykłam, lecz wciąż marzę o posmakowaniu życia w różnych środowiskach. Kocham tę moją dzicz, jednak pociąga mnie wielkie miasto, takie co najmniej półmilionowe. Teraz, kiedy zaakceptowałam życie w lesie i brak jakiegokolwiek sąsiada za płotem, nie odnajdę się już chyba w otoczeniu domów z każdej strony, nie odnajdę się również w małym miasteczku. Veni. Vidi. Vici. Teraz marzy mi się posmakowanie anonimowego tłumu. Tłum jak las... Taki absurd, nie znajomi ludzie obok, zupełna anonimowość. Brak mi też kina i dzieci, które dojechałyby do nas w piętnaście minut. Wolę buziaki od nich niż bukiety dostarczane mi pocztą kwiatową. Pa.

PS 1 Sprzedaj swoją posiadłość i pobuduj się koło nas, to zostanę na następne dziewięć lat.

PS 2 Szczytno mogłoby dać ogłoszenie „Zamienię jezioro na kino”, ma przecież aż dwa jeziora: Domowe Duże i Domowe Małe.

** * **

Co by Ci dało usłyszenie przeprosin od ojca? A może on faktycznie już nie pamięta, jaki był dla Was?

Satysfakcję, powiadasz...

Przyjedź, zrobiłam nalewkę z aronii. Musi postać, dojrzeć, ale po naparsteczku świeżutkiej aż żal nie spróbować. Przenocujesz u nas. Pogadamy o tej satysfakcji, skoro czujesz aż tak wielką jej potrzebę. Czekam.

PS Upiekę chleb, jestem z niego taka dumna, bo zawsze wychodzi rewelacyjnie.

Część druga

Niekochana, znaczy Gabriela

– Grażko, dzieciństwo jest niepowtarzalne, każdy to wie, prawda?

– Prawda. Tylko raz nam się przydarza.

– Właśnie, zdarza się tylko raz...

Dzieciństwo powinno być piękne, beztroskie i kolorowe. Szybko mija i staje się wspomnieniem towarzyszącym nam do końca życia. Jakie to będzie wspomnienie, zależy od ludzi, wśród których upływał nam tamten czas. Bywają sytuacje wyjątkowe – wojny, klęski żywiołowe. Bywa, że dziecko traci rodziców biologicznych, a zastępczy zamieniają jego życie w piekło. Ja miałam wszystko: dom, rodzeństwo, matkę i ojca, lecz nigdy nie czułam, że jestem kochana.

Mam swoje spojrzenie na dzieciństwo i późniejsze lata; kilkulatka to, co się wokół niej dzieje, rozumie inaczej niż dorośli. Na to, jak wspominam przeżyte wydarzenia, wpływają emocje. Jestem świadoma, że wiele rzeczy zapamiętałam inaczej niż dorośli.

Jestem dojrzałą kobietą, bardzo dojrzałą, zaczęły mi się lata z kategorii „dziesiąt”, a moje dzieciństwo wciąż mnie nęka, straszy w snach, przygnębia...

Moje najdawniejsze wspomnienia też mają kilkadziesiąt lat. Wtedy ciężko zachorowałam. W moim trzyletnim ciałku zagnieździło się wiele dziecięcych chorób: koklusz, szkarlatyna, zapalenie płuc i coś tam jeszcze. Trafiłam do szpitala, gdzie zostałam wyleczona. Ledwo wróciłam do domu, a ojciec mnie zbił. Dlaczego i za co, tego nie pamiętam. Może byłam marudna, bo bolała mnie pupa po zastrzykach, albo zwyczajnie pobyt w szpitalu rozbił mnie psychicznie i potrzebowałam czasu, żeby dojść do siebie. Od tamtej pory się go bałam. Stał się dla mnie Wielkim Złym. Ja byłam malutka, on wielki pod sufit.

Wówczas z moją starszą o cztery lata siostrą Bernadetą mieszkałam u dziadków, rodziców mojej matki, na skraju Kujaw, a nasi rodzice żyli gdzieś tam, dziesiątki kilometrów od nas. Przemieszczała się z miasta do miasta. Dlaczego? Nie wiem. Bo tak było im fajniej, wygodniej, beztrosko? Dla mnie i Bernadety to było chyba lepiej, bo lata pobytu u dziadków

należą do tych najszcześliwszych. Wtedy, po mojej chorobie, rodzice przyjechali na wieś, bo babcia wysłała im telegram. Tylko dlaczego Wielki Zły skaził ten pobyt maltretowaniem swojej małej córeczki, której przecież tak długo nie widział? Wtedy razem ze mną chorowała moja siostra cioteczna. Jedna od drugiej musiałyśmy się zarazić. Ona umarła, ja się wykaraskałam. Dla mojego ojca to nie miało znaczenia, zbił mnie tuż po szpitalu, zbił, kiedy właśnie zmarła bratanica jego żony. Mogłam umrzeć i ja, lecz Wielki Zły o tym nie pomyślał.

Pamiętam moją malutką siostrę cioteczną leżącą w maleńkiej trumience, w ślicznej białej sukieneczce z zielonym wiankiem na głowie. Była taka śliczna, jakby spała. Pamiętam jej pyzate policzki i słodkie usteczka. Była okazem zdrowia, pierwsze ukochane dziecko wujostwa. Nie to co ja, wieczny chuderlak.

U dziadków mogłam robić wszystko, co chciałam. Słuchali mnie, gdy coś mówiłam, i rozpieszczali. Pamiętam wielkie drożdżówki z „glancem”, które dziadek przywoził nam z miasteczka, i jeszcze większe bułki z przedziakiem, świeżutki i pachnące. Ten zapach jest we mnie do dziś. Dziadek zabierał mnie i moją siostrę bryczką do znajomych. Ani on, ani babcia nigdy na mnie nie krzyczeli, chociaż byłam wielkim niejadkiem, wieczną anemiczką i marudą.

Czasem wpadał do nas Wielki Zły, a wtedy wchodziłam z siostrą pod stół. Tam było najbezpieczniej. I mimo że raz rodzice przywieźli nam z wielkiego świata winogrona, które w tamtym czasie były luksusem widzianym pierwszy raz w życiu przeze mnie, patrzyłam Wielkiemu Złemu w oczy z niedowierzaniem. Już mu nie ufałam.

Miałam trzy lata, może cztery, a wciąż pamiętam moje rozmowy z babcią i dziadkiem. Rozmów z rodzicami nie pamiętam. Z perspektywy lat myślę, że coś musieli mi mówić, może nawet się ze mną bawili, jednak to pierwsze zapamiętane w moim życiu zło spowodowało, że automatycznie odrzuciłam wszystko, co związane z ojcem. Widocznie moja psychika broniła się przed zapamiętywaniem chwil spędzonych z nim, z nimi. Moje życie tworzyli babcia z dziadkiem.

Byłam niejadkiem, a ona nigdy na mnie nie krzyczała i nie wmuszała we mnie jedzenia. Przesiadywałam przy stole, mieszając łyżką w talerzu.

– Gdybym była zdrowa, tobym wszystko zjadła – mówiłam.

Nie ja to wymyśliłam, to była babcina mądrość, która na zawsze zamieszkała w mojej kilkuletniej głowie. Często powtarzałam to zdanie, ale jej nigdy nie znudziła ta wymówka. Nigdy nie widziałam, żeby złościła się z mojego powodu, choć potrafiłam być niezłym potworkiem. Kiedyś przyniosła ostatnią gruszkę ze strychu. Zimą trzymała tam jabłka i gruszki z naszego sadu. Przyniosła ostatnią, przekroiła i podała mi połówkę. Zaczęłam marudzić, że chcę całą. Przyłożyła obie połowy do siebie, sok je skleił, więc znów mnie poczęstowała, ale ja je rozdzieliłam i z płaczem domagałam się zrośnięcia owocu. Siedziałam u babci na kolanach i byłam taka niewdzięczna. Od ojca czy matki dostałabym zwyczajnie w twarz, bez względu na wiek, na stan zdrowia, na cokolwiek. A babcia potrafiła mnie udobruchać.

Dziadkowie mieli niewielkie gospodarstwo. Na wsi podstawowym środkiem lokomocji były bryczki zaprzęgnięte w jednego konia lub parę. Dziadek też miał taki pojazd. Zabierał mnie i siostrę, gdy jechał do znajomych czy do sklepu. Zawsze ogromnie lubiłam te bryczkowe wycieczki. Pewnego razu miał sprawę do znajomych, którzy mieszkali daleko. Planował zostać u nich na noc. Babcia powiedziała, że tym razem pojedzie z nim Bernadeta, bo ja jestem za mała na tak daleką drogę i nocleg poza domem. Za to obiecała, że ja pojedę z dziadkami w następną sobotę do innych znajomych, którzy mają sad i zapraszają na pyszne śliwki i gruszki. Nie spodobało mi się to. Chciałam jechać dzisiaj, zaraz, razem z Bernadetą! Nie w sobotę. Musiałam być wielkim uparciuchem, a może i złością, bo postawiłam na swoim. Dziadek zmienił plany i pojechaliśmy wszyscy do znajomych na kilka godzin. Byłam szczęśliwa. Takie wydarzenia utrwalały we mnie przekonanie, że jestem bardzo ważna dla moich dziadków, że liczą się z moim zdaniem. Czułam się pewnie i bezpiecznie.

Nie wiem, ile miałam lat, gdy rodzice podzucili mnie, swoją drugą córkę, na wieś. Dwa? Mniej czy więcej? Może jak już dobrze chodziłam? O nic nie chcę pytać matkę, chcę, żeby wszystko zostało tak, jak zapamiętałam. Jednak prawda jest taka, że przed dziadkami też musiałam gdzieś mieszkać. Jak przez mgłę widzę kilka obrazów z mieszkania, otoczenia domu, lecz nie pamiętam niczego innego, żadnych osób, sytuacji, przeżyć, rozmów. Pierwsze moje jasne i wyraźne wspomnienie to wieś.

Tam byłam szczęśliwa. Moja siostra zaczęła chodzić do szkoły. Na wsi podstawówka była pięcioletnia, wyższe klasy kontynuowano w pobliskim mieście. Babcia i dziadek kształtowali nasze charaktery. Na ich oczach rosłyśmy, rozwijałyśmy się, poznawałyśmy nowe słowa. Babcia uczyła mnie wierszy na pamięć. Do dziś pamiętam fragment jednego z nich:

*Tam w Szwajcarów wolnej ziemi
Żył Kościuszko długie lata
I obracał tęskne oczy,
gdzie rodzinna jego chata*[\[1\]](#).

Dziadkowie pokazywali nam ptaki, drzewa, księżyc... Dziś zastanawiam się, czy rodzicom nie żal tego wszystkiego, co ich ominęło? Najwcześniejsze lata własnych dzieci zignorowane, niechciane. Na własne życzenie pominięte. Często, gdy o tym rozmyślam, gdy wspominam swój strach i łzy, czuję wobec nich litość. Wybrali życie w wielkim świecie, zamiast nas; życie ubogie w najcudowniejsze doznania, uczucia. Bo tak jest, gdy nigdy się nie słyszało słów „mamusiu, tatusiu”. Gdy nie czuło się dziecięcych rączek na szyi. Nie usypiało maleństw na kolanach.

Nieraz skoro świt przyjeżdżał do nas rowerem wujek, brat mojej matki. Odwiedzał swoich rodziców, a także dwie małe siostrzenice. Przywoził mi krówki. Moje kolejne najsmaczniejsze wspomnienie z tamtych lat to właśnie krówki od wujka. Przysiadał na brzegu mojego łóżka i kładł na pierzynie papierowy rożek wypchany cukierkami. Wtedy w sklepach tak pakowano wiele produktów.

Do dziś pamiętam też smak gruszek klapsów, z których podczas jedzenia sok spływał aż po łokcie. I czerwonych porzeczek, które sama zrywałam, a babcia obsypywała mi je cukrem.

Tam, w małym domku na wsi, widzę tylko siostrę, babcię, dziadka i siebie. Siebie beztroską, radosną, kochaną.

Potem przeprowadziliśmy się na Śląsk, do rodzinnej miejscowości ojca. Zamieszkaliśmy w domu sąsiadującym z domem drugiej babci i jej rodziny. Tu urodziła się moja młodsza siostra, Justyna. Nigdy się nie dowiem, czy moje domysły na temat tej przeprowadzki i zabrania mnie i Beni z domu

babci i dziadka są prawdziwe. Przypuszczam, że opieka nad trzema małymi dziewczynkami plus gospodarstwo ze zwierzętami, zasiewami, żniwami i sianokosami to było dla coraz bardziej starzejących się dziadków za duże obciążenie. A dom na dwie rodziny był za mały – sami się ledwo mieścili w kuchni i dwóch pokojach. Po prostu nie daliby rady. Moi rodzice w końcu sami się musieli zająć dziećmi, które spłodzili. Pamiętam, jak babcia płakała, gdy usłyszała, że ich opuszczamy. Prosiła matkę, żeby chociaż najstarszą wnuczkę im zostawiła. Była z nią bardzo zżyta, Bernadeta mieszkała u nich o wiele dłużej niż ja. Rodzice podzucili ją babci i dziadkowi, gdy skończyła trzy miesiące.

Samej przeprowadzki nie pamiętam. Ani matki w ciąży. Nie wtajemniczyła mnie, że wkrótce będę miała maleńkiego brata lub siostrę. Właśnie skończyłam pięć lat, taka wiadomość z pewnością byłaby wspaniała i ekscytująca. Pamiętam za to, jak pojechałam z ojcem do szpitala do matki. Ubrana w kolorowy szlafrok rozmawiała z nim przez okienko w drzwiach oddziału położniczego. Wtedy panowały zupełnie inne realia, świat funkcjonował bez komórek, telefon był tylko na pocztę. Rzeczywistość bez aut, z przewagą nakazów, rygorów i z ułamkiem praw człowieka.

Wkrótce zjawilo się w domu małe zawiniątko, z czarnymi jak smoła włoskami. Justynka. Byłam niesamowicie podekscytowana maleńką siostrą i tymi wszystkimi kaftanikami, śpioszki i mięciutki kocykami.

Ojciec wyjechał do pracy za granicę, do jednego z krajów naszego komunistycznego „klubu”. Tamte czasy też dobrze wspominam. Były miłe, beztroskie – bez niego. Babcia, matka ojca, mieszkała za płotem, była dla nas dobra, kuzyni, wuj, ciotka – też. Miałam koleżanki, zaczęłam chodzić do pierwszej klasy. Czułam się bezpiecznie. Momenty beztroski przeplatane są złymi wspomnieniami. Na przykład wciąż widzę, jak ojciec wyrzuca obiad wraz z talerzem przez okno, bo był... za gorący, za słony? Strasznie się wtedy bałam, bałam się każdej awantury i gdy matka płakała.

Dziś już nie pamiętam, czy Wielki Zły najpierw był z nami, a potem wyjechał za granicę, czy najpierw wyjechał, a potem wrócił do nas. Tylko jednego jestem pewna, że dobre wspomnienia są bez niego, a złe, pełne lęku – z nim. Babcia mieszkała w jednym domu z moją ciotką, a swoją córką, i zięciem. Ciotka i wuj mieli dzieci, do dziś widzę babcie

w otoczeniu wnucząt z obu domów. U babci zawsze pięknie pachniało, wciąż się coś piekło, smażyło, gotowało. Ciotka sama wypiekała bułeczki z jagodami, wielkie chleby, a na święta robiła andruty z czekoladowym nadzieniem. Przełożone wafle musiały trochę poleżeć w zimnie pod obciążeniem. Potem ciotka kroїła je w romby. To były delicje wszech czasów.

Ja i starsza siostra spędzałyśmy dni, biegając z jednego podwórka na drugie. Bernadetę bardziej pociągało towarzystwo starszego kuzynostwa niż moje, pięcio- czy siedmioletniej smarkuli, z nogami jak patyki, anemicznej, nienadążającej za starszymi. Nie chcieli mnie nigdzie zabierać, bo byłam za mała i za słaba. Według nich dla mnie zawsze było za daleko. Za daleko na największą górkę w okolicy, gdzie zimą Benia i kuzyni chodzili na sanki. Za daleko nad rzeczkę, gdzie chodzili się kąpać. I chyba miało to sens, bo jak raz mnie zabrali nad tę rzeczkę, w upał, to najstarszy kuzyn przez większość drogi musiał nieść mnie na barana.

Kiedy ojciec pojawiał się w domu, byłam spięta i podenerwowana. Wtedy nic nie było przewidywalne. W mgnieniu oka najcichszy nawet dzień, najbardziej wesoły i sielankowy, z byle powodu mógł się przerodzić w straszną awanturę. Moja pamięć zarejestrowała wiele takich nagle przerwanych ciszy.

Pewnego razu matka stała przy piecu, coś mieszała, doprawiała, smakowała. Ojciec z kolegą w rogu kuchni, przy stole, grali w karty, a może w szachy? Matka poprosiła, żeby uprzątnąć grę ze stołu, bo podaje obiad. Nic to nie dało, jakby grochem o ścianę. Prosiła wiele razy. Dopiero Bernadeta podeszła do stołu i posprzątała, a wtedy ojciec wpadł w furję. Potrząsał nią tak mocno, że długie do pasa, czarne warkocze skakały jej po plecach jak żywe. Kazał jej powtarzać przysięgę: „Tatusiu, przysięgam, że już nigdy więcej tak nie zrobię”. Myślałam, że od tego potrząsania Beni się urwie głowa, spadnie na podłogę i moja siostra umrze. Nie płakała, ale jej oczy były najsmutniejsze na świecie. Nigdy nie zapomnę grozy, którą wtedy w nich zobaczyłam, aż pociemniały. Bałam się, że ojciec zaraz zacznie krzyczeć na mnie, na matkę. Jego wściekłość zawsze kipiała wulgaryzmami. Wyzywał matkę najgorszymi przekleństwami.

To przez niego stałam się dzieckiem zalęknionym i małomównym. Musiałam mieć ciągle strach w oczach, bo często się zdarzało, że ktoś mnie

pytał, czy coś się stało albo co mi jest. W obecności ojca wciąż się bałam. Bałam się, że coś robię źle, że mnie uderzy, że zaczną się na mnie wydzierać. Dom z nim to była jedna wielka niepewność. Dlatego uwielbiałam przesiadywać u ciotki. Ona była cudownie pogodną osobą, a wujek wielkim kawalarzem. Chyba nie pamiętam, żeby kiedyś był zły czy choćby zdenerwowany. U nich zawsze panowała ciepła, pogodna atmosfera, mimo harmidru dzieciaków. Maluchy się kłóciły, godziły, wrzeszczały, wydzierały coś sobie, potem zgodnie się bawiły, przeżywały i przeproszały, latały po pokojach – i to było czymś normalnym. Czuło się atmosferę prawdziwego domu. Drugą moją oazą spokoju była babcia. Nieco flegmatyczna, niezmiernie ciepła i serdeczna. Wycierała dzieciom nosy, wynosiła na dwór skropione wodą pajdy chleba z cukrem, podciągała poopadane spodnie i rajstopki, obmywała pokaleczone kolana. Jak trzeba było, groziła palcem, ale... to była jej najstraszniejsza kara.

Brat ojca, mój stryj, też był pogodnego usposobienia. Bardzo kochał swoją żonę, z wzajemnością. Szanował ją. Był spokojnym człowiekiem, wręcz rozsiewał aurę spokoju. Kiedy zmarła mu żona, rozpaczał. Ja miałam już wtedy własną rodzinę. Pojechaliśmy na pogrzeb ciotki z moim Pawłem i po oficjalnej części, już w domu, stryjek powiedział nam, że z żoną nigdy się nie pokłócił. Flegmatyczność i pogodę ducha odziedziczył po swojej matce. Taką samą pogodę ducha miała moja ciocia. Ona była bardzo energiczną osobą, lecz całkowicie pozbawioną agresji. Mój ojciec jako jedyny z rodzeństwa był strasznym raptusem, sadystą, czerpiącym radość z wyżywania się na słabszych, z wyzwisk, poniżania. Nie liczył się z najbliższymi. Przemoc, pięść i najgorsze epitety, tylko tym potrafił obdarowywać. Ponoć miał to po dziadku. Jego ojca, mojego drugiego dziadka, nigdy nie poznałam, nie żył od dziesiątków lat. Żadne z wnucząt go nie poznało, ale czasem podsłuchiwalismy dorosłych, którzy wspominali go źle, jako bardzo agresywnego człowieka.

Poszłam do pierwszej klasy, miałam nowe koleżanki. Czasem odwiedzałam je w ich domach. Szczególnie polubiłam dziewczynkę z kręconymi włosami o imieniu Ania, która najpiękniej w klasie malowała. Ja nigdy nie miałam zdolności plastycznych. Raz na lekcji plastyki rysowaliśmy, co się robi w ogrodzie. Wszyscy się pochylili nad swoimi blokami, ja też zaczęłam coś bazgrać. Drzewa i kwiatki nawet mi wyszły, lecz na

obrazku mieli być także ludzie. Narysowanie człowieka w ruchu przekraczało moje umiejętności. Spojrzałam za siebie, gdzie siedziała Ania, i zdębiałam. Jej obrazek przedstawiał wiosenny ogródek, a dziewczynka idąca ścieżką między rabatkami niosła grabie i konewkę. Wszystko było takie prawdziwe. Odechciało mi się rysowania. Gdy zabrzmiał dzwonek, pani oznajmiła, żeby prace dokończyć w domu i przynieść na następną lekcję do oceny. Podeszłam do Ani i zaczęłam jej słodzić, że tak pięknie potrafi rysować, że ja tak nie umiem. Zaprosiła mnie do siebie i... narysowała mi ogród. Piękny, kolorowy, z dziećmi między rabatkami. Rysowała szybko i sprawnie, a ja siedziałam przy stole obok niej jak zaczarowana. Dostałam piątkę, a jakże. Od tej pory zostałyśmy przyjaciółkami.

Drugą przyjaciółkę miałam w sąsiednim domu. Już nie tak bliską jak Ania, jednak też fajną. Nieraz bywałam i u niej; jej dom był dostatni, jej rodzice – mądrzy i wyrozumiali. Niestety, wyprowadzili się do miasta wojewódzkiego, a ja rozpaczalam, że straciłam jedną z moich południowych ostoj, gdzie było tak ładnie, bezpiecznie i miło. „Jolu, kochanie” – tak zawsze zwracała się do niej jej mama.

Właściwie nie zapamiętałam z tamtych lat, żebym była bita, oprócz tamtego jednego razu, po wyjściu ze szpitala. Jedyne, co wciąż mam w głowie, to straszne przekleństwa ojca i mój wielki strach. Jeśli w ogóle były jakieś dobre chwile, wyczarowała je moja matka, nie łączę ich z ojcem. Z nim nie kojarzy mi się nic miłego.

O, na przykład uwielbiałam wiśnie, być może jako wspomnienie po babcinym ogrodzie na Kujawach. Gdy miałam na nie ochotę, matka dawała mi kilka złotych na litrowy słoik kompotu wiśniowego. Biegłam do pobliskiego sklepu. W domu matka odkręcała wieczko, a ja objadałam się mięsistymi wiśniami z kompotu. Dziś bardzo często wyszukuję w sklepach czekoladki z nadzieniem wiśniowym, jakbym pragnęła, jedząc, utrwać sporadyczne dobre wspomnienia.

Miło wspominałam zakup bucików do szkoły. Były piękne, bo kolorowe, sznurowane. Siadałam na krześle, ubrana w te buty, a stopy majtały nad podłogą. Wpatrywałam się w błyszczące noski i w każdym dostrzegałam ludzką twarz. Ta na lewym bucie była inna niż na prawym. Rozmawiałam z bucikowymi buziami. To były moje wymyślone przyjaciółki.

Uwielbiałam też jedną z moich sukienek, taką błękitną jak chmurka. Krawcowa uszyła ją z kretonu. Była bez rękawów, na upalne dni. Jeszcze dziś widzę siebie biegającą w tej sukience po dworze. Dostałam ją na Wielkanoc. Musiały być bardzo ciepłe święta, bo biegałam w niej bez sweterka...

Na grudniowe święta mama sama robiła kaszanki i pasztety. Trzymaliśmy je w zimnym pokoju. Chętnie je jadłam, smakowały mi. Piekła też kruche ciastka w różnych kształtach. Gwiazdki, półksiężycy, serduszka. Była choinka, na niej woskowe świece w specjalnych metalowych żabkach, które się zaciskało na choinkowych gałązkach. Miłe akcenty, choć muszę bardzo głęboko penetrować pamięć, żeby je wydobyć. Szkoda, że ciepłe chwile leżą tak głęboko, a na wierzchu same smutne...

Dziwne jest dla mnie to, że nie pozostały mi żadne wspomnienia z tamtego okresu ze starszą siostrą. Miałam siedem lat, ona jedenaście. Różnica wieku niewielka, więc chyba nie ona stała na drodze do tworzenia siostrzanej więzi? Nie pamiętam zabaw z Bernadetą, rozmów, przytulania się. Nie pamiętam jakiegokolwiek przeżytej sytuacji. Nie widzę miłości, szeptów, dziewczynskich sekretów. Niczego.

Ona nie mogła się odnaleźć w nowym miejscu. Mimo że chodziła już do nowej szkoły, tak często płakała za kujawskimi dziadkami, że rodzice postanowili im ją znów oddać. Tak więc wróciła na wieś i tam kontynuowała piątą klasę. Jednak gdy po wakacjach szła do szóstej, znowu zaczęła mieszkać z nami. Wtedy byłam za mała, żeby zastanawiać się nad jej rozterkami, nawet dziś, kiedy jestem dorosła, mogę tylko po części wyobrazić sobie, jakie targały nią emocje, jak musiała cierpieć i tęsknić. Przeżyła porzucenie, odebranie jej babci, powrót na wieś i po paru miesiącach kolejne rozstanie z dziadkami. To musiał być dla niej koszmar. Pomimo upływu lat moja najstarsza siostra wciąż żyje z piętnem porzucenia. Dziś otwarcie o tym ze mną rozmawia.

Na początku mojej drugiej klasy i szóstej Beni ponownie się przeprowadziliśmy. Był październik. Okazało się, że rodzice matki z powodu zaawansowanego wieku i poważnej choroby dziadka sprzedali gospodarstwo i kupili dom na obrzeżach pobliskiego miasta. Z tej podróży już dużo pamiętam, miałam prawie osiem lat. Jechaliśmy ciężarówką wraz

z całym dobytkiem. Dotarliśmy na miejsce ciemną nocą, więc pierwsze wrażenie było nijakie.

Miasto nowe, szkoła nowa, nieznani nauczyciele, koleżanki, wszystko było nagle wielką nieznaną. Onieśmielona i wycofana bałam się obcego świata. Jakaś dziewczynka z klasy podeszła do mnie i zaproponowała, że oprowadzi mnie po piętrze szkoły, pokaże, gdzie są toalety na końcu boiska, gdzie jest pokój nauczycielski, świetlica itp. Byłam jej bardzo wdzięczna i moje samopoczucie nieco się polepszyło. Zaprzyjaźniłyśmy się. Odwiedzałam ją w domu, biegałyśmy po jej podwórku, grałyśmy razem w klasy i w gumę. Ewa, moja pierwsza nowa koleżanka, ładna, ciepła i bardzo miła.

Później, gdy już się zżyłam z nową klasą, miałam mnóstwo przyjaciółek i to takich, które pełniły ważne funkcje w szkole. Przewodnicząca klasy, olimpijki, takie, które miały osiągnięcia sportowe w rozgrywkach międzyszkolnych; zabierały głos na apelach, zebraniach, wysuwały propozycje tematów gazetek szkolnych, prowadziły wieczornice, np. poświęcone jakiemuś poecie czy rocznicy historycznego wydarzenia. Nie wiem, jak to się działo, ale lgnęły do mnie osoby niebanalne, prymuski, prawie ręce nauczycieli.

Bywałam u nich w domach. Lubiałam je odwiedzać, szczególnie prosto po szkole. Ich domy miały różny wystrój, ale co było najważniejsze dla mnie i co się rzucało od razu w oczy, to atmosfera. U wszystkich bez wyjątku czułam posmak prawdziwego domu. Wzajemny szacunek, sposób odnoszenia się do siebie i swoboda, z jaką moje koleżanki się zachowywały i mówiły... dla mnie to była egzotyka.

W naszym domu toczyła się nieustanna walka o przetrwanie. Ojciec z pracy wracał pijany i zamieniał nasze życie w piekło. Gdy był trzeźwy, było jeszcze gorzej. Używał najgorszych wulgaryzmów, potrafił uderzyć znienacka w twarz. Gdy się upijał, zawsze istniała nadzieja, że się przewróci, zaśnie, że będzie go można skrepować sznurem, aż do wytrzeźwienia, uspokojenia. Czułam się niekochana aż do bólu, w domu zawsze byłam sama z całym ciężarem zła, jaki mnie otaczał. Za to wszyscy inni mnie kochali. Tak czułam. Dostawałam na to wiele dowodów. Kochana poza domem, niekochana w domu. Życiowy absurd.

Byłam nastolatką, kiedy urodził się nam brat. Pamiętam matkę w ciąży, chociaż ona – tak samo jak przy Justynie – nigdy nie wspomniała słowem, że ktoś wkrótce przybędzie, nie rozmawiała z nami o swoim samopoczuciu, nie zachęcała nigdy, żeby dotknąć brzucha. A przecież dwunastolatka i szesnastolatka to prawie dorosłe osoby. Nawet najmłodsza – siedmioletnia Justyna, też już wiele rozumiała. Matka była w ciąży, a w naszym domu nic się nie zmieniło. Ta sama napięta atmosfera, ten sam pijak wracający do domu bez wypłaty, ten sam sadysta. Kiedy ojciec dowiedział się, że ma syna, oczywiście się upił. Pojechał taryfą po matkę i brata, szalał z radości. Brat był ślicznym niemowlęciem, jak każde z nas miał gęste czarne włosy. Ojciec wiele sobie po nim obiecywał. Gdy był pijany, mówił, że syn mu w życiu pomoże, że będą się zawsze trzymać razem, że pomści go, choć tego ostatniego marzenia nie rozumiałam.

Wielka radość była chwilowa. Pijaństwo, krzyki, bicie, szarpanie, strach i łzy to nasza codzienność. Matka pracowała, bo ojciec przeważnie większość wypłaty przepijał tego samego dnia, gdy ją dostał. Bywało, że przez wiele dni nie było go w domu, bo pracował w terenie. Wtedy był spokój. Babcia opiekowała się nami, gotowała i prowadziła rozmowy na najróżniejsze tematy. Latem na podwieczorki dostawaliśmy bób. Podawała go nam na wielkim talerzu, jednym dla wszystkich; gorące ziarna posypywała solą. Zajadaliśmy się nim, siedząc na schodach werandy. Bób uwielbiam do dziś. W sezonie często go kupuję i jem, wspominając po raz setny mojemu mężowi tamte chwile z dzieciństwa. Matka pracowała w różnych miejscach. Bywało, że dojeżdżała do pracy pociągiem sto kilometrów, dlatego nie wracała na noc, tylko nocowała u naszej krewnej. Same musiałyśmy o siebie zadbać, same sobie radzić, wychowywać małego Kubusia. Dziadek zmarł, więc została tylko babcia, też już po osiemdziesiątce.

Babcia zawsze nas broniła przed agresją ojca. Ale cóż mogła drobna, stara kobieta wobec agresywnego, silnego pijaka? Gdy stawała między mną a ojcem, groził, że ją zabije, że dopierdoli jej i wyrzuci do domu starców. W pijackim szale zapominał, że dom jest babci, nie jego. Wtedy mój strach się zmienił, lękałam się już nie tylko o siebie, ale o matkę, o siostry, o Kubusia. Ojciec groził nam nożem, siekierą. Ganiał nas i zataczając się, krzyczał, że nas pozabija, wszystkich. Matka nieraz uciekała z nami w nocy

do znajomych, w dzień sami uciekaliśmy jak najdalej od domu. Wciąż go widzę leżącego na podłodze, jak już nie ma siły nam wygrażać, albo na podwórku, w błocie, gdziekolwiek.

Jak byliśmy starsze, matka wysyłała nas na milicję. Może wstydziła się już zawracać głowę swoim znajomym? Przyjeżdżała suka milicyjna i go zabierali. Rano wracał i było bardzo cicho. A ja bałam się jego zemsty. Wiele razy biegłam sama przez park, po ciemku, na posterunek. Z płaczem, strachem przed ciemnością i nocną pustką. Z obawą, czy jeszcze zastanę żywych w domu. Nieraz musiałam przystawać, chwyciłam się za walące serce, łąpczywie łąpałam powietrze. Samotny bieg w ciemnościach był przerażający, podobnie jak myśli o tym, co się dzieje w domu. Chwila odpoczynku i dalej, na skróty, byle szybciej, byle tylko mieli wolny samochód, byle jak najszybciej zabrali ojca, najlepiej na zawsze.

Wchodziłam w wiek dojrzewania, zaczęłam zauważać u siebie zmiany. Cieszyło mnie to i martwiło. Z jednej strony stawałam się kobietą, a gdy będę dorosła, opuszczę ten dom. Ale z drugiej, nie podobało mi się, co się dzieje z moim ciałem. Zauważyłam rozwój fizyczny, jednak nie tylko. Byłam rozdrażniona, przestawało mnie cieszyć to co zwykle. Trudno mi było wytrzymać z samą sobą. Nie potrafiłam tego nazwać, lecz przeżywałam rewolucję na wielu płaszczyznach. „Na razie jestem zależna od rodziców, a do pełnoletności mam jeszcze wiele lat” – podsumowywałam kiedyś.

Pewnego dnia ojciec znowu do mnie doskoczył i strasznie wrzeszczał. Mimo że bardzo urosłam, wciąż był dużo wyższy ode mnie. Nie pamiętam, o co wtedy poszło. Byłam przerażona, a kiedy zaczął mną potrząsać i krzyżeć, że mnie zapierdoli, rozplakałam się i w tym samym momencie poczułam, że mocz cieknie mi po udach, łydkach, do kostek. Darł się, że jak natychmiast nie przestanę ryczeć, to mnie zabije. Starłam się ze wszystkich sił zahamować łzy. Z trudem mi się udało, lecz rozdzierający szloch trwał we mnie. Całe moje wnętrze płakało, rozpadło się na miliony kawałków, byłam obolała w środku, upodlona, unicestwiona. Dostałam drgawek, trzęsłam się od stóp do głów, cała. Chciałam spleść ramiona, przytrzymać moje rozdygotane ciało, ale musiałam mieć wolne ręce, żeby w każdej chwili móc zasłonić głowę i twarz przed ciosem. Stałam zmoczona po buty, samotna, ze zdeptaną dopiero co rozwijającą moją

kobiecością. „Boże, jak możesz na to pozwolić? Ponoć najbardziej kochasz dzieci! Boga nie ma! Nie ma!” – krzyczało wszystko we mnie.

Gdzie była wtedy matka...?

Dziś za wszystko winię tylko ją. Do ojca nie żywię poważniejszych uczuć, ani negatywnych, ani pozytywnych. Postrzegam go jako ludzki margines, pomyłkę genetyczną. To matka pozwoliła zamienić nasz dom w piekło, a nasze dzieciństwo oraz wczesną młodość w horror. Gdy ją pytałam, dlaczego nas nie zabrała, dlaczego z nami nie uciekła, zawsze odpowiadała, że z czwórką dzieci nie dałaby sobie sama rady. To wymówka, byle jaka, na odczepnego. Ojciec nie przynosił wypłaty, nie troszczył się o nas i nasze potrzeby, mało bywał w domu, nie chodził na wywiadówki, nie rozmawiał z nami. Dom ogarniała stara babcia, a na nas zarabiała matka, która na dodatek dojeżdżała do pracy i sami musieliśmy się odprowadzać do przedszkoli i szkół, pomagać ubierać młodszym, robić sobie kanapki, radzić z lekcjami. Postrzegam ojca jako osobę, która zarabiała tylko na swoje pijackie życie, nie nasze i matki. Do domu przynosił ledwie resztki pensji, te, których nie zdążył przehulać.

I ojciec, i matka lubili się bawić. Często wspominali dansingi w różnych miastach. Wieczorami chodzili do znajomych, pili, śpiewali, tańczyli. Rzadziej zapraszali gości do nas. Zawsze była wódka i zabawa. Matka piła niewiele, właściwie nigdy nie widziałam jej pijanej. Ojciec adorował żony swoich kolegów, był dla nich szarmancki do przesady, elegancko się do nich zwracał. Niby nic nadzwyczajnego, lecz to była jedna z jego masek. Na co dzień w domu był skrajnie inny. Dzieci nie pasowały do hulaszczego życia. Chorują, beczą, są absorbujące. Zwłaszcza małe.

Moją matkę i ojca nazywałam kukułką i fircykiem. W liceum moją namiętnością stało się czytanie książek, przygodowych, obyczajowych, przeróżnych. Wtedy postanowiłam, że kiedyś sama napiszę książkę i zatytułuję ją: *Moja matka kukułka, mój ojciec fircyk*. Niestety, nie wiedziałam, jak się do tego zabrać, jak moje życie spiąć w całość i przelać na kartki. Z wypracowań szkolnych nie miałam dobrych ocen, za to gramatyka i czytanie zawsze były na piątkę.

Stałam się nerwowa, marszczyłam czoło, chrząkałam. Byłam płaczliwa, nieufna. Matka też miała nerwicę. Często mnie biła, przedrzeźniała,

popychała, uderzała po głowie, rzucała we mnie, czym popadło. Nigdy nie zaznałam od niej jakiegokolwiek troski, z czasem również i jej przestałam ufać. Jak była potrzeba, chodziła ze mną do lekarzy, lecz nawet w chorobie nie stać jej było na wyrozumiałość, czułość. Bywało, że przyniosłam uwagę w dzienniczku albo złą ocenę. Z obawą dawałam jej do podpisania. Straszyla mnie wtedy ojcem. Nie pytała, co się właściwie stało i dlaczego. „Niech tylko ojciec wróci, to ci da!” – groziła. A ja umierałam na myśl o jego sile i bezwzględności. Przecież sama uciekała z nami, gdy bił ją i nas po pijanemu, dlaczego teraz straszy mnie tyranem? Tak samo było, gdy kłóciłyśmy się z siostrami. Matka groziła palcem i mówiła, że ojciec nas nauczy porządku. Zawiodła mnie. Dzień po dniu, rok po roku stawała się moim wrogiem. Dziś tłumaczę nerwowość i bycie matki przeciwko nam jej własnymi doświadczeniami. Ojciec bił ją tak samo jak nas, wyzywał najgorszymi wyzwiskami. Żyła w ciągłym napięciu i strachu, współuzależniona. Jak on jej, tak ona nam...

Bywało, że po strasznej kłótni matka szła gdzieś w noc, sama. Zostawiała dzieci w domu. Za pierwszym razem byłam tym przerażona bardziej niż poniewieraniem przez ojca, przecież nie miałam pojęcia, co to oznacza. Gdy jej ucieczki zaczęły się powtarzać, nie panikowałam, wiedziałam, że wróci następnego dnia. Wychodziła bez słowa, zostawiała nas bez względu na wszystko. Wracała koło południa zawsze z nową fryzurą. Podejrzewałam, że nocowała u którejś z koleżanek, a rano relaksowała się u fryzjera. Była taka piękna. Miała wspaniałe włosy i seksapil. Umiała się gustownie ubrać. I ładnie śpiewała. Lubiała nucić starą, popularną piosenkę *Suliko*. Bywało, że od samego rana stała przy kuchni i gotowała, śpiewając. Beztroskie ranki wcale nie gwarantowały reszty dnia w miłej atmosferze. Najmniejsza nawet rzecz, głupstwo, odezwanie się nie tak mogły się przekształcić w awanturę z biciem.

W domu traciłam grunt pod nogami. Wstydziałam się tego, co w nim przeżywałam. Na zewnątrz wyglądaliśmy normalnie. Dziewczynki w ładnych sukieneczkach, z kokardami we włosach, a w domu gniazdo szerszeni.

Nawet najlepszym przyjaciółkom wstydziałam się o tym mówić. Z pozoru byłam wesołą dziewczynką, zwykłym dzieckiem. W szkole radosna, koleżeńska, chętna do pomocy. Po szkole tylko czekałam, żeby któraś

z koleżanek mnie zaprosiła. Odrabialiśmy lekcje, bawiliśmy się w sklep, w bibliotekę, w pocztę. Koleżanki miały swoje pokoje, książki, zabawki. Ja nawet łóżko dzieliłam z siostrą, a zabawek miałyśmy tyle, co kot napłakał. Gdy podczas domowej awantury matka czy ojciec czymś rzucali, nie patrzyli, czy to coś może się zniszczyć, gdzie to spadnie. Żaden mebel, zabawka, jakakolwiek inna rzecz nie miała w tym momencie znaczenia. Liczyła się tylko siła złości i uderzenia.

Pewnego dnia jeszcze w podstawówce podczas przerwy podeszła do mnie dziewczynka. Była z młodszej klasy.

– Moja mama kazała powiedzieć, żebyś przekazała swojemu tacie, że ma do niej wieczorem przyjść – powiedziała mi.

Przyjrzałam się jej dokładnie. Nic nie odpowiedziałam, zamurowało mnie. Byłam w siódmej lub ósmej klasie, wiele rozumiałam. Tę małą znałam tylko z widzenia, jak kilkuset innych uczniów z różnych klas. Byłam w szoku. Ojciec lubił kobiety, uwielbiał się nimi otaczać, prawić im komplementy. Do pracy chodził w garniturze, pod krawatem. Zawsze elegancki i uprzejmy dla innych, nic dziwnego, że oprócz najbliższych znajomych i krewnych nikt nie zdawał sobie sprawy, jaki jest w domu dla nas.

Matka zawsze musiała mu wszystko przygotować. Wyprasować koszule. Jego buty często czyściłam ja albo siostra. Ubierał się, a my stałyśmy na baczność z wypucowanymi czarnymi pantoflami oraz teczką, czekając, aż raczy je wziąć. Jeśli czegoś nie znalazł lub nie dostał na czas, strasznie przeklinał.

Wtedy wróciłam do domu i powiedziałam matce o tym, co przekazała mi tamta mała. Matka wiedziała, gdzie ojciec czasem chodzi, znała jego kobiety. Zdenerwowała się, jednak nic z tym nie zrobiła. Tego dnia zrodził się we mnie wewnętrzny bunt. Miałam porównanie z innymi domami, wiedziałam, że tak nie powinno być, że to jest chore. Matka mu usługiwała, a on się nawet nie krył z kochankami. Po kolejnym biciu, poniżeniu i wyzywaniu mój bunt był tak ogromny, że zaczęłam się modlić o jego śmierć.

Babcia wpoila mi wiarę w Boga i Maryję. Przekonywała mnie o wielkiej mocy świętych i patronów. Wierzyłam w cuda, odpusty, w moc modlitwy.

Uczyła mnie nowenn, krótkich modlitw na różne okazje, modlitw błagalnych i sezonowych. Zabierała mnie na okoliczne odpusty. Jeszcze jak dziadek żył, jeździliśmy razem na różne uroczystości kościelne po okolicznych wioskach i miasteczkach. Byłam chorowita, babcia wierzyła, że Bóg lub któryś z patronów mnie uzdrowią, że skończą się anemia i krwotoki z nosa. Opowiadała o cudownych nawróceniach i uzdrowieniach. Modliłam się więc o zdrowie dla wszystkich i dla siebie. Chodziłam do kościoła z wielką nadzieją na odmianę naszego życia. Modliłam się za matkę, żeby już nigdy nie doznała bicia, popychania i poniżania. Modliłam się o nawrócenie ojca, o rozum dla niego, o jakieś nagłe oświecenie go przez Boga. Od najmłodszych lat modliłam się pokojowo. Tak to nazywałam. Dopiero dorastając, zaczęłam się modlić o jego nagłą i natychmiastową śmierć. „Boże – wołałam w ciszy, w sobie – uśmierć ojca!”. Modliłam się na kolanach przed spaniem, przed świętym obrazem, modliłam się po każdym biciu. Modliłam do matki Jezusa – przecież ona widzi i rozumie serce każdego dziecka. Przez wiele lat modliłam się z wiarą, że któryś święty mnie wysłucha i ojciec wpadnie pod samochód, spadnie z wysokości albo zwyczajnie zapije się na śmierć. Czasem w jakiejś knajpie wdawał się po pijanemu w bójki. Modliłam się, żeby inny alkoholik go zabił.

W podstawówce tato mojej koleżanki ciężko zachorował. Był dobry, mądry i kochany przez córkę, a mimo to zmarł. To nie on miał umrzeć na raka, tylko mój ojciec. „Boże, pomyliłeś się straszliwie!” – wołałam, szlochając w poduszkę.

Matka miała kilkoro rodzeństwa. Jej bracia i siostry pozakładali rodziny i mieszkali w innych miastach; w ich domach dzieci były świętością. Zazdrościłam im takich rodziców. Bardzo często na wakacje, ferie lub święta zabierała mnie do siebie ciotka Marta, siostra matki. Mieszkała w dużym mieście. Uwielbiałam u niej przebywać. Miała dwie córki nieco młodsze ode mnie, mnie traktowała jak jedną z nich. Gdy byłam mała, przyjeżdżała po mnie, potem sama jeździłam do niej pociągiem. Jeśli Gwiazdkę spędzałam u niej, dostawałam to samo, co moje siostry cioteczne.

U ciotki Marty mogłam robić wszystko, na co miałam ochotę albo co wymyśliły kuzynki. Z koców i krzeseł budowałyśmy namiot w pokoju.

Znosiłyśmy do niego naczynia z kuchni, poduchy, a ciocia robiła nam specjalne kanapki i kompot w butelkach. Bawiliśmy się w chowanego, nurkując w najgłębszych przestworzach szaf i wersalek. Lub w ganianego – biegałyśmy wokół stołu na środku pokoju, piszcząc ze szczęścia. Ciotka nigdy na nas nie krzyczała, nie narzekała na hałas, na durne pomysły. Sama wymyślała nam nowe zabawy. Pozwalała wkładać swoje ciuchy i kapelusze. Zdejmowała rzeczy, które upatrzyłyśmy sobie do zabawy, a znajdowały się za wysoko. Tam żyłam w innym świecie. To było mieszkanie w bloku, z windą i balkonem. Latem bawiliśmy się na tym balkonie, a ciocia Marta siedziała tuż przy drzwiach i patrzyła na nas.

Uwielbiałam cukierki, twarde, które należało ssać, lecz ja rozgryzałam je natychmiast po włożeniu do buzi. Nie wiem, czy była to wina mojej nerwowości, czy pragnienie poczucia w ustach nagłej i rozległej słodyczy. Uwielbiałam landrynki gryłażowe i kukułki z nadzieniem. Lubiłam wszystkie twarde cukierki. Różnokolorowe w kształcie małej nerki albo w kolorowe paski. Wolałam je od czekolady. Nazywaliśmy je szklakami. Mogłam naraz zjeść kilkanaście. Ciotka Marta miała teorię, że skoro tyle ich jem, to widocznie organizm tego potrzebuje. Zawsze kupowała mi szklaki albo dawała parę złotych.

– Kup sobie coś do chrupania, skoro tak lubisz – prosiła, a jak była u nas, mówiła do matki: – Gabrysia tak lubi landrynki. Kupuj jej, widocznie organizm ma zapotrzebowanie na cukier.

Ciotka częściej niż matka zastanawiała się, co lubię. Znała mnie lepiej niż matka.

Gdy byłam u niej, często zostawałam z kuzynkami, a ona wyskakiwała z samego rana po zakupy.

– Gabuniu, jesteś taka odpowiedzialna i mądra. Zostawię cię przez chwilę z dziewczynkami i wyskoczę na targ, zgoda? – pytała.

I wyskakiwała. Wracała z jagodami, malinami albo czereśniami, w zależności od sezonu. Gotowała nam zupę jagodową, podawała truskawki w miseczkach. Często przynosiła główkę młodej kapusty, pęczek marchewki i wiecheć koperku. Gotowała z tego zupę. Jak pachniało! Albo kompot rabarbarowy. W rodzinie uważano, że akurat ciotka Marta nie umie

gotować. Jako dziecko nie potrafiłam tego ocenić, ale jadłam u niej wszystko. Zawsze mi dokładała i pytała, czy smakowało, czy się najadłam.

W domu byłam niejadkiem, a najbardziej nienawidziłam mleka. Z trudem znosiłam zupy mleczne, ale najbardziej nie lubiłam gorącego mleka w kubku. Na widok kożucha miałam odruch wymiotny. Matka nieraz je we mnie wmuszała. Siedziałam nad kubkiem, a ona krzyczała:

– Żryj, bo zdechniesz jak Burek pod płotem!

Bardzo przeżywałam jej słowa. Wyobrażałam sobie, jak w samotności leżę pod płotem, w zimnie, zmokła, i umieram bardzo powoli. Nie chciałam tak umrzeć. Wtedy, w wieku kilku lat w ogóle nie chciałam umrzeć.

W dorosłości odkryłam, że po mleku boli mnie brzuch. Z nabiału toleruję tylko, i to w małych ilościach, jogurty. Sama myśl o mleku w kawie, budyniu czy zupie mlecznej napawa mnie wstrętem. Moja matka wciąż nie rozumie, że można nie lubić mleka. Kiedy tłumaczę jej, że go nie trawię, zbywa to milczeniem albo zauważa, że to największa głupota, bo mleko jest przecież zdrowe i najlepsze.

Wuj, mąż ciotki Marty, też lubił alkohol. Bywało, że się awanturował, jednak córki były dla niego nietykalne. Ciotka załatwiła sądownie, że większą część jego wypłaty może odbierać tylko ona. Nie musiała się zamartwiać o przepite pieniądze jak moja matka. Ciotka nie patrzyła kategoriami mojej matki, że to wstyd, że w pracy poznają prawdę o ich życiu, a co najważniejsze, że robi nienagannemu pracownikowi i koledze złą opinię. U nas liczyły się tylko pozory, u ciotki – dzieci i ich dobro. Jakie to musi być piękne stwierdzić w dorosłym życiu, że ojciec nigdy mnie nie uderzył. Mnie bił setki, tysiące razy, matka jeszcze więcej. Wuj bardzo mnie lubił i mimo jego alkoholizmu w ogóle się go nie bałam. Nigdy nie zwrócił się do mnie: „Gabrysia”, zawsze nazywał mnie „Gabryską”.

Po aktach poniżenia, gdy ujawniała się cała moja niemoc, dusiłam w sobie potężny bunt, a w moim wnętrzu kipiały nienawiść, złość i agresja. Rosłam, a wraz ze mną rosły te odczucia. Nie miałam jak ich z siebie wyrzucić. Kojąco działał na mnie świat zewnętrzny, dlatego ciągle wymykałam się z domu. Miałam wielką potrzebę kochania i bycia kochaną. Miłość przelałam na koleżanki. Bardzo się do nich przywiązywałam. Było

kilka dziewczyn nierozzerwalnie złączonych ze mną tajemnicami, zainteresowaniami, podobnymi marzeniami. Jeśli spacer, to tylko pod rękę lub za rękę. Dziś myślę sobie, jak to dobrze, że o homoseksualizmie nie mówiło się wtedy wiele, bo koledzy i sąsiedzi nie zostawiliby na nas suchej nitki. Przytulania, całusy, głaskanie po włosach, poprawianie sobie nawzajem kołnierzyków – to były dowody naszej przyjaźni i dziewczęcego zainteresowania. Po lekcjach stałyśmy na rozstajach dróg i rozmawiałyśmy godzinami, istne papużki nierozłączki. Na pożegnanie ścisnęłyśmy się czule. Wpisywałyśmy sobie aforyzmy do pamiętników. One zapraszały mnie na urodziny, ja nie mogłam zaprosić nikogo na żadną okazję. Matka nigdy czegoś takiego nie zaproponowała, a ja byłam tak załęczona, że nawet nie umiałam sobie wyobrazić, jak wypowiadam głośno marzenie czy opinię.

W naszym domu tylko się spało i jadło. Dzieci nie miały głosu, nie miały prawa do pragnień, kaprysów, gorszych dni. Zresztą żyliśmy ubogo, w ciasnocie. Największy pokój był wprost zastawiony łózkami. Dziadkowie kupili dom z możliwością adaptacji poddasza. Gdyby ojciec nie przepijał zarobków, mógłby to zrobić. My wciąż marzyliśmy o własnych pokojach, o większej intymności, o swoich kącikach. Poddasze w końcu zamieniło się w pokoje mieszkalne, ale wiele lat później, kiedy właściwie rozchodziliśmy się w dorosłość.

Moje wiosenne urodziny przypadały w połowie miesiąca, w dzień wypłaty ojca. Nie był to radosny dzień, zwykle przepląkiwałam go w samotności. Nie oczekiwałam prezentów ani przyjęcia dla koleżanek. Chciałam tylko być najważniejsza, żeby wszyscy bez wyjątku byli dla mnie mili. Nawet jeśli ktoś wspomniał, że mam urodziny, nie oznaczało to, że nie zostanę skrzyczana, boleśnie pchnięta. Było mi niewyobrażalnie smutno, czułam się odrzucona i niekochana. Tak samo było jesienią w imieniny. Czy mógł to być dla dziecka szczęśliwy dzień, gdy za oknem zimno, a matka wyganiała je wtedy na dwór? Tak oto rok po roku utwierdzałam się w przekonaniu, że nikt w domu mnie nie kocha.

Raz jeden ojciec podarował mi coś na urodziny – komplet damskich chusteczek do nosa. Był lekko podpity i miał dziwnie dobry humor. Wówczas nie były popularne chusteczki higieniczne, używało się batystowych, które ciągle trzeba było prać. Męskie były największe, miały

deseń w kratkę lub prążki. Damskie były w kwiatki lub kratkę, ale weselszą, drobniejszą. Dziecięce były z postaciami z bajek, w kwiatki, baloniki, motylki. Były śliczne. Dostałam damskie, nie dziecięce. Ten prezent spowodował, że na chwilę stałam się ważna. Byłam taka szczęśliwa. W samotności rozerwałam przezroczystą folię opakowania i wyjmowałam powoli chusteczkę po chusteczce. Było ich sześć. Rozkładałam je na łóżku, każda była inna, w wesołych kolorach. Jasnoniebieska i ciemnoniebieska, zielona, różowa, żółta i fioletowa, plus krataczka na białym tle. Pachniały nowością i były tylko moje. Składałam je i rozkładałam wiele razy. Żal było mi ich użyć. Tylko ten jeden raz miałam takie urodziny, innych nie pamiętam.

Fajnymi dniami były mikołajki. Rano przy naszych łóżkach stały buty wypełnione cukierkami, orzechami i owocami. Dom pachniał pomarańczami – szczęśliwy zapach, namiastka bezpieczeństwa.

Na święta często wyjeżdżałam do ciotki Marty, ale w domu też mieliśmy choinkę. Zawsze była żywa, na niej woskowe świece. Uwielbiałam zawieszać papierowe ozdoby, które przez rok leżały w pudełkach, starannie złożone. Rozkładało się je jak wachlarz i dopiero wtedy stawały się wspaniałymi ptakami, jabłkami, gruszkami. Matka starała się, żeby święta były tradycyjne i miłe. Pamiętam łyżwy, które dostałam pod choinkę. Były przykręcane do butów specjalnymi śrubami i przywiązywane rzemykami. Dostawaliśmy ubrania i zabawki. Pewnie dostawałam też książki, bo miałam ich kilka w biblioteczce. Jednak Gwiazdka to też okazja do picia alkoholu i awantur po pijanemu...

Nie pamiętam za to, żebym kiedykolwiek siedziała u matki na kolanach. Jak każdy maluch łaknęłam miłości i czułości, źle mi było z ich deficytem. Kryłam w sobie dwie kasetki na miłość. Jedną przeznaczałam na miłość od obcych, drugą – od rodziców. I ta druga świeciła pustką, podczas gdy z pierwszej się przelewało. Od tych właśnie kasetek zaczęłam dostrzegać, że wiele jest we mnie podwójności. Jakbym cała ja była dwuosobowa. Kochana i niekochana. Spełniona w przyjaźni i samotna wśród najbliższych. Wesoła i smutna. Pewna siebie, lubiana, a w domu – załęczona. W szkole zawsze w grupie, w domu – w swoim kącie wydzielonym szafą. Sama w najbardziej smutnych chwilach, bez rodzinnego wsparcia, bez przytulania...

Ojciec był nie tylko sadystą w sensie fizycznym, potrafił też strasznie ranić słowem. Siostra miała naście lat i chłopaka Janka w wojsku. Przyjeżdżał do nas na przepustkę. Przystojny, wysoki, w mundurze, który dodawał mu męskości i powagi. Siedzieli z Bernadetą w naszym pokoju, wtuleni w siebie, stęsknieni. Rozmawiali szeptem. Szczęśliwi. Pewnego razu ojciec spytał mnie, gdzie jest Benia.

– W małym pokoju z chłopakiem. Rozmawiają sobie – odpowiedziałam.

– Pierdolą się, nie rozmawiają! – ryknął.

Zadrzałam ze strachu. Bałam się, że z przekleństwem do nich wpadnie. Że i mnie się dostanie, bo jego agresja najpierw uderzała w tego, kto akurat był w pobliżu. Potrafił zniszczyć każdą piękną chwilę, w ogóle się nie zastanawiał nad tym, co mówi, co czyni. Wściekły, z pianą na ustach, pędził na oślep, rozpychając się łokciami. A że przy okazji wepchnął kogoś na krzesło lub we wrzątek, to nie miało znaczenia. Nic w takich chwilach nie było dla niego ważne, byle szybciej kogoś dopaść i się wyżyć.

Bernadeta bardzo wcześnie wyprowadziła się z domu. Pewnie miała osiemnaście lat, może mniej. Przez jakiś czas mieszkała u mojej ukochanej ciotki Marty. W dużym mieście szybko znalazła pracę. Potem wprowadziła się do swojego chłopaka, do przyszłych teściów.

Dzisiaj zdaję sobie sprawę, jak mało było w moim życiu starszej siostry. Jeszcze mniej ją znał Jakub, nasz braciszek, bo ile może mieć wspomnień trzylatek?

Na ślubie Bernadety, zorganizowanym oczywiście wyłącznie przez jej teściów, Kuba miał spodnie w kant i kamizelkę koloru przygaszonego różu ze srebrzystymi niteczkami, uszyte przez krawcową specjalnie na tę okazję. Wyglądał rozkosznie. Benia po ślubie z Jankiem bardzo rzadko nas odwiedzała. My też do nich nie jeździliśmy zbyt często. Gdy Kuba miał osiem lat, zapytał, kim właściwie jest Benia, czy to jakaś jego ciotka, czy kto? Nikomu nie przyszło do głowy, że może tego nie wiedzieć. Dlaczego ja i Justyna pozwoliłyśmy mu żyć w nieświadomości...? Dlatego, że nam też nikt nigdy niczego nie tłumaczył. Same musiałyśmy dochodzić do wniosków, nie zawsze prawdziwych. Matka nigdy nie uświadamiała syna, że ma trzecią siostrę. Ta sytuacja wiele mówi o relacjach między nami, o braku wzajemnej troski i rodzinnej spójności.

Nasi rodzice nie dawali nam pozytywnych wzorców do naśladowania. Nie pokazali, jak ze sobą rozmawiać, jak wybaczać, jak się kochać. My, dzieci, nie zaznałyśmy rodzinnej sielanki, po szkole czekała na nas codzienna porcja szarpaniny, wyzwisk, popychania. Nic dziwnego, że stawałyśmy się tacy jak matka i ojciec. Zero szacunku dla drugiej osoby, kompletny brak empatii, nic z tych rzeczy. W nas też narastała złość. Nikt nam niczego nie tłumaczył, słyszeliśmy tylko krzyk i wyszydzanie. Więc również robiliśmy sobie na złość, dokuczaliśmy. Kuba od najmłodszych lat wyzywał mnie epitetami, które nieświadomie zakodował mu ojciec. „Małpa, kurwa” – to nie jest słownictwo malucha. Babcia doradzała mi, żeby nie zwracać na to uwagi, tłumaczyła, że on jest mały i głupiutki.

– Małpa może sobie mówić, ale kurwą nie jestem – odpowiadałam jej.

Z siostrami też się wyzywałyśmy. Rodzice nie nauczyli nas wsłuchiwania się w drugiego człowieka ani jak kogoś zrozumieć. Patrzyli na nas z góry, zawsze coś nam narzucali, poza tym matka nigdy nie miała dla nas czasu albo mówiła, że źle się czuje. Nikt nas nigdy nie wysłuchał, nie liczył się z naszymi potrzebami, nie znał naszych marzeń ani lęków. Matka często histeryzowała, że umrze. Słyszałam, jak tłumaczy babci, że marzyła o schludnym domu, w którym nigdy nie brakuje pieniędzy, a ona jest zdrowa i szczęśliwa.

– Jak umrę – mówiła – ubierzcie mnie w nową sukienkę, białą, bo jestem młoda. I chcę trumnę z białym środkiem. W życiu mam ciasno i brudno, wciąż bołą mnie głowa i serce. Chcę mieć pięknie chociaż w trumnie.

Byłam przerażona. Dlaczego miałyby umrzeć ona, nie tyran? Może gdyby umarł ojciec, matka by się zmieniła. Nie biłaby mnie i nie karciała. A co najważniejsze, nie straszyla nim.

Zawsze czułam, że moja druga siostra, Justyna, jest silną osobą. O pięć lat ode mnie młodsza, była wyższa, pewna siebie i odważna. Kiedyś to ja prowadziłam ją do przedszkola, a gdy miałyśmy po naście lat, role się odwróciły, to ona była dla mnie wsparciem. Była twarda. Ja się łatwo wzruszałam i płakałam z byle powodu. Ona była wyrosnięta i zdrowa. Ja byłam anemiczką, często leciała mi krew z nosa.

W dzieciństwie zaliczyłam kilka pobytów w szpitalach i sanatoriach. Najbardziej pamiętam szpital, w którym byłam w piątej klasie. Pomimo różnych badań, leków i zastrzyków, podobało mi się tam. Wychodziliśmy w szlafrokach na dwór, do parku. Był czerwiec, ciepło. Jedna starsza pani zabierała mnie na tyły szpitala na poziomki. Tylko noce miałam paskudne, budziłam się zmoczona. Bardzo się tego wstydziłam. Uginałam nogi, unosiłam nieco kołdrę, żeby szybciej wyschła piżama i prześcieradło. Rano salowa znajdowała w pościeli żółtą, niemal suchą plamę. Płonęłam ze wstydu, a ona łagodnie tłumaczyła mi, że wiele dzieci moczy się w szpitalach, że to nic straszego i że mają mnóstwo zapasowej pościeli. Potrafiłam spać tak twardo, że mokre łóżko zauważałam dopiero, gdy budzono nas na śniadanie. Salowe się zmieniały, ale wszystkie były wyrozumiałe, przytulały moje rozdygotane ze strachu i wstydu ciało, uspokajały, przemawiały łagodnie.

Miło wspominałam także lekarzy i pielęgniarki. Tam poznałam pewnego chłopaka, on też chodził do piątej klasy. Często rozmawialiśmy, choć początkowo nieśmiało, spięci. Nie wiem, na co mnie leczono. Matka powtarzała lekarzom, że nie mam apetytu, że leci mi krew z nosa i jestem strasznie nerwowa, pobudzona. Jedna z lekarek zaleciła, żeby ograniczyć mi oglądanie telewizji, że drastyczne sceny mogą na mnie źle wpływać, bo nie rozumiem wszystkiego. Tylko że my telewizora nie mieliśmy. W latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych w wielu domach go nie było, sąsiedzi schodzili się na telewizję u tych, którzy mieli odbiornik. Szkoda, że lekarka nie zaleciła mi ograniczać widywania ojca.

Jak tylko sięgam pamięcią, zawsze czytałam. W podstawówce nie ominęłam żadnej lektury, a w liceum pochłaniałam wszystko, co mi wpadło w ręce. Zaczytywałam się w książkach podróźniczych, przygodowych. Z ich bohaterami objeździłam wszystkie kontynenty. Byłam na biegunach, w Amazonii, w Australii, w Azji. Czytałam kroniki wypraw polarnych, pochłaniałam opowieści o obyczajach plemion afrykańskich, uwielbiałam powieści historyczne i o odkrywaniu przez ludzi nieznanymi miejsc. Pasjonowali mnie Indianie i samurajowie, szamani i gejsze. Zасыwałałam się w zacisznych kątach domu, a latem gdzieś na łonie natury i przenosiłam w zupełnie inny świat. Oczytana nie robiłam błędów ortograficznych. Ponoć pięknie potrafiłam czytać na głos. Wielu nauczycieli doceniało to,

więc czytałam głośno klasie czytanki lub rozdziały z podręczników. Uwielbiałam geografię. Dzięki książkom o podróżach miałam wiedzę większą niż reszta uczniów. Wyrywałam się do odpowiedzi, a nauczyciele mnie uciszali, chcieli zapytać innych.

Pisać nie potrafiłam zbyt dobrze, moim pracom brakowało logiki, nic dziwnego, że nie dostawałam najwyższych ocen. Nie potrafiłam zebrać wiedzy w sensowną całość, wyciągnąć wniosków, byłam chaotyczna. Moja licealna polonistka, oddając nam kiedyś sprawdzone wypracowania, tak mnie podsumowała:

– Masz bogate słownictwo, Gabrysiu, nie robisz błędów ortograficznych, interpunkcja też jest poprawna. Niestety, piszesz ogólnikowo, jakbyś się bała, że wywód i twoje wnioski zostaną skrytykowane, bo okażą się nietrafne. Zaczynasz bardzo interesującą myśl i nie rozwijasz jej. A mnie ciekawią twoje spostrzeżenia i dedukcja, postaraj się przekazać mi to następnym razem. Wiesz, że to właśnie ty możesz dostrzec coś nowego w słowach poety, coś, na co nikt do tej pory nie wpadł? Nie bój się mieć swojego zdania.

Lubiłam czytać, towarzyszyć bohaterom książek, oglądać świat ich oczami. Identyfikowałam się z wieloma. Byłam małą Nel i dziewczynką z zapawkami. Byłam córką podłej macochy. W liceum zjeździłam świat z Tomkiem Wilmowskim.

W świecie fantazji i książek nie groziły mi popychanie, naśmiewanie ani razy. W domu czułam się zbędna. Wciąż słyszałam, że kręcę się pod nogami, że coś robię źle. Chciałam umieć pisać tak pięknie jak autorzy moich książek. Zaczęłam prowadzić pamiętnik, potem usiłowałam tworzyć wiersze, lecz nie byłam z nich zadowolona. Zrozumiałam, że wolę czytać poezję, bo pisanie jednak to wielka sztuka, do której potrzebny jest wrodzony talent. Zakochałam się w twórczości Gałczyńskiego. Znałam na pamięć wiele jego wierszy, uwielbiałam *Kronikę Olsztyńską*.

Lato, jakże cię ubłagać?

Prośbą jaką, łkaniem jakim?

Tak ci pilno pójść i zabrać

w walizce zieleń i ptaki?

Ptaków tyle, zieleni tyle.

Lato, zaczekaj chwilę.

Uwielbiałam ten fragment.

Za to pamiętnik pisałam przez wiele lat. W nim wylewałam łzy, wyżywałam się na ojcu, marzyłam o dorosłym życiu, zupełnie innym niż to, które zgotowali mi rodzice. W nim nie musiałam pisać logicznie i zrozumiale, wystarczyło, że zanotowałam, co mi w duszy grało, bo to było tylko dla mnie. Miałam problem z ukryciem zeszytu. Wspominałam już, że w naszym domu nie było szacunku dla prywatności. Jak utrzymać tajemnicę, skoro matka grzebała nam w rzeczach, tornistrach, torebkach i kieszeniach?

Bywało, że jeszcze w liceum koleżanki dawały mi do przeczytania fragmenty swoich pamiętników. Ależ one pięknie pisały! Ich przeżycia czytało się jak powieść. Wszystko było zrozumiałe i ciekawe. Gdy dorosłam, jeszcze raz zajrzałam do mojego pamiętnika. Przerzucałam kartki, nudząc się okropnie. Wtedy też doszłam do ostatecznego wniosku, że pisanie to nie moja domena. Nieskładne bazgranie i nic więcej. Najwyraźniej nie moja bajka.

Matka próbowała wciągnąć mnie w domowe prace, takie poważniejsze. Pokazywała mi, jak obierać ziemniaki, jak zrobić ręczną przepierkę, jak doprawić zupę. Bernadeta była mężatką, nie mieszkała z nami i teraz ja byłam najstarsza. Niestety, ja chciałam pomagać, a matka mnie krytykowała. Ziemniaki obierałam za grubo, soliłam za mało. Źle prałam, źle wyżymałam, za dużo wsypywałam proszku, za mało płynu zmiękczającego, woda była za gorąca albo za zimna. Nawet bluzki nie umiałam wyprasować. Źle zamiatałam kuchnię, bo robiłam kurz. Nie dała mi w ogóle czasu, żebym nabrała wprawy, od razu chciała mieć w domu perfekcyjną gospozię.

Jak każda nastolatka chciałam nosić modne ciuchy. Czasem sama przez wiele godzin coś sobie przerabiałam. Wtedy wiele dziewczyn tak robiło. Przeszywałam bluzki, żeby były dopasowane w talii. Jak były modne dzwony, sama wszywałam kliny w nogawkach, żeby mieć fajne i oryginalne spodnie. Potem nastąpiła moda na rurki. Pamiętam, że przez całe

popołudnie zwięzałam nogawki spodni i to tak, żeby kiedyś znów można je było przerobić. Starannie przyprasowałam nowe szwy. Lustró powiedziałó mi, że wyglądam fajnie, modnie. Byłam szczęśliwa, nie przypuszczałam, że tak ładnie mi wyjdzie. Przygotowałam ubranie do szkoły i poszłam spać. Rano okazało się, że spodnie znowu są dzwonami. Szwy ktoś rozpruł i rozprasował. Byłam zrozpaczona. Tylko matka widziała, jak fastryguję, potem szyję, prasuję i przymierzam. Tak bardzo się napracowałam, a ona musiała w nocy zniszczyć moją mozolną pracę i radość. Dlaczego nie zabroniła mi tej przeróbki, zanim ją zrobiłam? Czyżby chciała mieć satysfakcję z mojej miny? Czy to możliwe, żeby aż tak mocno mnie nienawidziła? Cały dzień byłam na przemian zła i smutna. W drodze ze szkoły płakałam. Gdy zapytałam ją, dlaczego to zrobiła, odparła, że mam nogi jak patyki i że w rurkach wyglądam strasznie.

Tak to u nas wyglądało, zero rozmów, liczyła się tylko opinia matki, we wszystkim. A jak w domu był ojciec, tylko jego.

Czasem chciałam coś sobie kupić, coś, na co matka nie dałaby mi pieniędzy. Moja koleżanka w wakacje pracowała u sadownika. Pomagała mu w ogrodzie i w szklarni, przy warzywach i kwiatach, grabiła podwórko, malowała płot. Powiedziała mi, że pracy jest tam dużo, i dla mnie wystarczy, bo żona ogrodnika urodziła dziecko i na nic poza maleństwem nie ma czasu. Byłam szczęśliwa na myśl o własnych pieniądzech i tym, na co je wydam. Gospodarz płacił nam za każdą przepracowaną godzinę. Mogłam wpadać na trzy godziny, na osiem lub wcale. Zapisywał wszystko skrzętnie w zeszycie i w piątki rozliczał się z nami za cały tydzień. Po mojej pierwszej wypłacie matka stwierdziła, że pójdziemy razem do miasta i kupimy ubrania na nowy rok szkolny. Tak też zrobiliśmy. Za moje pieniądze kupiła granatową włóczkę i zaniósła do kobiety, która robiła swetry na drutach. Dostałam sweter do szkoły – brzydki, za duży i gryzący. Dlaczego się na to zgodziłam? Może matka miała siłę przekonywania, a może ja chciałam mieć święty spokój...

Tak naprawdę umiałam się buntować tylko w wyobraźni. Matka wpoila mi, że to ona ma w życiu źle i strasznie ciężko. Biła mnie i nie szanowała, a ja i tak byłam z nią związana emocjonalnie. Tkwiła w chorym związku z moim ojcem, a ja z nią. On ją tłukł i poniżał na każdym kroku, a kochała go bardziej niż swoje dzieci. Mieszkała z nim w wielu miastach. Znosiła

upokorzenia i przyjmowała czekoladki na przeprosiny. Wieczorem szlochała z rozpaczy, rano wstawiała ze śpiewem na ustach. Tak bardzo było mi jej żal, sama stawałam się kobietą i coraz lepiej ją rozumiałam. A może tak mi się tylko wydawało?

Już w podstawówce, w starszych klasach, zapisywałam się na różne kółka zainteresowań, żeby tylko jak najmniej być w domu. Należałam do chóru, grałam w zespole na cymbałkach dwurzędowych, zapisałam się też na tańce do miejskiego domu kultury. Wtedy wszystko było darmowe. Uwielbiałam te zajęcia, choć wiele strachu kosztowało mnie wracanie wieczorem do domu przez ciemny park. Szłam z walącym sercem, nasłuchując każdej pękniętej gałązki, każdego szelestu. Wybierałam różne taktyki pokonania ciemnicy. A to postanawiałam biec przez park jak najszybciej, ile sił w nogach i tchu w płucach, nie zwracając uwagi na nic wokół, nawet na hałas, który sama robiłam. Innym razem skradałam się wolniutko, jak najciszej, na bezdechu. Matki to nie interesowało. Nie zastanawiała się, ani czym się zajmuję, ani czy jestem bezpieczna. Miała spokój w domu, nie kręciłam jej się pod nogami. Tak było najwygodniej.

Nasz zespół składał się z kilku uczniów. Nauczycielka powiedziała, że zbliża się przegląd zespołów młodzieżowych i że chce nas zgłosić. Jak się przyłożymy, pojedziemy na konkurs. Ćwiczyliśmy więc jak szaleni, przygotowując występ. Na przegląd pojechaliśmy w niedzielę i zajęliśmy pierwsze miejsce! Wszyscy nam gratulowali, nauczycielka dostała kwiaty, my upominki i wspólny dyplom, który zawisł w sali ćwiczeń. Miałam świadomość tego, że jestem współtwórczynią zwycięstwa zespołu. Tylko w domu nikt się nie zainteresował tym moim graniem ani sukcesem. Gdy mój chór albo zespół gdzieś występowały, przychodzili rodzice kolegów, lecz nigdy nie moi.

To samo było, kiedy jeszcze w podstawówce jedyny raz pojechałam w wakacje na dwutygodniowe kolonie. W połowie turnusu były odwiedziny rodziców. Do mnie nikt nie przyjechał. Rodzice wiedzieli o możliwości odwiedzin z regulaminu, który sami podpisali. W tamtą niedzielę mamy i tatusiowie zaczęli się zjeżdżać właściwie od rana. Odwiedziny trwały do późnych godzin popołudniowych, więc byłam spokojna, wierzyłam, że i moja matka się zjawi. Godziny mijały, pierwsi goście opuszczali kolonię, przychodzili następni, do innych dzieci, a jej wciąż nie było. Wreszcie

porzuciłam ławkę z widokiem na bramę wejściową, poszłam do sali i wybuchłam płaczem w poduszkę. Park opustoszał po gościach, ławki i świetlica opustoszały. Dziewczynki schodziły się w pawilonie kolonijnym z torbami słodczy, owoców, z czystymi ubraniami, z dodatkowym kieszonkowym, a ja wciąż płakałam w poduszkę. Jedna z koleżanek, Marysia, podeszła do mnie i zapytała, dlaczego płaczę. Powiedziałam jej, że do każdego ktoś przyjechał, tylko do mnie nie. Zaczęła mi tłumaczyć, że może matka zachorowała albo brat, a może spóźniła się na pociąg albo miała jakiś inny ważny powód. Wtedy nie było komórek, zadzwonić można było tylko przez pocztę. Lubiłam ją, była trochę starsza ode mnie, mądra i koleżeńska. Wybrano ją na naszą grupową. Jednak tego popołudnia jej argumenty do mnie nie docierały.

Wtedy też poczułam wielką potrzebę wylania z siebie całego ciężaru zawodu i nieszczęścia. Zaczął się mój słowotok, że mam matkę, która się mną nie interesuje, że jej nie obchodzą moje sukcesy, moje marzenia. Że ojciec pije i bije nas i ją, ale ona kocha jego, nie mnie. Że moja rodzina jest pokręcona i okropna. Całe moje trzynastoletnie życie opowiedziałam Marysi w jednym wielokrotnie złożonym zdaniu, niemal na jednym oddechu. Dopiero wtedy poczułam się lepiej. Marysia przytuliła mnie mocno i tak siedziałyśmy długą chwilę. Potem poszła do swojej szafki, przyniosła mi czekoladę i chusteczkę do nosa. Wytarłam oczy, wysmarkałam nos. Uspokoiliłam się.

To była pierwsza obca osoba, której opowiedziałam o moim domu. Pierwszy raz się nie wstydziłam, czułam tylko wielką potrzebę wyrzucenia z siebie choć części tego, co od lat we mnie tkwiło. Ostatniego dnia kolonii ściskałyśmy się z Marysią długo i serdecznie. Po znajomości z nią pozostało mi ledwie kilka zdjęć, rozjechałyśmy się, ona do Warszawy, ja do mojej trudnej codzienności, i kontakt się urwał.

Dorastałam i wybierałam coraz poważniejsze lektury. Uwielbiałam okres Młodej Polski, rosyjskich pisarzy i sagi. Zaczytywałam się w Tołstoj i Dostojewskim, wyszukiwałam informacje o rewolucji rosyjskiej i o wielkich planach Hitlera. Ojciec też dużo czytał. Lubił kryminały, sensację i książki historyczne. Ja nigdy nie sięgnęłam po żadną z jego książek. Nie lubiłam kryminałów i sensacji. A może powód był inny? Bo co by było, gdybym wzięła którąś z jego książek, a on akurat by jej

potrzebował i nie znalazł? Potem odkryłam opowieści o krakowskiej bohemie, o czasach Przybyszewskiego, jego Dagny i Wyspiańskiego. Oczarował mnie obraz *Szał uniesień* Podkowińskiego – pobudzał mnie do myślenia.

Przez te wszystkie lata raz jeden odważyłam się w domu wypowiedzieć swoją opinię. Było to po przeczytaniu biografii Hitlera.

– Jeden człowiek, a takie wielkie plany: czystość rasy i podbój świata. Uważam, że był szalony, ale odważny. Za to Lenin był tchórzem. Wolał działać w konspiracji niż otwarcie – powiedziałam z mądrą miną.

Ojciec podszedł i uderzył mnie w twarz. Pocięła mi krew z nosa. Płakałam, a on krzyczał, że wybierze się do mojej szkoły i zapyta, czego mnie tam uczą.

Chociaż do szkoły nie poszedł, nigdy więcej nie wypowiedziałam się przy nim na żaden temat. Tym bardziej że zorientowałam się, że jego po prostu nie obchodziło nic, co było związane ze mną, moją nauką i zainteresowaniami. Podczas rozmowy o Hitlerze nie rozumiał, co chciałam powiedzieć. Normalny ojciec próbowałby dopytać, zrozumieć. W naszym domu nie miałam nikogo do jakichkolwiek dyskusji, na żaden temat.

Z rodziną czułam się, jakbym siedziała na bombie. Ciągła krytyka, brak akceptacji, poczucie niekochania przygnębiały mnie. Kiedyś matka dała mi pieniądze na buty. Nie chciało jej się iść ze mną do sklepu, ale gdy przyniosłam swój zakup do domu, stwierdziła, że są za małe, że powinnam była kupić o numer większe. Tak samo krytykowała, że bluzka za ciemna, że rajstopy za cienkie, że czapka zbyt kolorowa. Wszystko, co zrobiłam, robiłam źle. Czułam się zbędna i głupia, niezdarna, nieporadna, bezwartościowa. Taka panna nikt. Matka nie była ze mnie dumna, nigdy mnie za nic nie pochwaliła. Pasożyt, ciężar, nieudacznik – te określenia przychodziły mi najczęściej do głowy, gdy analizowałam siebie.

Chyba nic dziwnego, że w pewnym momencie zaświtała mi myśl o samobójstwie. Długo dojrzewała we mnie chęć skończenia ze sobą. Obmyślałam, jak to zrobię i gdzie. Z jednej strony żal mi było świata, z drugiej nie chciałam dłużej żyć w swojej rodzinie. Były wakacje, a ja

w samotności, gdzieś w lesie, siedziałam na rozłożystej lipie i rozmyślałam, jak się uśmiercić.

Tworzyłam różne scenariusze. Rozwazałam, czy matka będzie płakać, czy się ucieszy. Najbardziej zachwyciło mnie, że całe miasto się dowie, że popełniłam samobójstwo, co oznaczałoby, że coś w domu było nie tak. Chciałam, żeby cały świat poznał prawdę o naszej sytuacji, żeby wreszcie znikły pozory stwarzane przez matkę. Miałam dość podwójnego życia. Nie potrafiłam zespolić pięknego, radosnego funkcjonowania poza domem i smutnego, bolesnego w nim. Zbyt wielka przepaść była między nimi. Zbyt różne to były światy. A ja tkwiłam w niemocy pośrodku. Nikt nie mógł mi, nam, pomóc.

Więc jak się zabić...? Rzucić się pod pociąg? Odpada, nie zaryzykuję, żeby się nie udało i żebym musiała trwać bez nóg lub rąk. Skoczyć z balkonu koleżanki na twardy beton? Nie, tego nie mogłabym jej zrobić. Postanowiłam się otruć. Kupowałam po jednym opakowaniu tabletek przeciwbólowych, zbierałam je przez kilka tygodni. Wreszcie zjadłam wszystkie. Spacerowałam po dworze, czekając na efekt. Długo nic się nie działo i zaczęłam wątpić w skuteczność leku. Po jakimś czasie poczułam senność. Położyłam się do łóżka. Nie wiem, co było dalej, słyszałam głosy, ktoś mnie tarosił. Przyjechała karetka pogotowia. Coś mi zaaplikowali. Wciąż byłam w domu. Nie potrafiłam poruszyć żadną częścią ciała. Moja ulubiona ciotka Marta siedziała przy mnie. „Kiedy przyjechała?” – starałam się logicznie myśleć. Ciotka mówiła do mnie łagodnie, przytulała, głaskała. Wszystko było takie odległe, niewyraźne, niejasne.

Nawet nie wzięli mnie do szpitala, mój plan całkowicie spalił na panewce. „Pewnie za mało wzięłam tabletek” – kombinowałam w półśnie. Potem chyba zasnęłam.

Obudziłam się w szpitalu. Pewnie ciotka ponownie wezwała karetkę. Opiekowała się mną malutka, starsza pielęgniarka. Polubiłam ją, czekałam, kiedy zacznie swoją zmianę. Była ciepła, serdeczna, zawsze uśmiechnięta. Za to nikt z rodziny mnie nie odwiedził.

Kiedy wróciłam do domu, długo dochodziłam do zdrowia, dużo leżałam. Pewnego dnia ojciec podszedł do mojego łóżka.

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedział bez agresji i bez troski. Tak jakby mówił: „Gabrielo, kup chleb po szkole”.

Nie udało mi się umrzeć, jednak liczyłam na to, że ta próba nie pójdzie na marne, że da im do myślenia. Czy zauważą we mnie zagubioną, zalęknioną córkę? Ciotka Marta wciąż była u nas. Raz podsłuchałam, jak rozmawia z matką. Matka nie zastanawiała się, dlaczego to zrobiłam. Nie spytała mnie o powód. Ciotce też nie pozwoliła drażnić tego tematu; zagadała ją opowieścią o tym, jak to sądziła, że wyjadę na wakacje, na kolonie lub na obóz. Według niej nie byłoby tego wszystkiego, gdybym gdzieś pojechała, czymś się zajęła. Ani jej, ani ojca nie interesował powód mojego targnięcia się na życie.

Jakaż ona była płytka, jak mało w niej było ludzkich odruchów! Więcej empatii miała moja szkolna koleżanka, Bożena, której sąsiadka pracowała w szpitalu i widziała mnie na oddziale. Po wakacjach Bożena przyznała się, że wie o mojej próbie samobójczej. Pytała, co mnie do tego skłoniło. Było mi wstyd przyznać, że to przez bicie, życie w ciągłym strachu, w osamotnieniu i bez miłości. Wymyśliłam na poczekaniu, że się nieszczęśliwie zakochałam. Po kilku spotkaniach on mnie rzucił, zobaczyłam go z inną, jak szli przytuleni. Jest przystojny, starszy ode mnie, student, mądry i dowcipny.

– Wciąż go kocham, a bez niego życie straciło sens – tłumaczyłam.

Uwierzyła i stwierdziła, że musiałam go bardzo kochać, skoro zdobyłam się na coś tak drastycznego. To była jedyna osoba, która mnie wysłuchała. Która mnie przytuliła.

W liceum miałam przyjaciółki, koleżanki i kolegów, ale mój dom był tematem tabu. O mojej sytuacji nigdy nikomu nie opowiadałam. Czego się bałam? Czy nie wierzyłam, że ktoś może mi pomóc? Wtedy w szkole nie było psychologa, jedynie higienistka, która sprawdzała włosy i paznokcie, mierzyła nas, ważyła – i na tym koniec. „Gdybym komuś wyznała prawdę, ojciec chyba by mnie zatłukł, a matka płakałaby nad moją niewdzięcznością” – zdałam sobie sprawę. Nie mogłam się zdobyć na odwagę, bo zżerały mnie wyrzuty sumienia. Tego typu dylematy są we mnie do dziś, wciąż nie znajduję w sobie stanowczości, ciągle szukam potwierdzenia swoich wyborów.

Byłam licealistką, marzyłam o chłopaku. Wreszcie – stało się. W kolejne wakacje się zakochałam. To był mój pierwszy poważny związek, wszystko było pierwsze.

Już dawno postanawiałam sobie, że chłopak, za którego wyjdę za mąż, będzie całkowitym przeciwieństwem mojego ojca. Wygląd nie miał znaczenia. Nie musiał być duszą towarzystwa, bo tacy mizdrzą się do każdej spódniczki. Najważniejsze, żeby był opiekuńczy, zero agresji. Zwyczajny, nie nadzwyczajny, najnormalniejszy w świecie dobry człowiek. A ja chciałam czuć, że jestem dla niego najważniejsza.

Chłopak, którego wybrałam, właśnie taki był. Wielu zabiegało o mnie, lecz nie brałam ich poważnie pod uwagę. Przystojni, wysportowani, gadatliwi, żartownisie, dusze towarzystwa. Testowałam ich, sprawdzając, czy mają cechy charakteru ojca. W każdym widziałam coś z niego. Wypełniałam ich ankietę osobowościową i odpadali. Nie nadawali się.

Tylko Paweł był inny. Troszczył się o mnie. Pytał, czy mi ciepło i na co mam ochotę. Interesował się moimi egzaminami, klasówkami, występami chóru i co mam zadane. Słuchał mnie. Lubił słuchać. Snuliśmy wspólne plany i wcale nie spieszyło mu się do seksu. Szanował mnie. Byłam taka zakochana.

Kiedy powiedziałam matce, że mam chłopaka, w ogóle ją to nie zainteresowało. Ani jak wygląda, ani gdzie się uczy. Spytała tylko, jak się nazywa i gdzie mieszka. Powiedziałam nazwisko. Znała jego rodzinę; stwierdziła, że mam się go trzymać, bo pochodzi z bogatej rodziny. W ogóle mnie to nie zdziwiło, taka była, materializm ponad wszystko.

Tak, była materialistką. Ledwo przyszło mi to do głowy, a już chcę ją tłumaczyć, że pewnie to z ciągłego braku pieniędzy. Dla posiadania mogła zrobić wszystko. Wykorzystywała sympatię swojej siostry do mnie i namawiała ją do kupowania mi sukienek, ubrań – bo ja potrzebuję, a ona taka biedna. Zresztą nie musiała jej niczego sugerować, bo kochana ciotka Marta sama z siebie to robiła. Kupowała mi ładne sukienki, kokardy do włosów, kolorowe rajstopy. Matka babcię też potrafiła podejść. Na przykład w sprawie prawa jazdy Beni. Miały zapłacić po połowie. Gdy przyszła kolej matki, wycofała się z umowy, jeszcze nawrzeszczała na babcię. Nie wiem, kto ostatecznie dopłacił resztę, ale siostra zdobyła prawo jazdy.

Z całej naszej czwórki dziadkowie najbardziej kochali najstarszą wnuczkę. Właściwie traktowali ją jak własne późne dziecko. Mnie też lubili, ale za nią szaleli, na wszystko jej pozwalali, rozmawiali, śmiali się, pewnie dlatego, że tak długo z nimi mieszkała.

Jak już opowiadałam, po sprzedaży gospodarki dziadkowie kupili dom na osiedlu podmiejskim, a Bernadecie i mnie założyli lokaty w banku i wpłacili duże kwoty na start w dorosłe życie. Babcia bardzo się z tego cieszyła, więc pokazała nam książeczki z lokatami. Nie znam więcej szczegółów ani nie wiem, kto był upoważniony do wypłaty, zanim osiągniemy pełnoletniość. Wiem tylko, że po kilku latach była wielka awantura za ścianą, z wygrażaniem i wyzwiskami – o te właśnie pieniądze na nasz start w dorosłość. Matka się ich domagała, ostatecznie je zdobyła i się rozplynęły. Wydała na coś ważnego albo na jakieś bzdury, dziś nieważne na co, ważne, że okradła własne dzieci.

Nigdy nam tego nie oddała, a ja nigdy się nie upominałam o zwrot. Gdybym to zrobiła, dostałabym jej starą śpiewkę: o wychowawczym trudzie, o alkoholizmie ojca, o łóżeniu na moją szkołę. Tłumaczenie zakończyłaby pytaniem: „Mało dostałaś od nas w życiu?”.

Matka była nadzwyczaj kłótniwą osobą. Gdy przyjeżdżali do nas jej bracia albo siostra, zawsze były awantury. Z ciotką Martą kłóciły się o drobiazgi. A przecież ciotka była ciepła i miła. Czemu tylko dla matki była inna...?

Wujów też lubiałam, zazdrościłam ich dzieciom tego, jak są traktowane. Ilekroć ich odwiedzałam, widziałam, jak kochają swoje dzieci, jak potrafią im to okazać. Tylko z moją matką nie umieli się dogadać. Czy to ona robiła im na złość, czy oni mieli jej dość? Nie mogłam tego zrozumieć.

Jeden wuj miał trzech synów, którzy zawsze pchali się mu na kolana. On jakby tego nie zauważał, rozmawiał, odruchowo pomagając któremuś się wgramolić. Potrafił jeść kolację i równocześnie karmić któregoś z chłopców. Moja matka nie mogła tego znieść.

– Dzieciaki, na dwór! – wołała. – Nie przeszkadzajcie dorosłym.

Dzieci zawsze jej przeszkadzały, każde, swoje najbardziej. Drażniło ją, jak ktoś poświęcał im więcej uwagi niż jej. Gdy wyganianie nie skutkowało, zwracała się do wuja:

– Nie słuchasz mnie, wciąż tylko chłopcy. Każ im iść na dwór.

Irytowało ją, gdy uważniej słuchał, co mówi jego synek niż ona. Znów ją tłumaczy, że taka była, bo żyła w złym związku, a jej rodzeństwo umiało lepiej ułożyć sobie życie.

Najlepszy kontakt miałam z młodszą siostrą. Jak już wspominałam, mimo że byłam starsza, to Justyna była dla mnie podporą. Wyższa ode mnie, pewna siebie, nie dała sobie w kaszę dmuchać. Był czas, kiedy byłyśmy największymi przyjaciółkami. To był dobry okres. Niestety, nie przetrwał. Dlaczego? Myślę, że przez naszych chłopaków, którzy przesłonili nam cały świat.

Gdy Justyna była nastolatką, chodziłyśmy razem do dyskotek, do kina, na spacer, na rowery. Była bardzo wesołą dziewczyną i na luzie podchodziła do życia. Pożyczałyśmy sobie ciuchy, pieniądze. Zwierzałyśmy się sobie. To ona pierwsza opuściła dom rodzinny, chociaż wciąż była jeszcze w liceum. Oczywiście dla chłopaka. Czułam do niego żal, że zabrał mi siostrę i że mieszkali w innej miejscowości. Na szczęście miałam Pawła.

Jemu zawdzięczam też to, że ojciec zmienił swój stosunek do mnie. Może się wstydził? A trzeba mu przyznać, że potrafił świetnie grać, szczególnie gdy chciał zrobić dobre wrażenie. Tylko matkę wciąż potajemnie poniżał, wyzywał i to jej wygrażał.

Paweł uczył się w Warszawie, ja w miejscowym liceum. Marzyłam o tym, że po maturze również wyjadę do stolicy. Na razie musiałam tu wytrzymać, uczyć się, zdać maturę i dopiero wtedy: witaj, wolności!

Rodziców nie interesowało, co zrobię ze swoim życiem. Matka chodziła na wywiadówki, bo tak wypadało i domagali się tego wychowawcy, lecz nie miała pojęcia, jakie przedmioty lubię, a jakich nie cierpię. Do brata na wywiadówki najczęściej chodziłam ja. Nie znała moich planów pomaturalnych, życiowych, żadnych. Nic nie wiedziała o moich przyjaciółkach ani co robię do wieczora po szkole. Postawiła sobie dwa cele: karmić nas i jak najszybciej wydać za mąż, i to bogato. Nie miały znaczenia miłość, aspiracje, liczył się tylko majątek. „Jedź szybko i idź” – to jej ulubione słowa. Gdy znikaliśmy jej z oczu, oddychała z ulgą. Ale oczywiście robiła dobrą minę do złej gry, więc potrafiła chwalić się znajomym:

– Gabriela chodzi do liceum. Nauczyciele znów chwalili Gabriele. Gabriela śpiewa w chórze.

Jak zwykle na zewnątrz tworzyła kolorowy portret rodzinny, a w rzeczywistości była królową lodu, nie matką.

Prawda była taka, że i Bernadeta, i ja, i Justyna chciałyśmy jak najszybciej uciec z domu. Beni udało się to najwcześniej, potem Justyna poszła w jej ślady. Obie wyszły za mąż, gdy tylko osiągnęły pełnoletność. Na szczęście z miłości. Ja jako druga powinnam założyć rodzinę, ale stało się inaczej.

Zgodnie z planami po maturze przenieśliśmy się do Warszawy, gdzie uczył się Paweł, mój ukochany. O mały włos nic by nie wyszło z tych planów, bo ledwo dałam radę przygotować się do matury. W domu nie miałam warunków do nauki i często szłam do szkoły nieprzygotowana. Tak było w podstawówce i liceum. W ciepłe wiosenne czy jesienne dni mogłam wkuwać na dworze, jednak zimą tak się nie dało. Nerwowa atmosfera, krzyki, wyzwiska nie sprzyjały skupieniu, a już na pewno nie nauce. Nie sprzyjały niczemu. Matka nigdy mnie do niczego nie zachęcała. Nigdy w domu nie padły słowa „kocham cię, wierzę, że potrafisz”.

Dziś, słysząc kampanię reklamową w mediach na temat ważności pochwał w życiu dziecka, mam łzy w oczach. Chciałabym krzyczeć do niedowiarków: Tak, to prawda, krótkie, jasne i pozytywne komunikaty działają, mają wielki wpływ na maluchy! Mówcie dzieciom: „Dasz radę, synku. Jesteś taka mądra, córeczko! Jesteś kimś wyjątkowym!”. Chciałabym wejść na podium i krzyczeć: „Mówcie swojej małej córeczce: »Potrafisz! Wierzę w ciebie!«”. Całe moje wnętrze woła: „Uświadcmy rodziców, że jeśli chcą mieć zdrowe psychicznie dziecko, niech je wspierają prostymi słowami: »Możesz na mnie liczyć. Kocham cię«”. Ja wciąż słyszałam, że nie dam rady, że to nie dla mnie. Słyszałam na każdym kroku: „Idź mi stąd! Daj mi spokój! Nie zwracaj głowy!”.

Ja NIGDY w życiu nie usłyszałam od matki, że jestem ładna, mądra, że mnie kocha, że jestem jedyna w swoim rodzaju. Potrzebowałam tego, czasem wręcz ją prowokowałam, żeby usłyszeć, że ładnie wyglądam w nowym ubraniu czy fryzurze. Nie doczekałam się. Wychowywałam się i rosłam w poniżeniu i krytyce. Razem ze mną rosło przekonanie o mojej

nijakości i bezwartościowości. Matka mi to wpoila tak dobrze, że do dziś mam problem z realizacją jakiegokolwiek pomysłu.

To dlatego oblałam egzamin na studia. Nie próbowałam ponownie. „Jestem do niczego – stwierdziłam. – Matka miała rację”. Skończyłam studium pomaturalne.

Brak mi wiary w siebie. Boję się wszystkiego, nie wychyłam się, mimo wielu szalonych pomysłów. „Kocham cię, Gabrysiu” – to tak mało słów, a mają bezcenną wartość. „Kocham cię, córeczko” – najprostsze słowa na świecie, a jednocześnie pełne magii. „Kocham cię, córeczko” – nigdy tego nie usłyszę...

Paweł pochodził z tego samego miasteczka co ja, po studiach chciał wrócić w rodzinne strony, choć ja wolałabym zamieszkać wszędzie, byle nie tam.

Matka zawsze powtarzała, że najważniejsze to zdobyć zawód i jak najszybciej iść do pracy, zacząć zarabiać. Każda inna ścieżka jej się nie podobała. Gdy chciałam pojechać na kurs przewodników turystycznych, zrzędziła:

– Po co ci to. Pojedziesz i tak ci się nie spodoba, stracisz pieniądze na podróż i tyle. Ty nie masz do tego zdolności, nie nadajesz się. To praca z ludźmi. Liczy się tylko, żebyś wreszcie miała swoje pieniądze.

Każdy mój pomysł spotykał się z jej krytyką. A ja miałam zbyt mało wiary w siebie, żeby nie wierzyć matce. Dla niej nie miało znaczenia, jak mi poszła matura, ważne było jedynie: zdałam czy nie. Ona nie wiedziała, jakie dodatkowe przedmioty wybrałam, czy się denerwowałam. Brakowało mi jej zainteresowania moją nauką. Źle mi z tym było. Byłam samotna, choć przecież nie sama.

Byłam już dorosła i w niczym się z nią nie zgadzałam, ale robiłam, jak mi kazano. Mój bunt nastolatki tkwił tylko we mnie, nigdy nie opuścił mojej głowy. Nie wolno mi było wykrzyczeć swoich racji, złościć się głośno, nie zgodzić się. Nienawidziłam jej, ale przecież była moją matką, nie umiałam się wyzwolić spod jej wpływu. W jakiś chory sposób byłam z nią związana uczuciowo. Współczułam jej, martwiłam się o nią, a jednocześnie jej nienawidziłam.

Pojechałam do Warszawy. Zamieszkałam na stacji. Byłam dorosła i sama decydowałam, na co wydać stypendium i pieniądze z domu. Nie zamieszkaliśmy z Pawłem, w latach siedemdziesiątych nie było popularne życie razem bez ślubu. Byliśmy grzeczni, rozsądni, poukładani. Tak było dobrze, wystarczyło nam, że spotykaliśmy się w każdej wolnej chwili. W niedziele Paweł zabierał mnie na obiad do jakiegoś lokalu. Łaziliśmy po parkach, nad Wisłą, po sklepach. Wysiadywaliśmy na Starym Mieście, chodziliśmy na różne imprezy plenerowe i do kina. Uczyliśmy się. Wielkie miasto miało swój urok, choć była głęboka komuna. Paweł kupił mi dzinsy z Peweksu, sobie zresztą też – za franki kupione gdzieś za rogiem. To był najpiękniejszy ciuch, jaki kiedykolwiek miałam. Błękitne dzinsy tak świetnie opinały mi pupę. W nich wpadałam w samouwielbienie.

Jednak cały ten wielkomiejski sznyt to nie był nasz klimat. Oboje zgodnie uważaliśmy, że życie w metropolii nas nie pociąga. Ja kochałam naturę. Ciągnęło mnie na leśne polany, gdzie godzinami mogłam liczyć kuknięcia kukulek. Wieczorami przesiadywałam na dworze, kojąco działał na mnie śpiew słowików. Uwielbiałam siadać nad dzikimi strumykami, patrzeć w ich nurt, rozmyślać, marzyć. W Warszawie było za głośno, za dużo rozmów naraz. Za dużo ludzi. Pragnęłam ciszy.

– Cisza wcale nie jest niema – mówiłam Pawłowi. – Ona mówi inaczej, a jej mowa mnie uspokaja.

Po ukończeniu nauki wróciliśmy do rodzinnego miasta. Planowaliśmy nasz ślub. Matka bardzo się ucieszyła, bo irytowało ją nasze długoletnie chodzenie. Bywało, że wyzywała mnie od dziwek. Bo ileż można chodzić z jednym chłopakiem? Wstyd przed ludźmi. Paweł jest z dobrego domu, nie to co ja. Jak się rozmyśli, zostanę starą panną, bo nikt inny mnie nie zechce – to jej wnioski. Pewnie po cichu się modliła, żebym zaszła z nim w ciążę. Wtedy nie podejrzewałam jej o takie marzenia, dziś myślę, że to do niej podobne. Ślub szybko nie nastąpił. Pragnęliśmy sami postanowić, kiedy go wziąć. O tym nie mógł decydować nikt inny, ani moja matka, ani rodzice Pawła. Wreszcie czułam, że wiele ode mnie zależy, że zaczęłam być kreatorką swojego życia. To niesamowite uczucie, nigdy wcześniej tego nie zasmakowałam.

Zaczęłam pierwszą w życiu pracę w administracji służby zdrowia. Ach, jaka ja wtedy byłam szczęśliwa! Każdy zakup był pierwszy. Pierwsza

bluzka za pierwsze pieniądze. Pierwszy płaszcz, ręcznik, kapcie, spodnie, szlafrok. Pierwszy mój własny rower, niebieski składak.

Część pierwszej wypłaty oddałam matce. W końcu znów mieszkałam z nią, z nimi. Paweł przyjeżdżał do mnie samochodem swojego ojca. Wszędzie jeździliśmy autem, a mojego roweru zaczęła używać matka. Wkrótce składak stał się jej podstawowym i codziennym środkiem lokomocji. Nie żałowałam jej go, przywykłam, pogodziłam się ze stratą.

Mój związek z Pawłem się rozwijał. Byliśmy na sto procent pewni, że chcemy razem się zestarzeć. Wybrałam się więc do ginekologa porozmawiać o antykoncepcji. Zbadał mnie i zalecił tabletki antykoncepcyjne. Matka o niczym nie wiedziała, przecież nigdy nie rozmawiała ze mną na żadne poważne tematy. W sprawy kobiecości, dojrzewania, miesiączek, zamążpójścia i tym podobne wtajemniczała mnie nie ona, a babcia – po swojemu, jak potrafiła.

Matka nie pomogła mi nawet w zakupie pierwszego stanika. W podstawówce wiele dziewczynek nosiło małych rozmiarów staniczki. Gdy nadszedł czas, że i mnie by się przydał, zbierałam każdy grosik. Nie wiedziałam tylko, jak się stanik kupuje, czy trzeba go przymierzyć. Wybrałam na oko. Dopiero wieczorem potajemnie go przymierzyłam. Nie pasował. Byłam zrozpaczona. Wiele miesięcy później uzbierałam na drugi. Koleżanki chwaliły się, kupowały biustonosze z matkami, to było ich święto. Ja zmagalam się z tym sama, nieporadnie, bardzo onieśmielona.

Moja matka była prawdziwą hipokrytką. Z jednej strony nie interesowała się mną, ale gdy znalazła u mnie tabletki antykoncepcyjne, zrobiła mi straszną awanturę. Nie przejmowała się, że byłam dorosła. Dowiedziałam się, że jestem dziwką, że strasznie grzeszę i będę potępiona. Że Paweł mnie wykorzysta i porzuci jak szmatę. Tyle okropnych słów, bardzo to bolało... A przecież powinnam się uodpornić na wyzwiska i krytykę.

Po naszym powrocie z Warszawy ojciec starał się być dla Pawła jeszcze miłszy, rozmawiał z nim, dopytywał o plany, opowiadał dowcipy. Wymądrzał się na różne tematy, jakby chciał zabłysnąć wiedzą.

To chyba wtedy wszystko się odwróciło o sto osiemdziesiąt stopni. Matka już mnie nim nie straszyla, on nie wyzywał. Czyżby w ten sposób okazywali mi, że jestem dorosła?

Paweł znał wiele faktów z mojego dzieciństwa, lecz teraz nawet polubił ojca.

– Może na starość się zmienia – mówił.

– To nie zmiana – odpowiadałam. – To gra.

Znałam każdy grymas ojca, nawet jego milczenie było dla mnie wymowne. Nie musiał nic mówić, ja wiedziałam, kiedy kipi w nim nienawiść, a kiedy powstrzymuje się od wybuchu agresji. Jednak wtedy i we mnie zaświtała myśl, że jego opanowanie może być początkiem zmian i oznaczać głębokie przemyślenia nad dotychczasowym postępowaniem. Nawet zaczęłam sobie wyobrażać, że to, że się hamuje, oznacza początek trwałej przemiany. Może ci wszyscy święci, do których się żarliwie modliłam przez całe dzieciństwo, w końcu zajęli się moją sprawą? Tylko czy ktoś taki jak ojciec jest godzien ich zainteresowania i interwencji?

Ojciec był niepraktykujący. Do kościoła chodził raz na kilka lat i to nie z potrzeby, a pod presją matki – z okazji jakiegoś ważnego święta czy uroczystości rodzinnej. Nigdy się nie spowiadał. Matka regularnie biegła do kościoła, nas też wysyłała na mszę. O tych, którzy nie uczestniczyli w niedzielnych modlitwach, mawiała:

– Żyją jak świnie, tylko śpią i jedzą.

Nie mogła pojąć, jak niedziela może nie różnić się od dnia powszedniego. Zawsze bulwersowali ją niezbyt religijni znajomi. Tylko ojca za to nigdy nie krytykowała. Jego kochała takiego, jaki był, nas nie.

Przed matką zawsze miałam wiele zahamowań. Od wczesnego dzieciństwa byłam zamknięta w sobie, Bernadeta zresztą też. Ona żyła jakby w innym świecie, do którego nikt nie miał wstępu. Najwcześniejsze lata spędziłyśmy razem, ale zawsze wydawała mi się zimna, nieco obca. Kobiety mojego życia, matka i starsza siostra, tak odległe, mimo że na wyciągnięcie ręki.

W podstawówce robiliśmy laurki na Dzień Matki lub Dzień Kobiet. Bardzo się starałam, żeby były ładne. Chciałam, żeby graficznie były wymowne, jasne i ciepłe. Za to z tekstem w środku miałam problem. Inni kaligrafowali „Kochanej Mamusi, Najdroższej, Jedynej, w podziękowaniu za...”. Ja nie mogłam tak napisać, bo tego nie czułam. Umieszczałam kilka obojętnych słów: „W dniu święta kobiet wszystkiego dobrego, Gabrysia”.

A robienie laurki i tak było łatwiejsze niż jej wręczenie. Pani co roku kazała nam podarować nasze prace mamom następnego ranka albo zaraz po powrocie ze szkoły. Tylko raz wykonałam jej polecenie. Wstydziłam się, bo podczas wręczenia laurki wypadałoby coś powiedzieć.

Przez cały dzień ćwiczyłam dawanie i to, co powiem. W końcu podeszłam do matki, wymamrotałam coś pod nosem i podałam jej kartkę. Nie podziękowała, nie zajrzała do środka; uśmiechnęła się tylko lekko i koniec. Nie wyeksponowała laurki na szafce czy stole. Nie pochwaliła mnie za trud, za pomysł rysunku. Cała moja matka, uboga w okazywaniu uczuć, w zachwycaniu się własnym dzieckiem, w ludzkie odruchy. Nie oczekiwałam, że mnie przytuli, że będzie dumna, chociaż wiedziałam, że u moich koleżanek to nastąpiło.

Wszystko to minęło. Wyrosłam z laurek, zaczęłam przyprowadzać Pawła w dniach różnych świąt i uroczystości. To on wręczał coś i mówił za nas dwoje. Ojciec był wniebowzięty, matka też świetnie odgrywała sielankę. Ojciec częstował Pawła alkoholem, zabawiał. Ależ oni go wychwalali! Że robotny i grzeczny, że pracuje w rodzinnej firmie. Kupował mi prezenty i przyjeżdżał samochodem. Nigdy nie rozmawiałam z matką o naszych planach, o tym, jaki jest Paweł. Jedynie, co miała mi do powiedzenia, to:

– Byście się w końcu pożeni. Wstyd tyle lat chodzić z chłopakiem. Wstyd przed ludźmi.

Pobraliśmy się w cudny jesienny dzień. Było ciepło i kolorowo. „Mamy ślub w rudościach” – cieszyłam się. Wymarzyliśmy sobie wesele w rodzinnym gronie, skromne i najlepiej w domu, bez tych wszystkich tradycyjnych szopek. Niestety, rodzice Pawła chcieli huczne, z całą, nawet najdalszą rodziną, koniecznie w lokalu i z zespołem muzycznym. Poszliśmy na kompromis, zgodziliśmy się na zaproszenie najbliższej rodziny i przyjaciół do lokalu, jednak i tak wyszła duża impreza. Źle wspominam ten rozgardiasz weselny. Byłam onieśmielona, niektóre osoby słabo znałam, tylko z widzenia. Musieliśmy to przetrwać, dla świętego spokoju. Uległam matce Pawła, która błagała mnie wzrokiem, żebym wpłynęła na jej syna. Pewnie wtedy załapałam pierwszy plus u teściowej, na samym starcie. Ona nie mogła wiedzieć, ile kosztowało mnie przełamanie nieśmiałości. Może dlatego do dziś lubię spędzać czas tylko z bliskimi znajomymi?

Zamieszkaliśmy w wynajętym mieszkanku. Byliśmy tacy szczęśliwi. Znałam Pawła od lat, lecz wciąż odkrywałam nowe cechy jego osobowości. Uwielbialiśmy przebywać w swoim towarzystwie, tęskniliśmy za sobą w ciągu dnia. Mogliśmy siedzieć godzinami, przytuleni i bez słów. Wiele razy trafnie odgadywałam, co mu chodzi po głowie, wiele razy w tym samym momencie myśleliśmy o tym samym. Do dziś zdarza się, że jednocześnie pytamy o swoje myśli. A najważniejsze było to, że tak samo wyobrażaliśmy sobie nasz dom, w nim dzieci i my – starzejący się, wciąż piękni, bo wciąż zakochani. Wiele osób zauważało, że nasze małżeństwo jest inne niż większości par. Przyjaciele nazywali nas przytulacami. Oboje pracowaliśmy, dzięki czemu mieliśmy dobrą sytuację finansową, bardzo stabilną. Paweł miał nienormowany czas pracy i dużo przebywał poza domem. Bywał przemęczony, nie każdy weekend miał wolny; często wracał w nocy. Dlatego tym bardziej celebrowaliśmy i docenialiśmy każdą wspólną chwilę.

Urodziłam bliźnięta. To była najszczęśliwsza chwila w moim życiu. Chłopcy byli przeuroczy. Piękni, zdrowi i jak na bliźniaczą ciążę – dorodni. Mikołaj i Bogusz zrekompensowali mi zło całego świata. Nagle z dwojga zrobiło się nas czworo. Musieliśmy pomyśleć o większym mieszkaniu. Postanowiliśmy, że nasi synowie będą dorastać w domu z ogrodem, z psem, kotem, ze swoimi pokojami. Szukaliśmy odpowiedniego miejsca pod budowę. Któregoś dnia ojciec zaproponował Pawłowi, żebyśmy pobudowali się w ich ogrodzie.

– Odpiszemy wam, ile trzeba, i cześć – tak mu powiedział.

Zadziwił mnie. Od dłuższego czasu nasze relacje były nie tylko poprawne, lecz wręcz przyjazne. Od dawna też przestałam analizować przeszłość, litować się nad sobą, przyglądać matce i ojcu. Byłam zakochana, szczęśliwa w małżeństwie i całkowicie zaabsorbowana synkami. Żyłam jakby w innej czasoprzestrzeni. Dostrzegałam uroki życia, smakowałam prawdziwą miłość i macierzyństwo. „Że też tak może wyglądać życie – dziwiłam się. – Ile jest tak szczęśliwych osób, związków jak nasz? I jaka szkoda, że moja matka jest tak uboga w uczucia, których ja doznaję na co dzień”.

Zachwycało mnie, jak dzieci cudnie pachną, gaworzą, jak nieporadnie stawiają pierwsze kroki. Potem wkładają buki na nieodpowiednią nóżkę

i trzymają łyżkę kurczowo, całą dłonią. Poznawałam odmienne charaktery moich chłopców. Mikołaj był uczuciowy, bardziej kapryśny, indywidualista. Do tego uparciuch, któremu ulegałam i ulegam. Bogusz zawsze był bystry, nasza Zosia samosia, miał niesamowitą pamięć.

Trzej mężczyźni mojego życia, trzy największe miłości. Trzech budrysów.

Moje szczęście działa się naprawdę, a ja wciąż w to nie dowierzałam. Ja, wcale niezwykajna, nieprzeciętna, bo zawsze we wszystkim najgorsza, miałam tyle szczęścia w życiu, w miłości, w małżeństwie. Poezja życia i różowe okulary do patrzenia na świat. To były niesamowite odczucia. Stałam się główną bohaterką bajki. Dobrej bajki. Najpiękniejszej.

To wszystko, co przeżywałam, w co momentami nie wierzyłam, spowodowało, że zupełnie inaczej spojrzałam na świat i życie. Wszystko stało się jasne, prawdziwe i wyraźne. To, co było, minęło bezpowrotnie. W głowie wciąż grał mi Asnyk, że trzeba z żywymi naprzód iść i po życie sięgać nowe.

Wy nie cofniecie życia fa!

Bezsilne gniewy, próżny żal!

Nic skargi nie pomogą.

Świat pójdzie swoją drogą![2]

Posłuchałam wieszczka, przestałam oglądać się za siebie. Zrozumiałam, że to mój ojciec potrzebował pomocy, terapii, chociaż przez całe pijackie życie uważał, że nie jest alkoholikiem. Niechby ktoś go tak nazwał, od razu kipiał jadem, gotów zmiążyć tego, kto tak uważał. Matka z kolei tkwiła w toksycznym związku na własne życzenie. Mogła wiele, choć pewnie się bała pijaka, konsekwencji odejścia, a najbardziej nowego, tego, co ją czekało. Ojciec potrafił nią manipulować.

Gdy zaoferował nam kawałek działki, pomyślałam, że może się opamiętał. A może po prostu zaczął się starzeć?

Na oboje zaczęłam patrzeć z politowaniem. „Biedacy, pogubili się” – myślałam. Żadne nie chciało się zmienić ani sobie pomóc. A przecież tyle razy namawiałam matkę na terapię małżeńską u psychologa.

A wracając do naszego budowania się w ich ogrodzie. Dopadło mnie pytanie, dlaczego moje siostry wyniosły się do innych miast? Dlaczego najstarsza nie pobudowała się gdzieś obok? Przecież pierwsza wyszła za mąż. Justyna też mogła tu zamieszkać, postawić dom.

Pewnie dlatego, mimo propozycji ojca, jeździliśmy po mieście i oglądaliśmy działki z ogłoszeń. Jedna za mała, inna za wąska albo za blisko wysypiska śmieci, kolejna wściekle droga, jeszcze następna w trakcie postępowania spadkowego, a gdy kawałek ziemi ma czterech spadkobierców, zaczynają się kłopoty.

Po miesiącach bezskutecznych poszukiwań zapadła decyzja: budujemy się w ogrodzie rodziców. Projektowanie domu, planowanie wykończenia – kolejne powody do szczęścia. Mikołaj i Bogusz skończyli cztery lata, kiedy wprowadziliśmy się do nowego domu. Pożegnaliśmy się ze stacją i rozpoczęliśmy kolejny etap naszego życia.

Matka często u nas bywała. Trudno się dziwić, mieszkała za płotem. Gdy zainstalowaliśmy nową kuchnię i gotowałam pierwszy obiad, usłyszałam pierwszą radę:

– Połóż coś na podłogę, jak smażyysz, bo zniszczysz parkiet.

Nie położyłam, za to odpowiedziałam złośliwie:

– Jak się zniszczy, wymienimy podłogę.

Nie znosiłam żadnej krytyki, nie tolerowałam żadnych porad, zwłaszcza jej. Odkąd wszystko zależało ode mnie, mogłam robić, co i jak zechcę. Ponad dwadzieścia lat żyłam w cieniu, ciągle krytykowana i pouczana. Wszystko musiało być tak jak sobie życzyła matka, ja nie miałam prawa do własnych opinii, upodobań. Właściwie nie miałam preferencji, zostawały w sferze marzeń. Odkąd stałam się panią domu, mojego domu, przyznałam sobie prawo do bycia rozrzutną i niegospodarną. Mogłam być największą bałaganiarą lub nieudacznikiem w kuchni.

– Mój cyrk i moje małpy – mówiłam jej.

Matka wpadała do nas, ja wpadałam do rodziców, bo tak powinno być. Moi synowie odwiedzali dziadków, bywaliśmy u siebie nawzajem na kawie, zaprosiliśmy ich na Wigilię. Normalne relacje, poprawne

sąsiedztwo. Mimo to moja matka nie oduczyła się krytykowania, moje słowa nie dały jej do myślenia.

– Kupujesz chłopcom białe skarpetki, trudno je doprać, kupuj kolorowe – radziła.

– Adidasy na styk im kupiłaś. Szybko wyrosną i wyrzucisz. Kupuj większe.

– Raz ubrane i pierzesz, kiedyś tak nie było.

– Po co tak długo świecicie światło?

– Wczoraj dwa razy jechaliście do miasta, musiałaś? Paliwo wypalasz.

– Ręcznik do rąk zawsze dawaj ciemniejszy.

– Nie lej tyle tego płynu do naczyń! Za dużo oleju. Za mało soli. Za dużo cukru. Za mocna herbata, za słaba, za droga. Na stół połóż ceratę, obrusy są niepraktyczne. Ten kwiat tam ma za ciemno, ten za sucho. To za duże, to za małe, za blisko, za mocno, za słabo...

O Boże, ja tu zwariuję!!!

Bywało, że przez nią płakałam. Bywało, że się pokłóciłyśmy, nie rozmawialiśmy wiele dni. Ojciec milczał i był dla nas miły. Kochał wnuków albo udawał, że kocha. Był dla nich dobry, ale i tak zawsze patrzyłam na niego podejrzliwie.

W jednej z naszych szaf znalazłam jego stare płaszcze i marynarki. Wisiały sobie na wieszakach z naszymi, tyle że z tyłu, jakby ukryte.

– Mamo, co to znaczy? Wsadziłaś bez pytania wasze ciuchy do mojej szafy?! – Pobiełam do niej z pytaniem.

– A co ci szkodzi? Masz wielki dom, u nas ciasnota – odpowiedziała z wielką pretensją w głosie.

– Trzeba było najpierw mnie zapytać, nie rządzić się w moim domu! – Wpadłam w furję.

– Właśnie taka jesteś, wredna, niedotykalska, nieuczynna! – podsumowała mnie.

– Na dodatek to są jakieś przedpotopowe szmaty, od lat ojciec ich nie nosi! Po prostu je wyrzucić. Śmierdzą naftaliną!

Moja matka była niereformowalna, nigdy się nie nauczyła, co to jest poszanowanie prywatności. Po numerze z szafą straciłam nadzieję, że kiedykolwiek coś do niej dotrze.

Matka wiedziała, że cenię sobie niezależność i prywatność, że mam obsesję na punkcie nieingerowania w moje życie, jakiegokolwiek by ono było. Tyle razy o tym mówiłam...

Starzejący się rodzice często kłócili się przy nas. Ojciec przestał udawać przed Pawłem i potrafił wyzwąć matkę, jak coś pokręciła.

– Jak nie wiesz, to nie pierdol! – krzyczał na nią w naszej obecności. – Kurwa, spierdalaj! – Słyszeliśmy często jego ulubiony tekst.

Pił rzadziej, lecz jak miał okazję, nie znał umiaru. Pijany, awanturował się i Paweł musiał interweniować. Tylko mój mąż miał na ojca wpływ, ojciec tylko Pawła słuchał.

– Połóż się i prześpij – radził mu Paweł, przewracając go na wersalkę.

Ojciec był mu posłuszny. We śnie zrywał się gwałtownie, przeklinał, krzyczał, że kogoś zabije. Paweł go przytrzymał, uciszał, kładł ponownie.

W takich momentach wszystko powracało. Powracały strach, stres i wspomnienia.

Przez okno obserwowałam wrogie zachowanie ojca. Pewnego dnia moi rodzice razem pracowali w ogródku. Wyszli z domu, zwyczajnie rozmawiali, matka się śmiała. Grzebali w ziemi motyką, grabiami, łopatą. Nagle ojciec rzucił narzędzie i dobiegł do niej. Otworzyłam okno ciekawa, co się dzieje. Byłam gotowa do interwencji. Popchnął matkę, przewróciła się na plecy. Wybiegłam na podwórko. Wygrażał nad nią, darł się, że jak jej dopierdoli, to tylko flaki będą się za nią ciągnąć.

Byłam przerażona. Wyzwałam go od bandytów, wykrzyczałam, że go nienawidzę. Byłam tak zdenerwowana i wściekła, że groziłam mu:

– Kiedyś cię zabiję!

Pierwszy raz w życiu w ten sposób się do niego odezwałam, wykrzyczałam, co o nim sądzę.

Stał w milczeniu ze ściągniętymi, sinymi ustami. Był przerażający, miał straszne spojrzenie. Matka wstała, płakała. Pewnie była obolała. Jest

puszystą kobietą, oboje mieli po sześćdziesiątce, taki upadek musiał być dotkliwy.

To nie był jedyny wyskok ojca, i to na trzeźwo. Ze swoją żoną nie umiał rozmawiać spokojnie, był po prostu nieprzewidywalny. Potrafił ją popchnąć, sponiewierać słowem. Szybko przywykł do naszego sąsiedztwa i wracał do swoich nawyków, nie zważając na nic. Zaczęłam żałować, że właśnie to miejsce wybrałam do życia...

Chłopcy mieli swoje pokoje, my najprawdziwszą sypialnię. Rano zawoziłam synków do przedszkola, potem jechałam do pracy. Paweł wstawał skoro świt, kiedy jeszcze wszyscy spaliśmy, i wychodził pierwszy. Wszystko toczyło się tak, jak zawsze marzyłam. Mikołaj i Bogusz przynosili z przedszkola rysunki, laurki, ozdoby choinkowe. Wszystkim się zachwycaliśmy, rozmawialiśmy, pytaliśmy, jak to zrobili. Do dziś mam laurki z tamtych lat. Są w starej papeterii, pożółkłe, jednak dla mnie najważniejsze. Tak samo jak wspomnienia, gdy wypadali z sali, krzycząc:

– Mamo, umiem wiersz na pamięć, posłuchaj!

Albo:

– Byliśmy z panią w parku, zobacz, co mamy dla ciebie!

Żyłam ich życiem, czułam się ważna i spełniona, potrzebna i niezastąpiona.

W niedziele chodziliśmy na długie spacerunki z chłopcami. Albo na rowery. Zawsze wszystko kupowaliśmy podwójne. Dwa małe rowerki, potem większe, dwie pary dziecięcych nart, takie same kurtki, buciki, czapki. W wakacje wyjeżdżaliśmy pod namiot, gdzieś nad jezioro albo nad morze. Paweł zrobił w ogrodzie boisko i zainstalował kosz do koszykówki. Drżałam o okna, lecz jakoś się uchowały. Wpadali umorusani, głodni, przekrzykując się z radości.

– Życie rzeczywiście może być usłane różami – szeptałam Pawłowi do ucha, zasypiając uśmiechnięta.

Synowie byli bliźniakami dwujajowymi. Im stawiali się starsi, tym wyraźniej zauważaliśmy, jak się różnią.

Mikołaj urodę miał po mnie, a zamiłowanie do precyzji po Pawle. Miał swoje sekrety i sprawy, z nikim się nimi nie dzielił. Był marzycielem

wielbiącym swoich idoli.

Bogusz z wyglądu przypominał Pawła. Wszystko łapał w lot. Zamiłowanie do czytania miał po mnie. A ścisły umysł po ojcu.

Byliśmy z nich dumni. Jednak...

Bywało, że miałam gorsze dni i wtedy dwóch rozbrykanych małych chłopców doprowadzało mnie do furii. Podnosiłam głos. Pamiętam, jak patrzyli na mnie swoimi wielkimi oczami, jak nagle cichli. Ich spojrzenia gasiły moją agresję. Na jakiś czas. Kiedy się kłócili albo coś sobie wyrywali, często traciłam cierpliwość. Bywało, że krzyczałam na nich i że dostawali po kilka klapsów. „O Boże, co ja robię? – pytałam siebie przerażona. – Zaczynam być jak moi rodzice, jak matka”. Potem zawsze tuliłam ich do siebie, całowałam. Po atakach furii Paweł mnie przytulał, wyciszał; uspokajał też chłopców, zajmował ich czymś.

Miałam problem z agresją. „Muszę nad sobą pracować” – obiecywałam sobie. „Agresja budzi agresję” – wyczytałam kiedyś w książce. I że są różne jej rodzaje. „Moja jest emocjonalna czy instrumentalna? – zadawałam sobie pytanie. – Muszę się wziąć w garść. Paweł mi pomoże, on jest taki opanowany, rozsiewa dobre emocje. I mnie kocha! Dam radę, bo on będzie mnie wspierał. Mamy dwóch urwisów, najukochańszych na świecie, mądrych, i to ja ich urodziłam! Wiem, jaka mam być dla swoich dzieci, przemyślałam to sobie tysiące razy w bezsenne noce, szlochając w poduszkę, po każdym biciu, które dostawałam”.

Byłam spokojna, ćwiczyłam opanowanie. Bardzo się starałam. Zawsze, gdy miałam ochotę ryknąć, uderzyć kogoś, szybko myślałam sobie, że jestem po to, żeby chronić moje dzieci i otaczać miłością, bo są od nas zależne i takie malutkie. Z perspektywy czasu zauważałam, że z dnia na dzień, z roku na rok stawałam się coraz bardziej opanowana. Chłopcy byli coraz starsi, a ja dla nich wskakiwałam na coraz wyższy szczebel w panowaniu nad sobą i kochaniu ich bezwarunkowo.

Pracowałam nad sobą i odczuwałam skutki tej pracy. Miałam na odwrót niż moje koleżanki, które młodzieńczy bunt dzieci doprowadzał do szewskiej pasji. U nas było inaczej. Chociaż zauważałam, że bliźniaki się zmieniają, dojrzewają, że mają sekrety, niebezpieczne pomysły, bywają naburmuszeni i niezadowoleni. Przechodzili trudny wiek, lecz nie było

z nimi większych kłopotów. Pozwalałam im na wiele, ale i ufałam im. Zapewniałam ich o tym. Nigdy mnie nie zawiedli i nie zrobili nic skrajnie głupiego. Żałuję tylko tych wcześniejszych kilku klapsów i podniesionego na synków głosu. Często wracam do chwil, kiedy straciłam cierpliwość i dałam wygrać agresji. To kilka najczarniejszych wspomnień z mojego życia, z tego okresu, w którym już o wszystkim mogłam decydować sama.

Krzyk. Walczyłam z tym, że to jest takie łatwe. Chciałam mówić spokojnie, nie wydzierać się. Potrafiłam, jednak we mnie wciąż był podniesiony głos. W środku. Do dziś nie wiem, czy gdy mówiłam do nich spokojnie, widać było ten mój wewnętrzny krzyk? Mam nadzieję, że nie. Na pewno nie, bo byli pogodnymi dziećmi, wesołymi i niezmiernie ciepłymi.

Dziś w ogóle nie mam wybuchów agresji. Jestem od tego wolna. Ponoć niedobrze jest gromadzić w sobie złość, trzeba dać jej upust. Tylko że ja absolutnie jej już nie mam. Paweł, on nigdy nie uderzył synów. On nawet nigdy nie podniósł na nich głosu. Zazdroszczę mu tego. Ma całkowicie czystą kartę.

Wiele razy wieczorami, leżąc już w łóżku, zastanawiałam się, dlaczego obudziła się we mnie agresja. Może to nie wina wzrastania w niej, a zwykłego przemęczenia nadmiarem obowiązków? Rano wszystko działa się szybko, pęd do przedszkola, praca, w której atmosfera bywała różna, powrót do domu, obiad, sprzątanie, pranie. Proza życia dopadła mnie, nas. Paweł prowadził z kuzynem firmę z branży meblowej. Nic dziwnego, że nie mogłam na niego liczyć w stu procentach. Wracał o różnych porach, często wyjeżdżał, także w weekendy. Dawało nam to dość wysoki status ekonomiczny, ale ile kosztowało wyrzeczeń niematerialnych...? Firma była jak wampir, wypijała soki witalne zamiast krwi. Paweł stawał się coraz bardziej zmęczony, wypalony. Spał niespokojnie, bywało, że nawet w święta musiał na chwilę gdzieś wyskoczyć, coś zawieźć albo odebrać jakieś papiery. Często o tym rozmawialiśmy.

– Wolałabym, żebyś pracował gdzieś na etacie za mniejsze pieniądze, a za to był więcej z nami – mówiłam.

– Wiesz, coraz częściej myślę podobnie, tym bardziej że czasy są trudne. Konkurencja wymaga coraz większych wysiłków, a i tak nie zawsze

przełoży się to na efekty – odpowiadał. – Długo tego nie wytrzymam.

Wolne dni były piękne. Cieszyliśmy się sobą jak nowożeńcy. Bawiliśmy się z dziećmi.

Wieczorem czytałam synom bajki, wierszyki. Miałam bzika na punkcie czytania. Kupowałam książki dla siebie i dla nich. Chłopcy mieli pokaźną biblioteczkę. Lubiliśmy czytać, nieraz nagrywaliśmy nasze wspólne czytanie na magnetofon. Znali mnóstwo wierszy na pamięć.

Paweł za tym nie przepadał, wolał budować z chłopcami konstrukcje z klocków. Razem też majsterkowali. Mikołaj i Bogusz lubili pomagać mu przy samochodzie, w garażu, w męskich czynnościach. Byliśmy fajną rodziną. A ja wreszcie zrozumiałam, że jednak to, co przeżywałam w dzieciństwie, wciąż wpływa na mnie. Dobrze, że miałam Pawła – ostoję, pogodę ducha i opanowanie w jednym. Był balsamem na moje stargane nerwy. Dzięki niemu sporadyczne wybuchy agresji potrafiłam zdusić w zarodku.

Pewnego dnia znajomi zaprosili nas na wieczór. Matka zadeklarowała, że zostanie z dziećmi, ile trzeba.

– Daj im kolację, niech umyją tylko ząbki i buziaki i idą spać. Jutro ich wykąpię.

– Jedźcie, dam sobie radę – zapewniała nas.

Pojechaliśmy.

Wróciliśmy koło północy. Pierwsze kroki skierowałam na górę, do chłopców. Byli sami w domu, matka najwyraźniej poszła do siebie. Nie spodobało mi się to. Kiedy weszłam do pokoju Mikołaja, spał, jednak usłyszałam, jak łkał przez sen. Nachyliłam się nad nim. „Może mu się coś złego śni?” – pomyślałam. Pogłaskałam go po jasnej główce, otuliłam kołderką, pocałowałam delikatnie i poszłam do Bogusza. Byłam bardzo zaniepokojona. O dziwo, ten z kolei nie spał. Miał przy łóżku zapaloną lampkę nocną, a w ręce książeczkę.

– Czy coś się stało? Mikuś chyba płakał – zapytałam.

– Babcia go zbiła.

Zamarłam z przerażenia. Paweł robił dla nas herbatę na dole, a ja w tym momencie miałam stan przedzawałowy.

– Jak to zbiła, dlaczego, co się stało? – pytałam niecierpliwie.

– Mikołaj kopnął babcię w nogę. Coś mu kazała zrobić, ale nie posłuchał. Zaczęła go szarpać i wtedy ją kopnął.

Przytuliłam Bogusia do piersi z wielkimi wyrzutami sumienia. O Boże, dlaczego? I co ja zrobiłam najlepszego? Zostawiłam moich małych, bezbronnych chłopców na pastwę mojej matki, jakbym sama unieważniała wszystko, co mi zrobiła w dzieciństwie. U tuliłam synka do snu i z niewypitą herbatą przesiedziałam większą część nocy na brzegu łóżka Mikołaja.

Miałam potworny żal do siebie. Za to, co się stało, nie winiłam matki, tylko siebie. To ja powierzyłam dzieci osobie, która powinna iść na terapię, odbywać długie rozmowy z psychologiem.

W weekendowe poranki chłopcy mieli zwyczaj przychodzić do nas i wsuwać się pod kołdrę. Rozmawialiśmy, wygłupialiśmy się, łaskotaliśmy w stopy, wywalaliśmy się nawzajem z łóżka. Tamtego ranka byłam przygnębiona. Obiecałam synkom, że już nigdy nie zostaną z babcią sami. Tę noc odchorowałam nie tylko ja, także Paweł, który chyba pierwszy raz tak bardzo się zawiódł na teściowej. Jego sympatia do niej się skończyła. To, co przeżyli Mikołaj i Bogusz, przekonało go, że jego teściowie rzeczywiście są złymi ludźmi.

Koło południa z wielkim bólem, zawodem i pretensjami poszłam do matki po wyjaśnienia. Nie tłumaczyła się, nie żałowała, nie przepraszała. Stwierdziła tylko, że nie może sobie pozwolić na to, żeby jakiś gówniarz tak ją traktował.

Mikołaj miał czerwone pręgi na plecach. Gdy to odkryłam, po raz drugi w ciągu jednej doby pękło mi serce. Po raz drugi jednego dnia znienawidziłam swoją matkę. Po raz setny żałowałam, że mieszkamy, gdzie mieszkamy. Całowałam te pręgi, delikatnie masowałam każdego dnia, na moich oczach robiły się fioletowe, potem żółte. Mikołaj miał takie drobne, chudziutkie plecki.

Minęły lata, a ja wciąż na to wspomnienie mam łzy w oczach i zadaję sobie pytanie, dlaczego wtedy nie zrobiłam obdukcji. Paweł też na to nie wpadł. A przecież nie chodziło tylko o ból fizyczny, lecz przede wszystkim o wielki strach moich synków. Byli za mali, żeby uciec przed babką

tyranką. Podczas gdy ja ledwie kilka kilometrów od nich śmiałam się, piłam wino, żartowałam.

To jest moje najczarniejsze wspomnienie. Przy nim moje wspomnienia z dzieciństwa są niczym. Przynajmniej ja zawsze tak o tym myślę.

Chłopcy skończyli siedem lat i musieli pójść do szkoły. Nie miałam wyjścia, wzięłam urlop bezpłatny. Pozwolenie, żeby babcia odbierała ich ze szkoły, a potem się nimi opiekowała, absolutnie nie wchodziło w grę. Mikołaj był bardziej uczuciowy, ale i uparty. Boguś twardy, za to bardziej absorbujący. Kochałam ich nad życie, wraz z tą ich różnorodnością charakterów. Ilekroć ich zachowanie wyprowadzało mnie z równowagi, gdy psocili lub się przy czymś upierali, natychmiast ich przytulałam, jakbym chciała się w ten sposób wytłumaczyć.

Byłam w domu. To był piękny czas. Kura domowa z wyboru. Zaabsorbowana wywiadówkami, balami szkolnymi, strojami karnawałowymi. Wymianą zębów mlecznych na stałe, aparatami ortodontycznymi, szczepieniami. Razem odrabialiśmy lekcje, czytaliśmy sobie na głos czytanki. Pomagałam, tłumaczyłam im trudne zadania. Robiłam ulubione ciasta, swojskie jogurty z truskawkami, dania na życzenie. Często piekliśmy ciasteczka, wtedy chłopcy wykrawali foremkami figurki. Potem je lukrowali. Robiłam wszystko, żeby wspominali dzieciństwo mile, z sentymentem. Byli bardzo ze sobą związani. Mieli wspólnych kolegów i koleżanki. Potrafili bardzo długo zasiedzieć się nad grą. Całą rodziną graliśmy w monopol. Uwielbiali piłkę nożną, często rozgrywali mecze z kolegami. Paweł, gdy mógł, brał w nich udział, chociaż potem narzekał, że jest już za stary na sport. Chłopcy byli bardzo dobrymi uczniami. Na koniec roku dostawali dyplomy i nagrody książkowe. Byliśmy z nich dumni i głośno wyrażaliśmy nasz podziw.

Po podstawówce nie chcieli się uczyć w miejscowym liceum. Poszli do różnych techników, przenieśli się do większych miast, zamieszkali w internatach. Jeden kochał informatykę, drugi ogrodnictwo. Żaden już nie wrócił do domu na stałe. Wpadali na weekendy, brali słoiki z jedzeniem, ciasto, czyste ubrania. W niedzielę odjeżdżali wieczornymi pociągami. Dłuższe pobyty to były wakacje i ferie.

Nagle wielki dom stał się za cichy i zbyt pusty. Z moimi rodzicami bywało raz lepiej, raz gorzej, jednak byłam zdana na nich ze względu na sąsiedztwo. Bywało, że zabieraliśmy ich samochodem na wycieczkę lub na jakąś lokalną imprezę plenerową. Jeździliśmy z nimi do mojego rodzeństwa, do innych miast. Byliśmy dość zamożni, co bardzo się podobało matce.

We mnie wciąż była mieszanka nienawiści do nich i... czego... współczucia? To był dziwny czas. Nie do końca rozumiałam sama siebie. Tyle złych wspomnień, a i teraz niełatwo z nimi w roli sąsiadów. My z Pawłem pośrodku tego wszystkiego. I ja jak zwykle rozdarta.

Byłam pewna, że jakieś chorobliwe więzy łączą mnie z matką. Ją z kolei z ojcem, tyle że tysiącrotnie mocniejsze.

Wspominając moje rodzeństwo, muszę wrócić do czasów, kiedy mój brat Jakub wszedł w okres dojrzewania, potem buntu. Marzył o kolczyku w uchu. Powiedział mi o tym.

– Nie popieram pomysłu, ale jeśli bardzo tego chcesz, przekłuj ucho, tylko u kosmetyczki, nie w szkolnej toalecie – powiedziałam.

W tamtym okresie nasze kontakty się poprawiły, wyrósł z wyzywania mnie, a gdy na świat przyszli Mikołaj i Bogusz, często się z nimi bawił. Po kolczyku przyszła fryzura na punka. Chłopcy go bardzo lubili, był zabawny, lubił się wygłupiać. Kupowałam mu prezenty na każde urodziny, imieniny i święta. Miałam wielką radość z obdarowywania go.

Wtedy, gdy przekłuł sobie ucho i wrócił ze szkoły z kolczykiem, ojciec wpadł w furję.

– Zdejmij to gównu natychmiast! – darł się. – Jak jeszcze raz cię zobaczę z tym kółkiem, wyrwę ci go razem z uchem!

Od tej pory Kuba po wyjściu z domu wkładał kolczyk, a po szkole, przed domem zdejmował. Też się bał naszego domowego sadysty. Wiedział, że groźba ojca jest realna.

Zdałam sobie sprawę, że od bicia nie chroniło nas nawet takie święto, jak Pierwsza Komunia Kubusia. Ojciec pił od świtu, po czym matka musiała nas wydierać z jego rąk. To, że chciał sprać mnie, było normalne,

ale że podniósł rękę na swojego ukochanego syna, z którego był przecież taki dumny, po którym tyle sobie obiecywał...

Kuba poznał kogoś, a matka dociekała, kim ona jest i z jakiej rodziny pochodzi. Był zakochany, a jego dziewczyna, Aneta, była piękną, wysoką blondynką, wyglądała jak modelka. On też był przystojniakiem. Tworzyli cudną parę. Poznali się podczas wyścigu samochodowego. Ściganie się interesowało Jakuba od lat. Fascynował się rajdami samochodowymi, jeździł kibicować rajdowcom, miał swoich faworytów, znał temat w szczegółach. Gdy dorósł, sam zaczął brać udział w lokalnych rajdach. Swoją pasją зараżał kumpli. Godzinami gadali o rajdach, wymieniali fachowe słownictwo, nazwiska kierowców, trasy, terminy, marki aut itp. Cieszyło mnie to. Miał pasję, nie odziedziczył po ojcu tego, w czym wzrastał. Chłopak potrzebuje wzorców – on ich nie miał, a mimo to był fajnym i mądrym człowiekiem. Gdy się ścigał, kibicowaliśmy mu całą naszą czwórką. Dla bliźniaków był kimś bardzo ważnym. „Kuba rajdowiec”, tak go nazywali. Zawsze mówili mu po imieniu, nigdy wujek.

Matka dowiedziała się, że rodzina Anety to ateści, a to znaczyło, że nie będą mogli wziąć ślubu w kościele. Natychmiast zaczęła wybijać ją Kubie z głowy. Była wściekła i wstydziła się tego, co ludzie powiedzą. Życ tylko ze ślubem cywilnym, to żyć na kocią łapę. Taki wstyd!

Kuba nie przejmował się opinią matki, po prostu rzadko przyprowadzał Anetę do domu, przeważnie odwiedzał ją u jej rodziców. Wreszcie się oświadczył. Oczywiście oznaczało to straszną kłótnię z matką. Gdy emocje między nimi osiągnęły apogeum, ona wykrzyczała:

– Wolałabym, żebyś zginął w rajdzie, niż się z nią ożenił!

Przesadziła, przekroczyła wszelkie granice. Byłam przerażona, brat jeszcze bardziej. Mimo to ślub się odbył, w dodatku nie tylko cywilny, lecz i kościelny. Okazało się, że Aneta była ochrzczona i nawet przystąpiła do Pierwszej Komunii. Nie miała jedynie bierzmowana, jednak ten problem ksiądz szybko rozwiązał.

Te straszne słowa już na zawsze położyły się cieniem na ich relacje. Chore życzenie matki znali wszyscy, zarówno w naszej rodzinie, jak i u bratowej. Nic dziwnego, że Kuba i Aneta bardzo rzadko bywali

u naszych rodziców. Jak się im urodziła córeczka Ewa, woleli zostawić ją u drugiej babci lub prababci, niż zabrać ją do naszych rodziców.

Kuba do dziś pamięta tamto matczyne przekleństwo. Nie jeździ już w rajdach, mieszka za granicą. Z matką widuje się raz na kilka lat. Przez to wszystko ona właściwie nie zna wnuczki. Ewa jest już studentką, a rodzona babka nie poznałaby jej na ulicy.

Któregoś dnia Paweł wrócił z pracy załamany. Okazało się, że kuzyn, jego wspólnik, zmarł na zawał. Od dawna w ich firmie źle się działo. Może kłopoty finansowe były powodem niewydolności serca? Większą część firmy odziedziczyły dzieci i żona kuzyna i okazało się, że nic już nie będzie takie, jak dotąd. Paweł pozamykał sprawy zawodowe. Czekał go nowy etap życia, bo został bez pracy. Imał się potem różnych zajęć, nawet przez jakiś czas miał własną małą działalność.

Gorzej było ze mną. Wypadłam z rynku pracy, a kobieta po czterdziestce nie była atrakcyjną kandydatką na jakikolwiek etat. Wszystko się zmieniało, na miejsce starego wchodziło nowe, moja wiedza zawodowa była już przestarzała, wyuczone teorie zostały dawno obalone. Na szczęście chłopcy doskonale się uczyli, dostawali stypendia naukowe.

W tym samym okresie matka zaczęła faworyzować moją młodszą siostrę, nagle mówiła o Justynie w samych superlatywach. Opowiadała wkoło, ile zięć zarabia, co kupili do domu, gdzie pojechali na wczasy, jaki wybrali samochód. Taka już była, zawsze kręciła się tam, gdzie pachniało forszą.

Ze swoją najstarszą córką miała kontakt znikomy. Jak już wspomniałam, Benię wychowywali dziadkowie. To oni posłali ją do pierwszej klasy, pomagali w miarę swojej wiedzy w lekcjach, kształtowali jej charakter. Matka nie знаła Bernadety, a mimo to ciągle na nią narzekała. Mówiła, że jest skryta, nieszczerza, małomówna, nieufna. Myślałam sobie wtedy: „Komu ma ufać i się zwierzać? Matce, która jest dla niej prawie obca?”.

Matka narzekała również na brata, choćby że ma niegospodarną żonę. Bo skoro Kuba i Aneta, zanim wyjechali za granicę, mieszkali z teściami, którzy mieli ogródek, powinni go ciągle uprawiać, a nie kupować szczypiorek i inne zieleniny w sklepie. Nie liczyło się to, że Aneta wzorowo dbała o rodzinę i dom, że się z Kubą kochali i wspierali. Matka wiedziała

lepiej, jak powinni żyć. Właściwie odwiedzała ich tylko po to, żeby po powrocie do domu móc ich krytykować.

– Mamo – mówiłam – niech żyją po swojemu. Kochają się i to jest najważniejsze. Na wszystko, co mają, zapracowali sami. Kuba tyra, ma własną firmę, stać ich na to, żeby nie musieli harować w ogródku, tylko kupić, czego potrzebują.

– No właśnie, Kuba pracuje, a dlaczego ona nie? Aneta nic nie potrafi. Niemota.

– Ja też nie pracuję i co ty na to?

Każda rozmowa z matką była stratą czasu i wpływała na mnie źle. Ona powinna zespalać rodzinę, a nas skłócała. Podkreślała nasze niedoskonałości, nie zauważała zalet. Manipulowała nami, była podstępną intrygantką. Do wydarzeń dopisywała swoją wersję, wymyślała powody takich, a nie innych zachowań któregoś z nas. Lubiła podsłuchiwać, źle łączyła różne fakty, domyślała się Bóg wie, czego. Mieszkałam tuż obok, więc chyba znałam ją najlepiej. Benia, Justyna i brat powinni być szczęśliwi, że żadne nie zamieszkało blisko niej. My z Pawłem chyba straciliśmy rozum, że się pobudowaliśmy na tym samym podwórzu. Ale stało się.

Powinam była pozwolić matce i ojcu, żeby się nawzajem pozabijali. W ankiecie pod pytaniem: „Twoja najgłupsza decyzja w życiu?” dziś napisałabym: „Budowa domu obok rodziców”.

W dzieciństwie nie kochaliśmy się z rodzeństwem. Nie nauczono nas tego, jednak w miarę dorastania sami staraliśmy się budować jakieś przyjazne więzi. Było to trudne, nieporadne, bo żadne nie miało zaufania do drugiego. Matka nie pokazała nam, że w drugiej osobie warto dostrzegać pozytywne cechy, podkreślała jedynie nasze wady.

Kiedy już wszyscy pozakładaliśmy rodziny, mieliśmy dzieci i własne domy, najczęściej odwiedzałam Justynę. Moi chłopcy lubili spotykać się z jej synami. Bywaliśmy u siebie nawzajem na urodzinach, na niedzielnych obiadach. Któregoś roku zaprosili nas na Wigilię. Było miło, nawet po latach wspominamy tamte święta.

Za to nigdy nie byliśmy u Jakuba, nie zapraszał nas. W naszym domu on i jego żona bywali często, choćby przy okazji odwiedzin u rodziców, lecz

nigdy się nie rewanżowali.

Jeszcze gorzej było z Benią, która przez lata nas unikała. Pozwalała swoim dzieciom jeździć na wakacje do dziadków, jednak sama się nie pojawiała. Była dla mnie jedną wielką zagadką, choć najwcześniejsze lata spędziłyśmy razem. Ubolewałam nad tym, bo siostra to marzenie niejednej dziewczyny. Ja ją miałam, jednak zimną i obcą. Pewnie ona tak samo myślała o mnie. Przez lata nie udało nam się tego naprawić.

Porównywałam nasze relacje z relacjami w rodzinie Pawła czy męża Justyny. Wszyscy oni umieli być dla siebie serdeczni, emanowała od nich wzajemna miłość. Zazdrościłam im. Ich rodzice byli wspaniali i takie były ich dzieci.

„Czy nasza rodzina w ogóle się kocha?” – zadawałam sobie to pytanie setki razy. Może tak, tylko nie nauczono nas okazywania uczuć. Brata kochałam bardzo. Zajmowałam się nim, gdy był malutki. Wciąż bardzo go kocham. Kilka lat temu utrzymywałam z nim kontakt przez internet, wtedy często wspominaliśmy trudne lata. Ale i to się urwało. Dziś ledwie przysyła nam kartki na święta – tradycyjne, papierowe. Ja życzenia wysyłam elektronicznie, jeszcze mniej zachodu...

Tyle nas było, a pustka aż raziła. Ja, Bernadeta, Justyna, Jakub – wszyscy jesteśmy rozwaleni emocjonalnie, mamy zniszczone poczucie więzi. Kiedyś myślałam, że ja najbardziej. Potem zdałam sobie sprawę, że to egoistyczne założenie, bo przecież nie mam pojęcia, co oni czuli i czują. Czy myślą czasem o mnie? Często zastanawiam się, jak sobie radzą z brakiem więzi i chłodem między nami. Bo ja sobie nie radzę. Im pewnie też jest ciężko.

Czy jestem o Justynę zazdrosna? Dopóki Paweł dobrze zarabiał, matka się nas trzymała. Gdy zmarł jego wspólnik, wszystko się zmieniło. Zupełnie odwrotnie niż u Justyny. Ona i jej mąż awansowali, rozwijali się, bogacili. Matkę zaczęło ciągnąć do nich. Nagle przestała narzekać na nią, czepiać się, że źle wychowuje dzieci, że kiepsko gotuje, że nie dba o dom, ma starą pościel itp. Lepszy status finansowy działał na matkę jak magnes.

Była jak chorągiewka na wietrze. Podobnie jak niektórzy politycy zmieniający partię, jeśli na horyzoncie pojawiła się silniejsza, bardziej prężna. Nasza matka faworyzowała to dziecko, które było bogate.

Ja dorabiałam sezonowo, bywało, że na czarno. Byliśmy jednak szczęśliwi. Mieliśmy dla siebie popołudnia i wieczory, i całe weekendy. Zawsze chcieliśmy, żeby tak właśnie wyglądało nasze życie. Chłopcy wpadali, opowiadali o szkole, nauczycielach. Jeździliśmy do nich na wywiadówki. Pewnego wiosennego dnia siedzieliśmy z Pawłem na werandzie przy kawie i zaczęliśmy rozmawiać o swoich marzeniach. Chociaż jeszcze kalendarzowa wiosna się nie zaczęła, było ciepło, idealnie, żeby powygryzewać się na słońcu. Zawsze po zimie jestem tak bardzo spragniona słońca, ciepła i zieleni, czekam na nie jak na zbawienie...

– Mnie się marzy mały domek, połowę tego, który mamy. I bez sąsiadów – powiedział Paweł. – Czuję się wypalony – dodał po chwili. – Gdyby nie ty i chłopcy, nie wiem, kim bym się stał. Najchętniej uciekłbym z tego całego wariatkowa gdzieś, gdzie nie dociera cywilizacja. Mam dość patrzenia, jak płaczesz przez swoją matkę. Wciąż kłótnie, pretensje; jesteś kłębkim nerwów. I te wybuchy agresji ojca... Mam tego dość, Gabi.

– Odkąd pamiętam, harowałeś jak wół. Wciąż na najwyższych obrotach, wszystko musiało być na czas. Nie dziwię ci się, że chcesz zwolnić. Dom jest stanowczo za duży tylko dla naszej dwójki. Bogusz i Mikołaj mają już swoje życie...

– Ucieknijmy gdzieś, Gabi, choć na chwilę, na kilka lat.

– Aha, świetny pomysł. Tylko gdzie? Nad finlandzkie jeziora? – Próbowałam go rozśmieszyć.

– Nie żartuj, w naszym kraju też są takie miejsca – odparł poważnie.

– Bieszczady, Podlasie?

– Dlaczego nie! Wiesz co, może w wakacje pojeździmy i poszukamy czegoś. Bieszczady to trochę za daleko, chłopcy są przed maturą. Ale Mazury, Podlasie... Weźmiemy namiot, jak za dawnych czasów.

– Podoba mi się ten pomysł, Pawełku. Naprawdę zgodziłbyś się sprzedać nasz dom?

– Tak, życie jest wszędzie, moja maleńka. – Dawno mnie już tak nie nazwał, choć wciąż tak ma mnie wpisaną w komórce. Uśmiechnęłam się od ucha do ucha, a on nie zdawał sobie sprawy, że to z powodu maleńkiej.

– Kochanie, wiesz, że wiele razy myślałam, czy się stąd nie wyprowadzić.

– Wygląda na to, że oboje do tego dojrzeliliśmy, nie?

– Tylko pamiętaj, że przy lampie naftowej źle mi się czyta. – Puściłam do niego oko. – I że czasem muszę połączyć po sklepach, zajrzeć do fryzjera i manikiurzystki. Biblioteki też nie odpuścę. I księgarnia by się przydała. No i bieżąca woda, żurawie tolerujemy tylko na łące.

Oboje parsknęliśmy śmiechem.

Tamtej wiosny, w środku naszych marzeń, odeszła moja babka. Była już w bardzo zaawansowanym wieku i przez ostatni rok nie wstawała z łóżka, nic dziwnego, że chciała umrzeć. Choć kłótnie z moją matką były dla niej powszedniością, to zawsze żałowała swojej córki, że takie wybrała życie. Często uświadamiała nas, wnuczki, że najgorsze, co może kobietę spotkać, to ślub z pijakiem. Od niej dowiedziałam się, że była przeciwna związkowi matki z ojcem. Nalegała, żeby się z nim nie wiązała – mimo ciąży. Czarno widziała jej życie u boku fircyka i pijaka, i się nie pomyliła.

Tymczasem nasz pomysł na przeprowadzkę dojrzewał. Wkrótce rozrósł się do tego stopnia, że nie wyobrażaliśmy sobie mieszkać tu dalej. Ale sprzedaż domu to nie hop-siup. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że realizacja projektu może się przeciągnąć w czasie, nawet na lata.

Myśleliśmy o wakacjach. Mikołaj w lipcu miał odbywać praktykę ogrodniczą, Boguś całe lato miał dla siebie. Zaproponowaliśmy mu, żeby pojechał z nami. Jednak tuż przed wakacjami okazało się, że zapisał się na obóz wędrowny i ma swoje plany. Chłopcy zawsze robili, co chcieli. Na wiele im pozwalałam. Ufałam im i nigdy mnie nie zawiedli.

Dni mijały, a my coraz częściej rozmawialiśmy o wyprowadzce. Tymczasem wiele razy zazgrzytało między mną a matką, nie brakowało też awantur w domu rodziców. Jednego wieczoru matka stanęła u nas w drzwiach, zapłakana, z reklamówką w ręce, i stwierdziła, że musi u nas przez jakiś czas zamieszkać. Tego samego dnia, gdy oddaliśmy jej pokój, zapytałam, co tak naprawdę się stało.

– Już nie mogę wytrzymać z tym wariatem – rozpłakała się. – Przez całe życie mi ubliżał, jest coraz starszy, a nic się nie zmienia. Wszystko musi być tak, jak on chce. Przeplakałam przez niego większość życia, ale już

dość. Wynajmę kawalerkę na mieście, na starość będę żyła spokojnie. Źle sypiam, boli mnie serce, jestem nerwowa, biorę leki na uspokojenie i na sen... – ciągnęła litanie żalów.

– Już dawno powinnaś zakończyć ten chory związek, mammo.

Długo rozmawiałyśmy, zanim poszłyśmy spać.

Trzeciego wieczoru, patrząc z naszej werandy w okno swojej kuchni, gdzie właśnie zapaliło się światło, powiedziała:

– Ciekawe, co on je? W ogóle był na zakupach...? Powinien zjeść coś ciepłego.

No tak, gdy tylko stanęła w drzwiach i spytała, czy może z nami zamieszkać, pierwszą moją myślą było: „Ile dni wytrzyma bez ojca?”. Znałam ją, wiedziałam, że jest z nim zrośnięta, mocno i na zawsze.

U nas się uspokoiła, wieczorami odmawiała różaniec, czytała jakieś modlitwy. I wciąż wracała w rozmowach do ojca. Ale dość szybko przestała mieć do niego pretensje, za to martwiła się, czy sobie wypierze, ugotuje, posprząta i miała tym podobne obawy.

Któregoś dnia wróciła do siebie bez słowa. Właściwie uciekła cichaczem, co było do przewidzenia.

„Jaka dziwna relacja jest między mną a matką – myślałam potem. – Tyle bicia, krytyki, przykrych słów i ciągłych narzekania, a okazuje się, że do mnie uciekła przed sadystą. Nie zadzwoniła do Justyny, którą faworyzowała, tylko przyszła do mnie!”

Po chwilowej ucieczce matki nawet zrobiło się u nich poprawnie. Ojciec starał się być miły, choć byłam pewna, że długo nie wytrzyma bez swojego słownika. Nie myliłam się, agresja to jego drugie imię. Ludzie się zmieniają, zmieniają zainteresowania, pozbywają się nawyków, ciekawi są nowych smaków, wrażeń, lecz on jest niezmienny. Wielu pracuje nad sobą, on nawet nie wie, że tak można.

Wspominając nasze zjazdy rodzinne, nasuwa mi się taka refleksja. Matka nigdy nie nazywała mnie po imieniu. „Dlaczego?” – zadrezczam się tą myślą. Na palcach jednej ręki mogłam policzyć, ile razy zwróciła się do mnie: „Gabrielo”. Natomiast ciotka Marta nazywała mnie pieścizłotliwie

Gabunią albo Dzidką. Matka do innych zwracała się pieszczotliwie, mnie nawet po imieniu nie nazywała, bez zdrobnienia.

– Kubusiu, częstuj się – zachęcała swojego jedyne syna.

– Justysiu, jak smakuje ci mój jabłecznik? – pytała z kolei córkę.

Nawet do Bernadety zwracała się: „Beniu”.

Paweł z kolei nigdy nie nazwał mnie Gabrysią. Raz jeden powiedział „Gabrielo!”, przy składaniu przysięgi małżeńskiej. Dziś, gdy jesteśmy ze sobą ponad trzydzieści lat, mogę stwierdzić, że jedyne moje imię w jego ustach to Gabi. Bardzo to urocze, podoba mi się szalenie.

Od zawsze miałam sny z ojcem w roli głównej. Śnił mi się, kiedy byłam nastolatką i po ślubie. Śnił mi się, kiedy zostałam matką, kiedy byłam szczęśliwa bardziej i mniej. To były powtarzające się sny, zawsze podobne. W nich chroniałam synków przed pijakiem. Budziłam się ze szlochem, przerażona, bo śniłam, że on im grozi, że mi ich odbiera. Skąd takie sny? W rzeczywistości był przecież miły dla wnuków, rozmawiał z nimi, nieraz brał ich w wózku na spacer.

Śniłam, że goni za mną z jakimś ostrym przedmiotem. Biegł i krzyczał, że mnie zabije. Uciekałam najszybciej, jak mogłam, oglądając się, jaki dzieli nas dystans. W końcu mój bieg stawał się coraz powolniejszy, plątały mi się nogi. Nagle unosiłam się w powietrze. Leciałam, rozkładając szeroko ręce jak skrzydła, szybowałam to wyżej, to niżej. Już się nie bałam. W dole widziałam ludzi, pokazywali sobie latającą osobę, a ja byłam dumna i ważna. Bo nikt inny tego nie potrafił. Tylko ja latałam. Ciągłe było tak samo, zmieniały się tylko plener i narzędzie ojca. I słowa, które wykrzykiwał, bywały różne.

Gdy zdarzył mi się sen, w którym nie odlatywałam, budziłam się z krzykiem. Dobrze, że obok miałam Pawła, on mnie uspokajał, tulił. Uświadamiał, że to tylko zły sen. Do dziś ten sen wraca kilka razy w roku, czasem kilkanaście...

Matka też mi się śni, ale sny z nią są inne, choć również zauważam w nich pewne stałe elementy. W snach z nią nie mogę wejść do mieszkania, nie mam klucza albo matka mówi, że mam się wyprowadzić z jej domu. Bywało, że widywałam spakowane swoje rzeczy. We śnie mieszkałam z matką, lecz nie wolno mi było brać jedzenia.

To są złe sny. Nienawidzę ich. Zawsze po nocy koszmarów z rodzicami w roli głównej mam zły dzień, jestem smutna, objadam się słodyczami.

Chciałabym, żeby ktoś skalpelem usunął je z mojego mózgu, a raczej to, co je powoduje. Na razie muszę przeżywać koszmary, jakbym miała ich mało na jawie.

Trzeci mój powtarzający się sen jest bez rodziców. Śni mi się nasz dom, mój i Pawła. Widzę, jak ściany pękają. Idę i nagle kończy się podłoga. Zaglądam w przepaść i widzę część pokoju z meblami w otchłani. Płaczę, czuję się zagrożona. We śnie nasz dom jest zawsze inny i nigdy nie wygląda jak w rzeczywistości. Czasem jest wysoki, czasem niższy, szary lub biały, zmienia się jego bryła i położenie. Czasem we śnie wracamy z mężem do domu i zastajemy szczelinę w murze albo pęknięty dach.

Nieraz mi się śni, że coś mi grozi, wołam o pomoc, ale ludzie idą dalej, nie zauważają mnie. Wołam Pawła, widzę go z daleka; odwraca się, patrzy na mnie, lecz nie reaguje, idzie ze wszystkimi. Potwornie się wtedy boję. Jestem sama ze swoim strachem. Wszystkie koszmary kończą się krzykiem i płaczem. Dziękuję, że jest obok mnie Paweł.

– To tylko głupi sen, Gabi, już dobrze. – Przytula mnie, zapala lampkę nocną.

– Śniłeś mi się, potrzebowałam pomocy, wołałam cię, ale nie przyszedłeś. Zostawiłeś mnie samą, poszedłeś sobie ze wszystkimi... – Łkam jak dziecko.

– To tylko sen, nigdy cię nie zostawię, Gabi. Jestem na to za leniwy.

– A co ma lenistwo do porzucenia? – pytam.

– Myślisz, że chciałoby mi się poznać kogoś od nowa, a przedtem go szukać, dopasowywać się od nowa? Miałbym wejść w coś nieznanego, ja, taki stary piernik? Po co mi nowe, skoro obok mam znane chmurki i humorki? – Cmoknął mnie.

– Racja... Ale wiesz, chodzi o to, że koszmary o matce i ojcu rozumiem, za to w ogóle nie rozumiem, dlaczego odchodzisz. Przecież z tobą czuję się bezpiecznie, to nie ma sensu! – Leżymy w milczeniu. Paweł pewnie przysypia, a ja nie mogę zasnąć. – A może to ma sens? Pewnie boję się utracić bezpieczeństwo.

Spoglądałam na mojego męża. E, nie ma co ciągnąć tej rozmowy. On przecież już chrapie w najlepsze.

Przez moje sny żyję podwójnie, tak uważam. Dla mnie nie ma nocy bez snu. Często żartuję, że aktywnie żyję po zmroku. Moje sny są zawsze kolorowe. Jeszcze do niedawna myślałam, że wszyscy tak mają. Okazuje się, że nie, wielu ludzi śni w szarościach. Moje sny są jak filmy, dadzą się opowiedzieć. Są niezwykle barwne, dużo w nich wydarzeń, osób i ekspresji. Paweł powtarza, że on nie ma snów, więc ja śnię za nas dwoje. Uśmiecham się na tę myśl. Ma, tylko ich nie pamięta.

Kilka lat temu kupiliśmy działkę za miastem. Właściwie był to kawał ugory pięknie położonego pod lasem. Kupiliśmy tę ziemię za grosze, bo ani tam prądu nie dociągnęli, ani porządnej drogi. Po kilku latach w kierunku naszego poletka zaczęły się zbliżać zabudowania. Nasz ugor stał się atrakcyjną działką podmiejską. Sprzedaliśmy go za solidną cenę, która nas samych zaskoczyła. To dopiero była gratka! Matkę zjadała zazdrość. Gdy powiedziałam jej, że mamy kupca, zgodnie z ojcem stwierdzili, żeby nie sprzedawać ziemi. Dopiero gdy usłyszeli ustaloną kwotę, od razu zmienili zdanie. Matka zgryźliwie podsumowała naszą radość:

– Trafiło się wam jak ślepej kurze ziarno.

Zawsze miała nam coś przykrego do powiedzenia. Wtedy, przed laty, zabraliśmy rodziców, żeby razem z nami obejrzeliby to pole. Było zarośnięte po pas pokrzywami, do tego trochę sosen samosiejek. Spodobał się nam widok na las. Nie przestraszył nas dojazd po głębokich, gliniastych koleinach z kałużami. No i kosztowało to grosze.

Matka odradzała nam inwestycję:

– Ani to uprawiać, ani tu mieszkać. Dajcie sobie spokój.

– Za kilka lat wszystko się może zmienić. To miejsce też. Trochę wyobraźni, mamo.

– Kupujecie dziadostwo, nigdy tego nie sprzedacie. Kto by się chciał tu budować?

Kupiliśmy. Może trochę jej na złość? Mieliśmy nosa.

Nasz dom dla wielu był dziwolągiem. Sąsiadom nie podobała się technologia kanadyjska. W latach osiemdziesiątych mało osób było

otwartych na nowe style w budownictwie. A może tak było tylko w małych miasteczkach i na wsiach?

– Dom z drewna to głupota – krytykowali nasz wybór życzliwi. – Ani to ogrzać, ani w tym mieszkać. Przyjdzie wiatr i przewróci.

Na dodatek nasz dom był dość duży, rozłożysty, z piętrem, gdy w okolicy wszyscy stawiali tradycyjne, murowane.

– Taki dom trudno będzie sprzedać. – Kiwali głowami, gdy daliśmy ogłoszenie o sprzedaży.

– Gdzieś są ludzie, którzy szukają domu właśnie takiego jak nasz – odpowiadałam.

Okazało się, że dość szybko znalazł się chętny, sfinalizowaliśmy sprawę i nareszcie naprawdę zaczęliśmy realizować nasze marzenie.

Zanim jednak to nastąpiło i na dobre dojrzała we mnie decyzja o zmianie miejsca zamieszkania, żyłam w wielkim rozdarciu. Kochałam swój dom, każdy przedmiot w nim i każdy detal. Odnajdywałam się w zabawie kolorami, w dobieraniu mebli, zasłon, w wymyślaniu praktycznych rozwiązań. Dom stał się moim oczkiem w głowie, ważnym niemal jak dzieci i mąż. Marzyłam o nim od zawsze, śniłam o nim, opisywałam go w dziewczęcym pamiętniku. Łatwo sobie wyobrazić, ile kosztowała mnie decyzja o sprzedaży.

Rozdarcie to moje drugie imię, towarzyszy mi od zawsze. Na co dzień żyję z dylematami, wciąż się biję z myślami, nie wierzę w to, że moje pomysły są dobre. Boję się krytyki, ośmieszenia i złych wyborów. Chciałabym być jak Paweł. On nie dzieli włosa na czworo, dla niego wszystko jest czarne albo białe, a mój dumny mózg nawet biel rozbija na odcienie.

– Życie jest wszędzie, Gabi, jeszcze tego nie wiesz? – Jedno proste stwierdzenie na tysiące moich rozterek.

Tym ja i Paweł się różnimy. Ja wszystko analizuję, wybiegam daleko w przyszłość lub się cofam w przeszłość. Ciągłe się odwołuję do mojego doświadczenia. Paweł żyje tu i teraz. Nie przewiduje, nie interpretuje. Uważa, że jeśli czegoś bardzo chcemy, to należy to zrobić, nie patrzeć na nic, bo potem do końca życia możemy żałować i rozmyślać, co straciliśmy.

– A co, jeśli to będzie zła decyzja? – pytałam go tysiące razy.

– Wtedy znów zrobimy coś, co nam w duszy zagra – odpowiadał spokojnie.

Pojechaliśmy w Polskę. Zjeździliśmy kawał Podlasia. Odwiedziliśmy biura pośredniczące w sprzedaży nieruchomości, spaliśmy pod namiotem w różnych miejscach i cieszyliśmy się sobą.

– Mamy prawdziwe wakacje we dwoje – piszczałam jak wariatka.

Nie byłam nigdy aż tak daleko na wschodzie. Oglądaliśmy kolejne oferty, lecz żadna nie ujęła nas na tyle, żeby tam widzieć siebie przez kolejne lata. Podlasie było piękne, dla mnie bardzo egzotyczne, zwłaszcza wsie i osady, o których mówiłam „daleko od szosy”. Wróciliśmy do domu z masą zdjęć i wrażeń, i z rozdartym sercem. Tak bardzo było mi żal domu. „Żeby móc go przenieść w nowe miejsce” – marzyłam irracjonalnie.

Nasz dom dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Przeprowadzka oznaczałaby konieczność zaufania obcym ludziom. Chciałabym brać życie jak Paweł – ze stoickim spokojem.

– Żyjesz jak Rambo, z dnia na dzień! – śmieję się nieraz z niego.

Brak wiary w siebie zauważyłam już dawno.

Część trzecia

Gabi i jej mazurskie życie

Zamieszkaliśmy na Mazurach! To niesamowite, wciąż nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego życie nigdy nie dostało Oscara za najlepszy scenariusz? Podlasie mnie nie oczarowało, postanowiliśmy więc spróbować gdzie indziej. Zaplanowaliśmy sobie trzydniową trasę, tym razem z noclegiem w hotelu, w Szczytnie zatrzymaliśmy się na obiad. Idąc przez miasto, rozglądaliśmy się za miejscem, gdzie można coś zjeść.

– Zauważyłeś, że tutaj się nie płaci za parking? – spytałam Pawła.

– Aha – potwierdził. – Wszędzie, gdzie do tej pory byliśmy, pobierali opłatę.

– O, tu wejdźmy. – Wskazałam Pawłowi zapraszający szyld.

W środku było przytulnie i bardzo mało ludzi. Wybraliśmy dania i czekaliśmy na realizację zamówienia. Ładna dziewczyna roznosiła parujące talerze do stolików. Nagle do lokalu weszła kobieta, nie usiadła, tylko ruszyła na zaplecze, gdzie obcym wstęp wzbroniony. Zanim zniknęła, Paweł uważnie jej się przyglądał, wręcz śledził każdy jej krok.

– Słuchaj, ta kobieta... znam ją. To żona Jerzego, mojego kumpla ze szkoły. Kolegowaliśmy się w Warszawie. Zmieniał dziewczyny jak rękawiczki, aż w końcu poznał Teresę i się pobrali. Zaręczyli się tuż przed maturą, w wakacje planowali ślub. A może się nie pobrali...? Sam już nie pamiętam. Hm, ciekawe. Może ma innego męża.

– Faktycznie, nieraz ich wspominałeś. Nie przyjrzałam jej się, więc pewności nie mam. Tym bardziej że w ogóle widziałyśmy się ze dwa, trzy razy w życiu. Na balu z okazji zakończenia szkoły Jerzy był z nią. Wtedy dużo we czworo tańczyliśmy. Ale minęło już tyle lat.

– Zawsze żałowałam, że kontakt nam się urwał – podsumował Paweł. – Byłem pewien, że mieszkają w Warszawie.

Tak, to jednak była Teresa. Wyszła z zaplecza i coś tłumaczyła dziewczynie za barem. Wpatrywaliśmy się w nią jak dwie sroki w jeden gnat. Nagle Teresa przesunęła wzrokiem po lokalu, po nas też. Uśmiechnęliśmy się do niej, a ona nas rozpoznała!

– Co za spotkanie! – wołała, idąc z drugiego końca sali.

Okazało się, że Teresa jest właścicielką tej knajpki. A my opowiedzieliśmy jej o naszych planach.

– Musicie nas odwiedzić, zaraz zadzwonię do Jurka, ależ on się ucieszy!
– emocjonowała się głośno, nie zważając na innych gości.

Czyli jednak została żoną Jerzego.

Naprawdę obgadaliśmy szczegóły, gdzie i o której się spotkamy. Teresa jeszcze raz przypomniała kelnerce, że obiad mamy na koszt firmy.

Radości nie było końca. Teresa i Jurek mieszkali na osiedlu blisko centrum. Zaletą małych miast jest właśnie to, że można mieszkać na obrzeżach i wszędzie mieć blisko. Mieli piękny dom, psa i kota, i według nas nic się nie zmienili. Oni to samo stwierdzili o nas.

Zaczęły się wspomnienia, przypominanie nazwisk kolegów, koleżanek, profesorów i wydarzeń. W końcu panowie zaczęli sypać anegdotami z wojska, a wtedy było pewne, że kobiety najlepiej zrobią, dając im spokój i uciekając do kuchni. Szykowałyśmy jedzenie i wtedy sobie przypomniała, że na samym początku ich ulicy od jakiegoś czasu wisi tablica informująca, że dom jest na sprzedaż.

Aż podskoczyłam z emocji.

– Tylko mówiliście, że chcecie mieć nieliczne sąsiedztwo, a w naszej okolicy to będzie trudne – uprzedziła mnie Teresa, po czym znów zaczęła się zastanawiać. – Słuchaj, wiem! – zawołała wreszcie. – Matka mojej koleżanki ma dom pod lasem w stronę Pasymia, blisko Szczytna. Od kiedy została wdową, więcej czasu przesiaduje u córki niż w domu. Dom jest okej, tylko przydałaby mu się mała modernizacja, wiesz, szczelne okna, ocieplenie, nowe ogrodzenie. Koleżanka wspominała, że matka pewnie go sprzeda, bo szkoda, żeby niszczał. Nie inwestuje już w niego, samej starszej pani ciężko jest utrzymać taką posiadłość. Wystarczy, że przez dwa dni jej nie ma i wraca do strasznie wychłodzonego budynku, zimą musi sama odśnieżać, nie ma auta. Wiesz, jak to jest. Inga mieszka w Olsztynie i chce ją wziąć do siebie.

– No tak. – Słuchałam opisu uważnie, bo za Teresą i jej żywiołowością trudno było nadążyć.

– Wiem, że kilka lat temu założyli centralne ogrzewanie. W ogóle zrobili jakiś remont, niestety, wkrótce zmarł mąż właścicielki. Możemy pojechać do Ingi, najpierw zadzwonię, zobaczę co i jak. No, chyba że nie chcą sprzedać...

Zupełnie nieplanowo spędziliśmy bardzo miły wieczór. Oczywiście nie było mowy o spaniu gdzie indziej niż u naszych starych przyjaciół. Teresa przedzwoniła do swojej koleżanki. Dom był na sprzedaż. Pojechaliśmy go obejrzeć i zakochaliśmy się w nim i otoczeniu. Oboje tak samo, na zabój. Wszystko układało się jak po maśle. Sprzedaż naszego domu i kupno nowego przebiegły sprawnie.

– Wpadliśmy na Mazury na trzy dni, a zostaliśmy na stałe – podsumował Paweł.

Mazury to takie magiczne słowo. Teraz jesteśmy ich częścią. Mamy małą posiadłość z widokiem na las, ale nie na końcu świata i tylko z dwoma domami w sąsiedztwie.

– Po prawicy i po lewicy – żartujemy sobie.

Sąsiednie posesje są w pewnym oddaleniu, z naszego podwórka możemy krzyknąć „dzień dobry” i pomachać ręką, a sąsiedzi odwzajemnią się tym samym. W oddali widzimy też trzeci dom, przy drodze asfaltowej. My mieszkamy przy żwirówce.

Tak, zakochaliśmy się w tym miejscu od pierwszego spojrzenia.

Chłopcy byli tuż przed maturą, a my w trakcie załatwiania formalności związanych z kupnem siedliska. Była piękna wiosna, kwitły bzy, wszystko było w rozkwicie, soczyście zielone. Zbiegły nam się dwa wielkie wydarzenia. Chwilami sama nie wiedziałam, co przeżywam mocniej. Ze starego domu (o matko, jak ja go teraz nazywam!) wpadaliśmy do Torunia i Bydgoszczy zobaczyć, co u chłopców. Mikołaj był prawie ogrodnikiem, za parę dni zdobędzie dyplom. Technik ogrodnik, mój mały duży synek, nasza dumna. Bogusz wytypował kilka kierunków studiów, liczył na to, że gdzieś się dostanie. Bardzo żyli się ze swoimi miastami i planowali w nich zamieszkać. „Mają rację – myślałam – duże miasto daje młodym więcej możliwości”. Zawsze im wpajałam, że nauka jest ważna, że marzenia są ważne, że warto próbować robić to, co dyktuje serce. Nigdy nie krytykowałam ich wyborów. Mikołaj był praktykiem, interesował się

mechanizacją. Odwiedzał każdą wystawę maszyn rolniczych. Podziwiał wielkie kombajny, nowoczesne traktory, dotykał ich, przymierzał się w kabinie, za kierownicą. Lubił targi rolne, pokazy ogrodnicze. Bogusz uwielbiał komputery. Zawsze był prymusem w przedmiotach ścisłych. Kochał świat cyferek i informatyki. Interesował się też giełdą.

Będą mieli dom i rodziców na Mazurach. Czyż to nie urocze? A jak brzmi!

To wtedy znów zaczęłam się zastanawiać, jak to jest możliwe, że mam tyle szczęścia. Od kiedy weszłam w samodzielne życie u boku Pawła, wszystko stało się inne od tego, co miałam w domu rodzinnym. Udane małżeństwo, chociaż matka wróżyła mi, że nikt mnie nie zechce. Zdrowe, zdolne dzieci. Dom tam, teraz tu. Tam z rozsądku? Z wygodnictwa? Z bezmyślności? Pewnie po trochu ze wszystkiego. Na Mazurach – z marzeń. Żadne złe wróżby matki się nie spełniły, pozostawiły tylko żal i złe wspomnienia.

Na Mazurach czułam szczęście każdą komórką organizmu. Dom nie wymagał wielkich nakładów, tylko wyremontowaliśmy to i owo. Razem z synami zamontowaliśmy nowe ogrodzenie. Potem Bogusz zamieszkał w akademiku, dostał się na informatykę. Paweł dzięki Jerzemu dostał pracę w sektorze drzewnym. Chłopcy spotkali swoje drugie połówki i wpadali do nas z dziewczynami. Byłam dumna z nich, z domu, ze wszystkiego, co osiągnęliśmy razem i każdy z osobna. Szczyciłam się też moim wspaniałym ogrodem – to Mikołaj pomagał mi go urządzić.

– Mamo, tu rododendron nie będzie się dobrze czuł – tłumaczył.

– Dlaczego? Pięknie tu pasuje.

– Bo nie lubi ostrego słońca, tylko półcień. Pod murem się spali.

– Okej, skoro ma takie wymagania, poszukamy mu innego miejsca – godziłam się. – Ale te dzwonki mogłyby dzwonić na przykład tu. Będą mnie witać każdego ranka tuż po zejściu z werandy.

– To serduszka okazała, a nie żadne dzwonki, mama! – poprawił mnie mój mądry chłopczyk. – Może tu być. Lubi mieć głowę w słońcu, a nóżki w cieniu. Będzie zadowolona.

– Jestem z ciebie dumna, synku. I bardzo cię kocham. – Czochrałam mu jasne włosy. – Kurczę, ty już jesteś dorosłym facetem. Kiedy to się stało? Nie powinnam już czochrać ci włosów, nie uważasz? Zresztą ledwo sięgam.

– Jak nikt nie widzi, to pozwalam – roześmiał się.

Z każdym przyjazdem Mikołaja wiązały się zmiany w ogrodzie. Coś dokupowaliśmy, przesadzaliśmy, przycinaliśmy. Dawał mi wiele wskazówek, zauważał choroby, polecał, jak i kiedy podlewać oraz nawozić. Jak zabezpieczać przed mrozem, co wykopywać na zimę i przechować w piwnicy. Pokochałam wszystkie czynności ogrodnicze, szybko się uczyłam. Miałam prywatnego nauczyciela.

– Chciałabyś mieć w ogrodzie wszystkie rośliny świata – pewnego dnia stwierdził mój syn, kiedy to specjalnie na jego przyjazd zrobiłam listę roślin, które mi się marzą. Niektóre z tej listy już kupiłam i stały w doniczkach, czekając na niego. – Mamo, tamaryszek to ryzykowny krzew w tym klimacie – mówił.

– Dlaczego? W starym domu mieliśmy, pamiętasz? Uwielbiałam go. Co roku był coraz większy, taki rozłożysty, i pięknie kwitł.

– Mazurski klimat jest surowszy niż na Kujawach. Tamaryszkowi każdej zimy może przemarzać góra, więc każdej wiosny trzeba go będzie przycinać przy samej ziemi. Nigdy nie będzie tak wielkim i rozłożystym krzewem, o jakim marzysz. Ale skoro już go kupiłaś...

Wysadziliśmy krzew moich marzeń. Ma wiele miejsca, może rosnąć, jak chce, chociaż mam go przycinać. Pewnie ostre mrozy zrobią to za mnie. Zobaczymy, czy przemarznie.

Od wiosny, kiedy już zima na dobre sobie poszła i wszystko zaczęło intensywnie rosnąć, dzień zaczynałam od spaceru po moim ukochanym ogrodzie. Wstawałam, myłam zęby, wkładałam szlafrok i szłam na obchód. Nic nie uszło mojej uwadze. Każdą roślinę oglądałam ze wszystkich stron, każdy nowy pąk, nowy załazek pędu znałam na pamięć. Co rano oceniałam, ile urósł. Zauważałam początki ataku mszyc albo podejrzenie brązowiejące liście. Od razu interweniowałam albo telefonowałam po poradę do Bydgoszczy. Mój rytuał trwał aż do jesieni, dzień po dniu, niezmiennie. „Ależ mam komfort – cieszyłam się brakiem sąsiedztwa tuż za płotem. – Mogę w bieliźnie łązić po rosie i nikt mnie nie zobaczy”.

Byłam taka szczęśliwa. Nie musiałam się zaszywać w dzikiej głuszy, żeby poczuć się częścią natury. Tyle wkoło starych, potężnych drzew. W moich tujach ptaki wily gniazda, potem młode wylatywały po raz pierwszy, a ja obserwowałam ich nieporadne nauki latania. Czałam się z aparatem, robiłam fotki.

Natomiast Bogusz był moim prywatnym informatykiem, dbał o porządek w komputerze. Podczas odwiedzin coś aktualizował, instalował, czegoś mnie uczył. Jak miałam problem i nie dawałam rady sama go rozwiązać, dzwoniłam do Torunia.

– Mamo, dlaczego jak coś ci tłumaczę, zawsze się spocę? – pytał.

– Może masz za ciepło w pokoju? – żartowałam.

– Jasne! No, skup się. Na dole masz ikonki, widzisz je?

– Widzę, co z nimi?

Bogusz cierpliwie mnie instruował, powtarzał tak długo, aż zrozumiałam. I dawałam radę, najeżdżałam kursorem, gdzie trzeba, rozwijałam, co trzeba, klikałam prawym przyciskiem myszy, kiedy trzeba. Choć wymagało to czasu, na koniec zawsze syn mnie pochwalił.

– Brawo! Widzisz, wcale nie było takie trudne. Jak przyjadę, to porobię ci w kompie porządki i na jakiś czas będziesz miała spokój.

Z Jerzym i Teresą często się spotykaliśmy. Nie była to może wielka przyjaźń, ale się odwiedzaliśmy, dzwoniłiśmy do siebie i byliśmy bardzo zadowoleni, że w obcym środowisku już na starcie mamy przyjazne osoby. To oni tłumaczyli nam, gdzie i co się znajduje, jak dojechać, gdzie najlepiej zaparkować.

Teresa zaproponowała mi pracę u siebie od późnej wiosny do wczesnej jesieni. Wtedy przed swoim lokalem uruchamiała ogródek piwno-lodowy. Tak go nazywała, chociaż tak naprawdę pod parasolami można było zjeść wszystko. Po jej propozycji wpadłam w panikę. Pierwsza moja myśl: „Nie dam rady”. Druga: „To najprostsza praca, jaką mogłam sobie wymarzyć”.

– Tereso, nie wiem, czy dam radę, wiesz, mam problem z publicznymi występami. – Choć bardzo chciałam pracować, broniłam się przed jej propozycją.

– Dasz radę. Jak Paweł przyjeżdża z pracy, to sam sobie nakłada obiad na talerz i zanosi na stół?

Dziwi mnie jej pytanie, bo co ma piernik do wiatraka.

– No nie, ja nakładam jedzenie dla nas obojga, stawiam na stole, siadamy i jemy. Chyba że mnie nie ma.

– No to podobnie będzie w pracy, nawet łatwiej, bo tylko będziesz musiała zanieść różnym Pawłom i Gabrysiom talerze z posiłkami, które już będą nałożone – powiedziała radośnie, beztróska, jak to ona. – Albo piwo na tacy jakimś innym Mikołajom i Boguszom.

Niby to proste, ale tylko z pozoru. Nie lubię pełnić żadnej funkcji w nieznanym mi gronie. Za to wspaniale się czuję wśród znanych mi osób. Od zawsze tak mam. Patrzący na mnie nieznanymi ludźmi mnie paraliżują. Gdyby ktoś o coś zapytał i miałabym głośno się wypowiedzieć, spłonęłabym z onieśmienia jeszcze przed wypowiedzeniem pierwszej sylaby. A gdyby w sali pełnej obcych ludzi ktoś nagle wywołał mnie na środek lub na podium, nie dałabym rady tam dojść. Plątałyby mi się nogi i przewróciłabym się jak długa. Paraliżuje mnie nawet perspektywa załatwiania spraw w urzędach. Przeważnie chodzimy razem z Pawłem, lecz bywa, że on nie może i muszę sama. Boję się urzędniczych pytań, wszelkich podsuwanych do wypełniania druczków i samego pokoju z urzędnikiem za biurkiem. Inaczej jest, kiedy Paweł stoi obok. Wtedy czuję się bezpiecznie. Nie musi ze mną wchodzić, wystarczy mi myśl, że siedzi na korytarzu za drzwiami. Dodaje mi to pewności siebie. W ogródku przed lokalem nie będzie Pawła pod parasolem, więc... trzęsłam się ze strachu.

Któregoś pięknego wiosennego dnia pojechałam na próbę do pracy. Poprzedzająca mój pierwszy publiczny występ noc była oczywiście bezsenna. Wiedziałam, że tak zareaguję, jak tylko usłyszałam propozycję Teresy. Kłopoty ze snem, brak apetytu, rozstrój żołądka i drżenie rąk, czyli standardowe objawy lęku.

Siedziałam, przyglądałam się, zadawałam pytania, jednym słowem uczyłam się. Obserwowałam, jak robi to ta ładna dziewczyna, poznana podczas naszego pierwszego dnia w Szczytnie. Poruszała się tak swobodnie. Tak samo rozmawiała z ludźmi przy stolikach. Uśmiechała się

do nich, odpowiadała na pytania, żartowała. Donosiła piwo, lody. Zbierała brudne naczynia. Raz spadła jej z tacy pusta szklanka od piwa. Rozbiła się na posadzce z hałasem, tuż przed barem. Poczułam się tak, jakbym ja to zrobiła, aż szybciej i mocniej zabiło mi serce. Natomiast kelnerka krzyknęła, że to na szczęście, i z uśmiechem kontynuowała swój marsz z tacą. Potem wróciła ze zmiotką, sprzątnęła szkło i zajęła się realizacją kolejnych zamówień.

„Praca jest prosta, najzwyczajniejsza na świecie – przekonywałam samą siebie. – Łatwa dla innych, dla mnie za trudna” – warczał groźnie drugi wewnętrzny głos. Biłam się z myślami. Nie chciałam zawieść Teresy, musiałam chociaż spróbować.

Mój pierwszy dzień w pracy – już nie w roli podglądacza, a kelnerki – zgodnie z przewidywaniami był koszmarem. Maszerując sztywno z talerzami w kierunku stolika, czułam, że nie dojdę, że zemdleję. Nogi miałam jak z waty, ciśnienie krwi niebezpiecznie wysokie. W mojej czaszce działo się coś dziwnego, jakaś siła rozpierała ją od środka. „O Boże, zaraz eksploduje mi głowa” – myślałam.

– Pani chyba jest nowa? – spytał gość, przed którym stawiałam talerz. Widocznie stały bywalec.

„Po co to pytanie, nie kopie się leżącego” – chciałam mu odpowiedzieć, ale tylko kiwnęłam głową i odeszłam byle szybciej, zahaczając o coś biodrem. To był mój chrzest bojowy, który niczego dobrego nie wróżył.

Tak samo się bałam, niosąc tacę z piwem grupie młodzieży. Szłam do nich, oni głośno rozmawiali i się śmiali. Czułam, że ze mnie. Ledwo doniosłam tacę i rozstawiłam szklanki, z trudem opanowując drżenie rąk.

– Jeszcze jedno piwo proszę! – zawołał chłopak siedzący przy długim stoliku, od którego dopiero co wróciłam.

„Za mało zaniósłam – pomyślałam. – Było ich sześcioro, a jest siedmioro. Gapa ze mnie. Pewnie zaraz ktoś spyta, do ilu potrafię liczyć. Wtedy na pewno zemdleję i skończy się moja męka”.

– Dla kogo piwo? – Staralam się być na luzie.

– Dla tego łosia, który zawsze się spóźnia! – Jeden z chłopców wskazał palcem na blondyna z wyraźnym trądzikiem na twarzy.

– Stał w kolejce po prezerwatywy, bo dziś się dowiedział, że coś takiego istnieje – dodał inny, a wszyscy wybuchnęli śmiechem, ten z trądzikiem też. Na dodatek dołączyła do nich kolejna grupa młodzieży.

Normalne dzieciaki, beztroskie, jednak ja nie dam rady. Nie dam rady! Nie dam rady!!! Jest we mnie jeden wielki krzyk. Weszłam na zaplecze, padłam na krzesło stojące w rogu i się rozplakałam. Czuję, że zaraz dostanę zawału, jest mi dziwnie gorąco, histerycznie kaszlę aż do odruchu wymiotnego. Nie dam rady... Coś dziwnego dzieje się w mojej głowie. Zaraz eksploduje.

– Co się stało, pani Gabrysiu? – Pochyliła się nade mną i objęła ramieniem dziewczyna, której już nie nazywałam Ładną tylko Majką.

– Źle się czuję – odpowiedziałam, prawie się dusząc.

– To pani pierwszy raz, ja też się denerwowałam, kiedy kilka lat temu zaczynałam. Naleję pani wody, proszę posiedzieć, ja się wszystkim zajmę. Nie ma dużo klientów. Spoko. Wkrótce ma przyjechać szefowa. Naprawdę, nie ma co się przejmować. Będzie dobrze.

„Nie ma dużo klientów? Przecież jest tłok jak na Marszałkowskiej w godzinach szczytu” – myślałam. Tuż po szkole potrafiłam pracować, nie histeryzując jak stara wariatka. Byłam młoda, fakt, ale tak nie przeżywałam. Co się ze mną stało?

Nie było dobrze, Paweł musiał urwać się z pracy. Zawiózł mnie do lekarza, bo coś się ze mną działo złego. Zanim przyjechała Teresa, ja leżałam na łóżku po zaaplikowaniu leków obniżających ciśnienie. Miałam galopadę emocji – od wstydu, po zawód, poprzez litość nad sobą i znów wielki żal do matki.

– Ma pani niebezpiecznie wysokie ciśnienie – oświadczył lekarz.

– Przeżyłam dziś koszmar, pewnie przez to.

– Może i tak. – Lekarz wypisał receptę. – Trzeba kontrolować ciśnienie kilka razy w ciągu doby. Dam pani specjalną książeczkę do wpisywania pomiarów. Musi pani sobie kupić aparat i zapisywać wyniki, to bardzo ważne. Proszę też się zgłosić do lekarza rodzinnego, on panią poprowadzi. Może wystarczą leki obniżające ciśnienie, ale trzeba zrobić co najmniej podstawowe badania. Bywa, że leki trzeba brać już do końca życia.

Dużo mówił, tłumaczył i ze spokojem odpowiadał na moje niefachowe pytania. A mówią, że lekarze to milczki i pisarze. Widocznie trafiłam na niestandardowego.

Jestem do niczego. Nic nie potrafię. Wszystkiego się boję. Nigdy nic się nie zmieni. Wszystko mnie przerasta, świat mnie przerasta. Nie znajdę pracy. Najlepsze dla mnie jest zaszywanie się w najciemniejszych zakamarkach ogrodu i rozmawianie z roślinami. W domu czuję się bezpieczna. Z Pawłem czuję się bezpieczna. Uwielbiam, jak wpadają do nas chłopcy, sami lub ze swoimi sympatiami. Lubię odwiedziny Teresy i Jerzego. Wtedy śmiejemy się przy piwie czy lampce wina. Przegryzamy czymś, a przedtem oni tak zabawnie się targują, które z nich się poświęci i zawiezie ich do domu. Teresa jest żywiołowa, a Jerzy ma absolutną pamięć do dowcipów. Nie ma tematu, na który by nie znał kawału.

– Jakie dziś mamy święto? – zawsze pyta.

– Nie ma święta, jest zwykły dzień – odpowiada Paweł.

– Niemożliwe, zawsze jest jakieś święto – obstaje przy swoim Jerzy.

– Masz rację, od rana mówią o relaksie w pracy. Ponoć dwunasty marca to Światowy Dzień Drzemki w Pracy. – Przypomina sobie Teresa.

– No widzisz, nie ma dnia bez święta.

I zaczyna się sypanie kawałów z Jurkowego rękawa.

– Szef wchodzi do biura swojego podwładnego, a ten śpi z głową przy klawiaturze. – Kolego, śpi się w domu! – budzi go szef. – Wiem, panie dyrektorze, na pewno byłoby wygodniej, ale służba nie druźba.

– A wczoraj był Dzień Sołtysa – odzywam się ciekawa, co na to Jerzy.

– Mówiłem, że nie ma dnia bez święta? Nie ma! – cieszy się i już zadaje pytanie: – Jak sołtys dorobił się na grze na trąbie?

– Grał na weselach? – zgaduje Paweł.

– Nie! Sąsiedzi płacili mu, żeby przestał! – odpowiada.

Po incydencie z moim ciśnieniem krwi też przyjechali. Przedtem Teresa zadzwoniła, zaniepokojona relacją Majki. Nie chciałam jej opowiadać przez telefon, wiedziałam, że się rozbeczę, jak zacznie mnie pocieszać.

Przyjechali. Teresa, witając się, przytuliła mnie serdecznie, a ja... się rozplakałam. Siadłyśmy w pokoju same i zaczęłam jej opowiadać, czego się boję i dlaczego taka jestem. W tym czasie Paweł i Jerzy pili herbatę w altance. Opowiadałam jej, że zawsze byłam krytykowana, że matka wpoila mi, że najważniejsze to robić dobre wrażenie. Trzeba ładnie wyglądać, uśmiechać się, a ludzie będą ci przyjaźni, będą się z tobą liczyć. Ponadto nigdy we mnie nie wierzyła, każdy mój sukces przypisywała jakiemuś łutowi szczęścia, zbiegowi okoliczności, nie moim umiejętnościom ani mojej pracy. I nadal mnie tylko krytykuje, wciąż porównuje z innymi. Dołuje mnie tym, choć już nie powinnam przeżywać jej komentarzy, bo jestem dorosła i czas iść po rozum do głowy.

– Wiesz, a najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że mam prawie pięćdziesiąt lat, a wszystko złe, zamiast leżeć gdzieś w najgłębszych zakamarkach mojej pamięci, jest ze mną na co dzień. Nie mam wiary w siebie, ona zabiła ją we mnie w dzieciństwie. Kiedy człowiek wciąż słyszy, że jest do niczego, że nie da rady robić tego, co chce, co mu się marzy, w końcu sobie to zakoduje na zawsze.

Teresa słuchała i chociaż to do niej niepodobne, była skupiona. Nie przerywała mi. Była smutna, od czasu do czasu pogładziła mnie tylko po dłoni.

– Jestem stara, a głupia – kontynuowałam. – Dużo czytałam na te tematy. Przerobiłam wiele poradników i artykułów, jak się poczuć wartościowym człowiekiem, jak być szczęśliwym mimo przeżytych traum. Zajrzyj do mojej biblioteki. – Wskazałam palcem pokój na końcu korytarza. – Jedna trzecia książek to pozycje o tematyce psychologicznej. Mam nawet książki z księgarni naukowej o borderline, o technikach klinicznych i terapeutycznie trudnych przypadkach. Mam tam wszystko. Jak sobie radzić z psychiką depresyjną, jak zaczynać wszystko od nowa albo jak być szczęśliwym, różniąc się od innych. Mam książki bardziej i mniej wartościowe, był czas, że kupowałam wszystko, co mi w ręce wpadło, na tematy psychologiczne. Jak pokonać stres, jak pokonać nieśmiałość, jak pokonać wszelkie lęki, jak uwierzyć w siebie, jak przebaczyć. Spójrz, moje książki co dnia do mnie tak właśnie wołają i nic. Znam teorię, ale nie potrafię wdrożyć jej w życie. Czytałam nawet o czakrach, aromaterapii, akupresurze, jodze – też nic. Mnie nie da się

zmienić, nic mi nie pomoże! Jestem trudnym przypadkiem z psychiką depresyjną. Muszę z nią żyć, jednak to takie trudne.

– Gabi, tak mi przykro. Nie mogę powiedzieć, że wiem, co czujesz, bo nie wiem. Może mi się tak tylko wydawać, lecz to chyba niemożliwe, bo ja miałam cudownych rodziców. – Znowu pogłaskała mnie po zewnętrznej stronie dłoni.

– Opowiedz mi o nich – poprosiłam. – Lubię słuchać, jak inni mówią o swoich wspaniałych rodzicach.

– Byli najwspanialsii na świecie. Już tyle lat nie ma ich ze mną... Nigdy ani tata, ani mama mnie nie uderzyli. Ojciec był moim całym światem i choć był prostym człowiekiem, uważałam, że jest najmądrzejszym facetem pod słońcem. Matka była nie tylko matką, ale moja największą przyjaciółką i powierniczką. To, kim jestem teraz i jaka jestem, wiesz, ta moja pewność siebie, marsz przez życie jak burza, to zasługa matki. Nigdy mnie nie stopowała. Nieraz mówiła: „Tereska, czuję niepokój, jak widzę, w co się pakujesz, ale on mija, gdy widzę radość w twoich oczach i jaka jesteś szczęśliwa”. Dlatego nie mogę uwierzyć, że można mieć inne dzieciństwo.

Przytuliła mnie ponownie, a ja się ponownie rozkleiłam. Uwielbiam słuchać takich opowieści. Lubię o tym słuchać i czytać.

– Gabi, nie miałam pojęcia, co w tobie siedzi. A nie myślałaś, żeby iść do psychologa? Jesteś inteligentną osobą, wiesz, że to nie wstyd, że dziś często bez specjalisty nie da rady. Takie czasy. Największe gwiazdy filmowe nie przeżyłyby dnia bez telefonu do swojego psychoterapeuty. Marilyn Monroe, Woody Allen, Vivien Leigh i tysiące innych. My znamy ich tylko powierzchownie, słyszymy o ich talentach, inteligencji, seksapilu, o problemach raczej nie. A Jacqueline Kennedy...? Piękna, bogata, zmysłowa, a gdy zainteresujesz się jej życiem, zobaczysz, że miało ono drugą stronę, już nie taką barwną.

– Wiele razy rozważałam udanie się do psychologa i chyba wciąż nie dojrzałam do wizyty.

– Na pewno kiedyś dojrzejesz. Powinnaś z tego skorzystać. Mądry psycholog to skarb, wiedza i chęć niesienia pomocy. Obiecuj, że w końcu pójdziesz. Będę cię wciąż o to pytać. – Uśmiechnęła się do mnie, moja

pierwsza w nowym miejscu przyjaciółka. Wtedy pierwszy raz tak o niej pomyślałam.

Teresa nie nalegała, żebym ponownie spróbowała u niej pracować. Widziała, ile mnie to kosztuje. No i chyba bała się o mnie, bo mój organizm zbyt ostro reagował na stres. Paweł też stwierdził, że damy radę żyć tylko z jego pensji. Ponadto mieliśmy oszczędności, bo zostały nam pieniądze ze sprzedaży ziemi i domu. Wyremontowaliśmy zakupiony dom na Mazurach, a resztę ulokowaliśmy w akcjach lub na lokacie. Bogusz miał całkiem dobrą orientację w giełdzie i to on był naszym wspaniałym doradcą finansowym.

Ostatecznie stało się tak, że od czasu do czasu dorabiam sobie, piekąc serniki do knajpki Teresy. Odkąd pewnego razu dla niej i dla Jerzego upiekłam moje popisowe ciasto, nie daje mi spokoju. Ona ma domowy deser, a mnie wpada dodatkowa kasa. Nie jestem aż tak bezużyteczna, jak twierdziła matka, hura!

Pewnego dnia po powrocie Pawła z pracy i wspólnym obiedzie rozsiadliśmy się w swoich ulubionych fotelach. On oglądał telewizję, ja czytałam książkę. Od czasu do czasu spod okularów spoglądałam na mojego męża. W pewnym momencie zauważyłam, jak broda mu opadła w kierunku klatki piersiowej. Przysnął. Obserwowałam go, jak próbuje się poprawić, unosi głowę, która już po chwili leci mu do tyłu na oparcie fotela, jak rozchyła usta, pochrapuje. „Urocze” – pomyślałam wtedy i się uśmiechnęłam. Ściszyłam telewizor. „Niech się zdrzemnie, wstaje o szóstej rano, podczas gdy ja się wyleguję co najmniej do ósmej”.

Przewróciłam kartkę swojej powieści, a wtedy Paweł otworzył oczy, przetarł je ręką, spojrzął na mnie, na telewizor. Gdybym próbowała mu powiedzieć, że przysnął, sprzeczałby się ze mną, że to nieprawda. Wolę obserwować, jak wstaje i idzie do kuchni po coś do picia.

– Chcesz? – spytał, po czym podał mi szklanekę z sokiem.

Upiłam łyk, może pięć i oddałam mu szklanekę. Potem znów siedzieliśmy w fotelach, Paweł przełączał kanały w telewizorze.

Uwielbiam tę naszą codzienność. Uwielbiam wszystko, co jest znane i oswojone. Nie chciałam żadnych nowości, nie potrzebowałam ich. Kochałam proste rozmowy, takie jak ta:

– Ciekawa książka? – zapytał Paweł.
– Taka sobie. Czytałam lepsze. Opowiedzieć ci?
– A chce ci się?
– Większość książek ci opowiedziałam, więc czemu teraz miałyby być inaczej. Idziesz na łatwiznę – stwierdziłam nie pierwszy raz.

– To bez sensu, żebyś czytał to samo co ty, Gabi. Gdy mi opowiadasz, to tak jakbym przeczytał sam, nie sądzisz? Podoba mi się, że przekazujesz tylko najbardziej pikantne momenty.

Śmiałyśmy się. Rzuciłam w niego jaśkiem. A potem poszłam do kuchni po jabłka, przyniosłam dwa, talerzyk i nożyk. Obierałam pachnące owoce, bo miały bardzo twardą skórkę. Dzieliłam na ćwiartki, podawałam jedną Pawłowi, drugą sobie, trzecią Pawłowi, czwartą sobie. Z drugim owocem robiłam to samo. To nasz rytuał, który pielęgnujemy od dwudziestu lat. W starym domu (zabawne jest to, „stary” mówimy o naszym poprzednim domu, który przecież sami zbudowaliśmy, tymczasem to nasz obecny dom jest stary, jedynie wyremontowany, a mówimy o nim „nowy”) siadaliśmy we czworo w salonie, na ławie stawiałam miskę z jabłkami, po czym obierałam je jedno po drugim. Nie nadążałam obierać, ćwiartkować i wycinać gniazd nasiennych, bo chłopcy tak szybko wyciągali dłonie.

– Macie zdrowe zęby, jedzcie całe jabłka – buntowałam się.
– Oj, mam, takie się fajniej je! – protestowali.
– W skórce jest najwięcej witamin. – Nie dawałam za wygraną.
– Całe jabłka jemy w szkole, a dom to dom.
– Poza tym jedzenie obranych i pokrojonych owoców to nasza rodzinna tradycja, co nie, Bogusz? – stwierdzał Mikołaj, patrząc na brata.

Zawsze wspominałam takie chwile z rozrzewnieniem.

– O czym myślisz, Gabi? – Przerwał moje zamyślenie Paweł.
– Przypomniało mi się wspólne z chłopcami jedzenie jabłek. Czyżby dopadł mnie syndrom pustego gniazda?

Dobrze, że mamy przyjaciół. Dzięki nim możemy skupić się na innych sprawach. O, choćby na nowym starym samochodzie Jerzego i Teresy, który właśnie kupili. Razem opijaliśmy takie duże zakupy. Dzięki takim

małym świętom mogą mieć wspaniały humor i ochotę, żeby wstąpić do kwiaciarni po bukiet dla Teresy.

Teresa świetnie gotuje, już na schodach czuliśmy cudowny zapach. Drzwi otworzył nam Jurek, po czym panowie od razu popędzili do garażu.

– Szybko nie wrócą – stwierdziła moja przyjaciółka, wachając stokrotki, które jej przynieśliśmy.

Tak to już było, że zawsze najlepiej się nam rozmawiało w kuchni. Bezcenne i pełne porozumienia chwile: próbowanie, ocenianie wyglądu dania, przenoszenie pełnych półmisek do pokoju, przeplatane rozmową.

– Chyba musimy po nich pójść, inaczej wszystko wystygnie – powiedziała Teresa. – Zejdźmy obie, przy okazji zobaczysz nasz nabytek. I weź wino, nam też się coś od życia należy, nie?

Ona zawsze umiała mnie rozbawić. Podobnie jak widok naszych mężów, wpatrzonych w samochód, jakby to był co najmniej kamień z Rosetty. Zabrałyśmy ich na górę. Po drodze kontynuowali temat motoryzacyjny. Faceci naprawdę muszą pochodzić od innej mały.

Śliczne, czarne i lśniące auto opijałam ja, za nas dwoje. Było miło, jak zawsze. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym.

– No, kochani, kto dziś świętuje? – zaczynał swój maraton kabaretowy Jerzy.

– Dziś jest dzień wolny. Dzień dnia wolnego od świąt – żartował Paweł.

– Nie ma takiego święta! – śmiał się Jerzy.

– Od rana radio gada o sąsiadach. Czy to znaczy, że mamy Europejski Dzień Sąsiada? – przypomniała sobie w końcu Teresa.

– Widzisz, codziennie jest jakieś święto – stwierdził z zadowoleniem Jurek. – O tym też znam świetny żart. Posłuchajcie. Małżonkowie są razem pod prysznicem. Nagle ktoś dzwoni do drzwi. Chwilę sprzecają się o to, kto ma otworzyć. Ostatecznie poszła ona. Zawinęła się wielkim ręcznikiem, spogląda przez wizjer i widzi sąsiada. Otwiera mu. Mężczyzna patrzy na nią, wyciąga z portfela pięć banknotów po dwieście złotych i mówi: „Jak pani rzuci ręcznik, dam pani tysiąc złotych”. „Tyle kasy, co mi tam, zrzuć na sekundę ręcznik i mam tysiąc złotych” – myśli żona i tak robi. Sąsiad zgodnie z obietnicą wręcza jej banknoty. Kobieta wraca do męża,

zadowolona, dokończyć kąpiel. Mąż pyta, kto to był, ona mu mówi, że sąsiad. „Pewnie przyszedł oddać mi tysiąc złotych, pożyczyłem mu tydzień temu. Dziś miał przynieść”.

Śmialiśmy się do rozpuku. W takich chwilach zapominałam o całym żarłocznym świecie i upijałam się szczęściem. Ze znajomymi, z Pawłem u boku czułam się wspaniale.

Po pewnym czasie zaprosiliśmy do nas rodziców. Przyjechali. Matka chodziła w milczeniu, zwiedzała wszystkie zakamarki. Ojciec rozmawiał z Pawłem.

- Szkoda, że tuż za płotem nie masz sąsiadów – żałowała matka.
- Ależ tak właśnie chcieliśmy. Sąsiadów przecież mamy, nawet ich widzimy, pozdrawiamy się – odparłam pierwszą krytyczną uwagę.
- Tylko dwa domy i oba tak daleko – ciągnęła swoje. – Ja bym tu nie wytrzymała ani dnia.
- Każdy ma to, co lubi. Ty masz sąsiadów, gwar, pędzące auta, tak jak lubisz – odpowiedziałam.

Kilka dni po ich odwiedzinach zadzwoniła:

– Wiesz, ojciec też nie chciałby mieszkać w waszej okolicy. Nie podoba się nam. Ty to zawsze coś głupiego zrobisz.

Wszystkie nasze rozmowy były takie. Opowiadała mi o ludziach, których nie znałam, co było irytujące. Jej słowotok powodował, że nic nie mówiłam, potrafiłam się wyłączyć.

- Jesteś tam? – Czasem zauważała, że jej nie słucham.
- Jestem – odpowiadałam, a ona, uspokojona, ciągnęła swój wywód o bliższych i dalszych znajomych.
- Bogusz co studiuje? – Czasem też spytała o coś, co nas dotyczy.
- Informatykę.
- Bo wiesz, że syn naszych sąsiadów poszedł na medycynę?
- Lekarze też są światu potrzebni, mamo, nie tylko ogrodnicy i informatycy. – Moja irytacja przybierała na sile.
- Z tobą nie można o niczym porozmawiać. – Widocznie wyczuła moją złośliwość.

Nasze rozmowy przeważnie mnie rozdrażniają. Po nich jestem podenerwowana w specyficzny sposób, nic dziwnego, że Paweł zawsze wie, kiedy matka dzwoniła; nie muszę mu nic mówić.

– Masz to wypisane na twarzy – stwierdza.

Jest wiosna, czwarta po naszej przeprowadzce. Trzy lata mazurskiego życia minęły nam nie wiadomo kiedy. Mikołaj musiał zaliczyć dziewięciomiesięczną obowiązkową służbę wojskową. Bogusz nie, studentów nie nękanio wojskiem, chyba że sami chcieli. Mój ogród nabrał charakteru. Gdy oglądam pierwsze fotografie naszego siedliska i porównuję je z tym, co teraz, sama jestem pod wrażeniem. Wszystko niesamowicie wyrosło, zmieniło się, nabrało uroku.

W życiu synów też wiele się działo. Mikołaj wraz z kilkoma przyjaciółmi założył firmę projektującą i zarządzającą ogrody. Zaimponował mi tym bardzo. Był taki samodzielny. Bogusz rozpoczął studia na drugim kierunku. Dostał stypendium naukowe za dobre wyniki w nauce. Poznał dziewczynę. W wolnym czasie dorabiał, udzielając korepetycji z matematyki. W wakacje pracował. Mieszkał w akademiku i nie wyobrażał sobie innego miejsca zamieszkania podczas studiów.

Zadzwoił telefon. To Mikołaj. Powiedział, że przyjedzie. Sam.

Upiekłam rogaliki z nadzieniem różanym. Zrobiłam obiad, gdy dotrze na miejsce, zje coś ciepłego. Przygotowałam pokój, pościel pięknie pachnie wiosną, ogrodem.

Czekałam na syna i czytałam książkę o buddyzmie. Paweł otworzył bramę wjazdową. Mikołaj miał swoje pierwsze auto. Współfinansowaliśmy jego zakup.

– Jest! – zawołał z podwórka Paweł.

Już przed domem witaliśmy się, ściskaliśmy, całowaliśmy. Boże, jaki nasz syn był dorosły! Trzydniowy zarost dodawał mu męskości i uroku. „Czy to możliwe, żeby jeszcze urósł?” – patrzyłam na moją latorośl.

Siedzieliśmy do późna, był weekend, nikt rano nie musiał wstać. Mężczyźni pili piwo, ja likier wiśniowy. Rozmawialiśmy.

– Nie chcesz iść na studia – zapytałam syna – dogłębniej poznać ogrodnictwo?

– Nie – odpowiedział stanowczo. – Skończyłem kurs o storczykach. Błyskawiczny. – Uśmiecha się. – Namówiły mnie koleżanki. Planuję zrobienie kilku innych kursów, poważniejszych. Szybko, sprawnie. Stawiam na taki sposób podwyższania kwalifikacji.

– Dobry pomysł – stwierdziliśmy zgodnie z Pawłem.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu odbyliśmy obchód po ogrodzie. Tym razem potraktowałam syna jak kontrolera. Chciało mi się śmiać, kiedy Mikołaj tak sobie szedł, schylał się co chwila, odwracał jakiś liść, skupiał na nim wzrok. Nie było poważniejszych zastrzeżeń. Ucieszyło mnie to.

– Coś się stało? – spytałam. – Coś cię gnębi, widzę to.

– Rozstaliśmy się z Emilią.

– Oj – aż jęknęłam. Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć. Wiedziałam, że im się nie układało. A skoro nie byli idealną parą, to może i dobrze, że się rozstali? Coś w środku zabolalo na myśl o tym, że mój synek przechodził trudne dni. Rozstania zawsze są bolesne.

– Nie układało nam się od jakiegoś czasu. Wciąż się kłóciliśmy – powiedział ciężko.

– Młodość to czas poszukiwań, dla ciebie też. Jesteś fajnym chłopakiem. Mądrym, zaradnym i przystojnym. Gdzieś czeka na ciebie twoja partnerka na całe życie. W końcu się odnajdziecie. Może spotkasz ją w jakimś ogrodzie? – Uśmiechnęłam się, biorąc go pod rękę.

W niedzielę po obiedzie Mikołaj wrócił do siebie. W tamtym czasie wynajmował w Bydgoszczy kawalerkę. Zawsze dawałam mu coś dla brata, więc i tym razem wziął wałówkę. Toruń od Bydgoszczy oddalony jest tylko o czterdzieści parę kilometrów. Mają blisko do siebie, odwiedzają się. Tak samo postępuję, gdy wpada do nas Boguś. Jemu też daję podwójne obiady w słoikach.

Z kolei na majówkę przyjechał Bogusz z dziewczyną. Ola była miła, ładna i inteligentna, zakochanie emanowało od nich obojga. Studencka miłość.

Bogusz jak zwykle zrobił mi w komputerze porządki. Podobno odinstalował niepotrzebne programy, zainstalował jakieś nowości, coś wyczyścił albo przejrzał. O matko, jakie to dla mnie niezrozumiałe. Nigdy

nie pojmę informatycznej magii. Ogrodu można się nauczyć, komputera nie. Korzystam tylko z kilku opcji, reszta mnie nie interesuje. Patrząc na monitor mojego laptopa i na to, co Bogusz robił, nagle dotarło do mnie, jak mała jest moja wiedza na ten temat. Podziwiałam syna. Otwierał jakieś okna, coś się łądowało, coś kasowało, instalowało. Robił to tak płynnie jak ja zupę.

Spędziliśmy wspaniały weekend we czworo. Pogoda dopisała, więc przesiadywaliśmy na dworze.

– Ależ tu pięknie. – Ola wciągała całą piersią świeże majowe powietrze.
– Kochanie, przejedziemy się rowerami po okolicy?

– Dobry pomysł, chodźmy włożyć coś cieplejszego i możemy jechać. – Bogusz się ucieszył i cmoknął ją w policzek.

– Bogusiu, sprawdź, czy koła są napompowane – radził Paweł. – Mama często jeździ, więc jej rower jest okej. Mój ostatnio stał bezczynnie w garażu.

– Zaraz sprawdzimy – obiecał synek.

– Tylko wróćcie na obiad! – wołałam za młodymi, gdy wyjeżdżali.

– Ola jest miła, prawda? – spytałam Pawła, a właściwie stwierdziłam fakt.

– Bardzo – odpowiedział.

– Widzieliśmy ją zaledwie kilka razy, a mam wrażenie, że jest częścią naszej rodziny. Fajna z nich para. Bardzo się kochają.

Tak teraz wyglądało moje życie, sielsko i anielsko... Obierając ziemniaki na obiad, myślałam, że ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej lubię normalność. W starym domu byłam w tym samym stopniu szczęśliwa, co i nieszczęśliwa. Tu jestem tylko szczęśliwa. Jedyne rysy na szkle to moja przeszłość, która wciąż daje o sobie znać. Nie bardzo rozumiałam, dlaczego wciąż o niej pamiętam.

Wszystko, co mam, tworzyliśmy razem z Pawłem. Tak jak nam się zamarzyło. Żyjemy po swojemu, naszym rytmem, więc co ma do tego durna przeszłość? Było – minęło, tak jest zwykle. U mnie jest: było – nie minęło.

Jesienny weekend. W piątek pod wieczór przyjechał Mikołaj. Obiecał, że zostanie kilka dni. Kolejny powód do szczęścia.

– Ależ tu jest cicho – stwierdził Mikołaj. – U was zawsze najlepiej mi się śpi. Mieszkacie w bajce.

Kiedyś nazwałam nasze mazurskie siedlisko bajką, nie wiedziałam, że to zapamięta.

Następnego dnia rano zadzwoniła matka. Płakała.

– Przyjedźcie po mnie – poprosiła.

– Co się stało? – spytałam.

– Wyprowadzam się od niego. Mam dość. Wyzwiska, poniżanie... Już nie mogę. Spakowałam się po kryjomu.

– Uderzył cię?

Cisza.

– Kiedy przyjechać?

– Najlepiej natychmiast.

– Okej, przyjedziemy.

Pojechaliśmy po nią z Pawłem. Z drogi zadzwoniłam do Justyny. Rozmawialiśmy o matce, ojcu, o tym, co się stało.

– Ty się przejmujesz, a przecież oni bez siebie nie potrafią żyć – tłumaczyła mi siostra.

– Jednak chciała, żeby po nią przyjechać. Może ją bije? Jest coraz starsza, zaczyna chorować.

– Jak chcesz, mnie to już nie wzrusza.

Ojca nie było w domu, matka zostawiła mu list pożegnalny w widocznym miejscu. Wzięliśmy jej bagaże i przyjechaliśmy do nas. Wyglądała źle, miała podsiniałe oczy, zapuchnięte, na jej twarzy widać było zmęczenie.

– Przez całe życie wyzywał mnie, poniżał. Napisałam mu to. Niech spróbuje sam sobie radzić. Zostawiłam mu długi list, napisałam mu wszystko o życiu z nim, jakie było trudne. To niesprawiedliwe, że on zawsze miał wszystko przygotowane, uprane, ugotowane, niech wreszcie

zobaczy, jak to jest nie mieć żadnej pomocy. Już do niego nie wrócę. Pomieszkam trochę z wami, a potem wynajmę sobie mieszkanie u nas w mieście – planowała. – Najgorsze jest to, że kiedy wreszcie mogłoby być nam dwojgu dobrze, w końcu mamy emerytury, jesteśmy sprawni, dzieci odchowane, stać nas na drobne przyjemności, on wciąż jest taki sam. Przeklina, grozi mi... – skarżyła się.

Może tym razem coś się zmieni? Do wszystkiego trzeba dojrzeć, może matka dopiero teraz dojrzała do rozstania się z draniem? Jest po siedemdziesiątce, ale lepiej późno niż wcale.

Na drugi dzień zadzwonili ze szpitala. Ojciec wylądował na OIOM-ie.

– Ojciec jest w szpitalu, coś z sercem. – Matce, gdy to mówiła, drżał głos.

Po chwili zadzwoniła Justyna, już wiedziała o szpitalu, nawet była u ojca. Okazało się, że nie miał zawału. Dopadła go mieszanka stresu, hysterii i lekkich problemów krążeniowych, tak powiedział lekarz. Jednak to chyba nie zdołało uspokoić matki.

Ustaliliśmy, że najlepiej będzie się spotkać i naradzić rodzinnie. Jeszcze tego samego dnia zjechali do nas Justyna z mężem i Kuba z żoną, bo akurat byli w Polsce, u rodziców Anety. Cieszyłam się, że w trudnych chwilach umiemy się zjednoczyć i dogadać. Kuba też odwiedził ojca w szpitalu i rozmawiał z lekarzami. On i Justyna przedstawili matce całą wiedzę na temat zdrowia ojca.

– Nic poważnego mu nie jest. Ma dobrą opiekę, więc się nie przejmuj. Dostaje leki, jedzenie i ma dużo czasu na przemyślenia – tłumaczyła siostra.

– Gdy lekarz potwierdził, że to nie był zawał, wygarnąłem mu wszystko – wyznał Jakub. – Pijaństwo, bicie nas, znęcanie się, wyzywanie. Jak w dniu mojej Pierwszej Komunii wykręcał mi ręce do bólu, bo był pijany. „Zastanów się nad swoim postępowaniem, dorośnij!” – wykrzyczałem mu. A on chyba pierwszy raz w życiu nie miał mi nic do powiedzenia. Chyba coś do niego dotarło, bo nawet mi w oczy nie spojrzał.

– Ja też liczyłam na to, że nas przeprosi – dodała Justyna. – Teraz, gdy wreszcie do niego dotarło, że naprawdę możesz od niego odejść, mam, i że

my też mamy do niego wielki żal, mógłby obiecać, że chociaż się postara coś zmienić... Ale nie, jest twardy, jak był.

Rozmawialiśmy do późnej nocy. Pomimo całego zamieszania z ucieczką matki od ojca i jego incydentem sercowym cieszyły mnie odwiedziny rodzeństwa. Patrzyłam na Kubę i Justynę siedzących w naszym salonie, słuchałam ich, obserwowałam, jak piją kawę, herbatę. Na pozór byliśmy tacy zwyczajni. Moja prawie cała rodzina, bo przecież brakowało Bernadety, mój mały braciszek, obecnie mający z metr osiemdziesiąt wzrostu. Dlaczego tak mało nas w życiu każdego? Przecież moglibyśmy to zmienić, lepiej się poznać, mocniej trzymać razem. Nawet Benia, która oddaliła się najbardziej, mimo że mieszkała blisko matki.

– Mamo, teraz musisz być twarda. – Justyna wróciła do najważniejszego tematu. – Niech od niego wyjdzie jakaś propozycja. Ma czas na przemyślenia. Jak się nie odezwiesz, nie pojawisz w szpitalu, może coś do niego dotrze. Nie spieprz tego! Czekaj na rozwój wypadków.

Poparliśmy ją. Uważaliśmy, że matka powinna u nas zostać i czekać na rozwój sytuacji. Gdyby ojciec nie był egoistycznym sadystą, już dawno by do niej zadzwonił, przeprosił, błagał o wybaczenie, obiecał, że się zmieni. Jeśli matka by mu uwierzyła, powinna postawić ultimatum. I trzymać się ustalonych zasad.

Żadne z nas nie wierzyło w tak piękny finał, ale kto wie, może tym razem...? Myślę, jak bardzo moje rodzeństwo się zmieniło. Justyna jest chyba jeszcze bardziej stanowcza, jeszcze twardsza, pewniej stąpa po ziemi. Jakby dorastała w zupełnie innym domu. Wyczuwam w niej nutkę zarozumiałości. Patrzy na nas z góry. Czuję, że jesteśmy skrajnie inne, mamy inne priorytety. Nie nadajemy na tych samych falach.

Jakub też jest odległy, niedostępny. Chciałabym poznać jego marzenia. Ma w sobie coś niepokojącego, chociaż nadal lubi żartować. Oddaliliśmy się od siebie o lata świetlne. Smuci mnie to bardzo, chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że faceci wszystko przeżywają inaczej. Wiem, bo mam swoich trzech.

Nazajutrz matka zaszyła się w najodleglejszym miejscu ogrodu. Słyszałam, że rozmawiała przez komórkę, lecz nie pochwaliła się ani z kim,

ani o czym. Innym razem uciekła aż za ogrodzenie; poszła w kierunku lasu. Tymczasem Mikołaj chciał pojechać do Szczytna.

– Muszę sobie kupić zimową kurtkę, wybierz się ze mną, mamo – zaproponował. – Normalnie wracam z pracy i potem już mi się nie chce łązić po sklepach. W mniejszym mieście zakupy są mniej uciążliwe. Stawiasz auto w jednym miejscu, kilka sklepów i temat z głowy.

– Chętnie się z tobą wybiorę. – Ucieszyłam się na propozycję syna. – Może upoluję jakiś płaszcz dla siebie? Stary jest już tak stary, że nie pamiętam, ile ma lat.

– Po co ci nowy płaszcz? – spytała matka. – Przecież ty nigdzie nie wychodzisz. Nawet nie pracujesz.

Moja matka, wciąż niezmienna. Nie wiem, czy kupiłabym płaszcz, może tylko bym pooglądała, poprzymierzała...? Ale po jej słowach kupię go na bank. Choćby po to, żeby zrobić jej na złość.

Jak to jest, że ją ratuję, a ona wciąż wbija mi szpile? Rani, bezlitośnie burzy spokój. Sprawia, że zapala mi się lampka: „Uwaga, intruz! Pokaż, kto tu rządzi”. Przecież to do mnie całkiem niepodobne...

Szybko wkładam kurtkę i poganiam Mikołaja. Narasta moje zdenerwowanie. Zaczynam rozmyślać, litować się nad sobą, przeżywać żal do matki. Znów pokazała, że ma mnie za nic. Jechaliśmy, a ja zwracałam uwagę Mikołaja na pięknie wybarwiony las za oknem, żeby się nie rozpłakać.

– Mazurska jesień – mówiłam i się uśmiechałam – złota.

Wypad do Szczytna był udany. Mikołaj kupił sobie piękną, ciepłą kurtkę. Przymierzał wiele, w końcu wybraliśmy czarną. Fantastycznie w niej wygląda. Mój mężczyzna. Ja kupiłam sobie płaszcz. Nie patrzyłam na praktyczność, tylko żeby był ekstrawagancki. Wybrałam jasny, nietani. Zaszalałam. Jak to się mówi: „na złość matce odmroziłam sobie uszy”. Poświęciłam pieniądze, nie żałuję. Reakcja matki była do przewidzenia.

– Ojej, taki?! – wyrzuciła z siebie, zanim jeszcze wyjęłam go z folii.

– A co, nie podoba ci się?

– Nic, nic – tylko tyle powiedziała.

To było coś nowego. Moja złośliwa zwykle matka ugryzła się w język, opanowała złośliwość. Może sobie uzmysłowiła, że wywoła kłótnię, a przecież korzysta z naszej pomocy i w pewnym sensie jest na naszej łasce. Czego jak czego, ale sprytu nigdy jej nie brakowało.

Przez kolejne dni równie sprytnie ukrywała przed nami swoje rozmowy przez telefon. Uciekała w odległe krańce ogrodu i prowadziła długie narady. Wreszcie wyszło szydło z worka, gdy poinformowała nas, że ojca wypisują ze szpitala i że ona musi wracać.

– Zawieźcie mnie do domu – poprosiła.

– Okej, jak chcesz.

Gdy weszliśmy do domu rodziców, ojciec już tam był. Przywitał nas, jakby nigdy nic. Trochę opowiadał o pielęgniarzach, jak z nimi żartował, jakim był pacjentem, co one mówiły, co on im na to, jak je rozbawiał. Jakby wrócił nie ze szpitala, a z sanatorium, w którym wylądował w celu poznania partnerki. Nie wytrzymałam.

– Słuchaj, nie gadaj głupot. Twoje flirty nas nie interesują, szkoda naszego czasu. Nie po to jechaliśmy ponad dwieście kilometrów. Lepiej powiedz, co zamierzasz? Powinieneś wreszcie się zmienić! I nie chodzi tu tylko o zdrowy styl życia. Jesteś starym człowiekiem, nie zauważyłeś? Matce należą się przeprosiny! Do śmierci będziesz ją poniżał, lżył, bił? Człowieku, zastanów się nad sobą! – krzyczałam, byłam potwornie zdenerwowana jego fircykowością. – Nas biłeś, wyzywałeś, teraz jej kolej! Mało ci, draniu?! – Przerwałam, bo czułam, że do oczu napływają mi łzy.

Cisza. Mój ojciec nie był głupi. Kipiała w nim nienawiść, ale nie wypadało mu użyć siły, bo nie te lata, a i towarzystwo zbyt liczne. Zwiesił więc tylko ciężko głowę i wbił wzrok w podłogę.

Mówiłam ja, mówiła Justyna, matka też, chociaż mało, tymczasem on nie wydobył z siebie ani słowa. Rasowy cham, niezmienny, zimny, straszny. Dla mnie chyba wtedy stał się nikim. Jak ja się do niego zwróciłam przed chwilą? Człowieku? To nie człowiek, to coś niezdefiniowanego.

W dodatku matka ewidentnie się cieszyła, że wróciła – do niego, do swojego domu. Odjechaliśmy. Nic tu po nas.

Przez kilka dni porządkowałam swój umysł po ostatnich wydarzeniach. Nie piłam kawy, tylko melisę i zieloną herbatę. Któregoś dnia zadzwoniła Justyna. Od razu przeszła do rzeczy.

– Musisz skończyć z tym ciągłym bronieniem matki – wyrzuciła z siebie. – Wiem, że chcesz jej pomóc. Ale po co? To nic nie da. Najlepiej się nie mieszać. Niech się pozabijają.

– To ona prosiła o pomoc. Chciała, żeby po nią przyjechać. Płakała. Miałam ją olać?

– Mnie to już nie wzrusza.

Rozpłakałam się w słuchawkę. Justyna miała rację.

– Przecież wiesz, że ja nie jestem taka jak ty – próbowałam jej tłumaczyć. – Inaczej wszystko przeżywam. Masz rację, że nic się nie zmieni między ojcem a matką. Mimo to żadna ich awantura i łzy matki nie są mi obojętne, bo porównuję jej sytuację z tym, czego sama doznałam od niego. On naprawdę mógłby ją skrzywdzić. Ja byłam z nimi najdłużej, mam najwięcej złych wspomnień, najwięcej widziałam...

– Przecież matka też cię biła. Pamiętam, jak ciągnęła cię za długie włosy, waliła w twarz, wyzywała. Nie ma co się nad nimi rozczulać. Niech sobie sami radzą.

To wszystko szczerą prawdą. Więc kogo mi żal? Matki, która potrafiła rzucić we mnie krzesłem? Która zamiast dać mi wiarę w to, że mogę żyć inaczej niż ona, że wszystko ode mnie zależy, wpoila mi przekonanie o moim braku wartości? Dzięki której boję się świata i obcych ludzi? Która nawet dziś, kiedy mamy takie piękne miejsce na ziemi i jestem z tego dumna i szczęśliwa, wciąż mnie krytykuje, zaburza moje szczęście?

Często czuję, że jestem zlepkiem dwóch osób. Jedna to ta, którą lubię, kobieta, którą wszyscy znają. Wesoła, towarzyska, nawet z nutką lekkomyślności. Nieco postrzelona, która czasem najpierw robi, potem myśli. Ma mnóstwo pomysłów, marzeń. Gotowa postawić wszystko na jedną kartę, zmienić o sto osiemdziesiąt stopni, iść w nieznaną, ryzykować. Trochę szalona, lubiąca imponować. Która ma wielu przyjaciół, potrafi być duszą towarzystwa. Myślę, że to moja prawdziwa natura. To Gabi, z którą trzymam, tę faworyzuję.

Jednak ta Gabi ma rywalkę. Ta druga to Gabriela, skrajnie inna. Melancholijna, chorobliwie nieśmiała. Boi się nieznanego, wszystkiego się boi. Nie wierzy w siebie i swoje możliwości. Do świata jest nastawiona pesymistycznie. Ponieważ brakuje jej wiary w siebie, ma trudności z podejmowaniem decyzji. Dlatego szuka potwierdzenia. Gabriela wciąż toczy wojnę z Gabi. Ucisza ją, podcina jej skrzydła. I przeważnie wygrywa. Ma dar przekonywania Gabi i zły wpływ na nią.

Gabrielę znają tylko najbliżsi.

Paweł zna je obie znakomicie. Wie o ich odwiecznej walce. Zawsze wspiera Gabi, kiedy Gabriela zasieje w niej wątpliwość i niepokój. One tak bardzo się nie lubią...

Po przeprowadzce na Mazury starałam się sobie wmówić, że zaczynam nowe życie, z czystą kartą. Byłam naiwna. Nie da się uciec od przeszłości. Ona jest częścią mnie. Przecież nie myślę ciągle o tym, co przeżywałam w dzieciństwie, jakie sceny widziałam. Lecz moje sny nie pozwalają mi o tym zapomnieć. Czy już do końca moich dni będą mi przypominały o wszystkim, co przeżyłam...?

Wtedy, gdy miałam problem z podjęciem pracy u Teresy, i całą sobą czułam strach przed konfrontacją z ludźmi, rozmyślałam o moim typie osobowości, starałam się go rozłożyć na czynniki pierwsze. Jestem mało odporna na krytykę, chociaż wiem, że jest potrzebna. Krytyka powoduje zatrzymanie się na chwilę. Daje do myślenia, może być bodźcem do pozytywnych zmian. Ja odbieram ją inaczej, rani mnie.

To wszystko przez niespełnione nadzieje, przez brak słów: „Cieszę się razem z tobą, córeczko”. No dobra, córeczkę mogłabym sobie darować, bo słownictwo matki zawsze było ubogie w ciepłe słowa. Chciałbym choć raz usłyszeć, że mnie podziwia, że spodobał jej się mój pomysł. Czy naprawdę nie może jej to przejść przez gardło? A może ona po prostu nie posiada umiejętności cieszenia się z czegokolwiek? Skoro tak, to po cholere czekam na jakiś ciepły gest, na niemożliwe?

Sama siebie nie rozumiem. Mimo to czekam i mam nadzieję. Dlaczego tak się dzieje? Co mi da pochwała? Czy to coś zmieni? Czy ja się zmienię? Dziesiątki pytań bez odpowiedzi. Jedno wiem, że pochwała od matki jest dla mnie ważna, jest mi potrzebna. Inni pochwały zbierają codziennie, ja

chciałam usłyszeć dobre słowo choć raz na rok, w ogóle choć raz. To czekanie na akceptację zakorzeniło się we mnie tak samo, jak moje irracjonalne lęki. Mam to, co w sobie pielęgnuję. Kompletna idiotka jestem.

Gdy idę załatwić ważną sprawę, jestem nastawiona pozytywnie. Znam swoje prawa, wiem, jak się do wszystkiego zabrać. Mam plan i jestem przekonana, że mi się uda, że dam radę. Cieszę się i czekam na finał. Rozmyślam, jak to będzie, marzę, roznosi mnie energia. Do tego momentu sprawy w ręce trzyma Gabi. Szkoda, że tuż przed konfrontacją z rzeczywistością sprawy przejmuje Gabriela. Nieufna, pesymistka, nerwowa, bez wiary w powodzenie. Dlaczego ona zawsze wygrywa? Poza domem Gabriela decyduje o wszystkim.

Jest we mnie wspaniała osobowość. Chcę być Gabi przez cały czas, ona dużo może, ma potężną wiarę w swoje możliwości. A skoro tak, to dlaczego melancholijna pesymistka nie da jej zaistnieć? Dlaczego wciąż toczą walkę? Czy gdyby matka kiedykolwiek mnie pochwaliła, Gabriela by zniknęła?

Matka, znowu ona! Nic już od niej nie zależy, a wciąż płacze się w moich rozmyślaniach.

Jednego tylko nie można jej zarzucić. Nakarmi każdego. Czym chata bogata. Gdybym próbowała stworzyć listę jej zalet i wad, to jedno zapisałabym jej na plus. Ilekroć przyjeździemy do rodziców, znosi półmiski z wędlinami, pomidorami i ogórkami. Zupę, bigos, pieczonego kurczaka, choćby kielbaski na gorąco. Ciasto i budyń, wszystko, co ma. Paweł jest wtedy w siódmym niebie, gorzej ze mną, bo ja byłam niejadkiem i tak mi zostało.

– Jedz. Jesteś chuda, za mało jesz! – Zaczyna się krytyka. Ten temat też przerabiałam z nią setki razy.

– Dziękuję, nic już w siebie nie wepchnę.

– Przecież prawie nic nie zjadłaś. – Matka nie daje za wygraną.

– Gabi to niejadek – próbuje mnie bronić Paweł.

– Szynka jest świeżutka, zjedz samą, bez chleba.

– Mamo, powiedziałam dziękuję.

– Ja nie wiem, jak wy żyjecie i co jecie...

Ostatnie jej zdanie daje mi do zrozumienia, co o nas myśli – że pewnie głodujemy, a ja mam zasuszony żołądek, o czym nieraz mnie zapewniała. Wtedy Paweł stwierdza, że musimy już jechać. Zbieramy się w nie najlepszej atmosferze.

Często dzwoni do mnie tylko po to, żeby opowiedzieć, co w tej chwili gotuje. Najczęściej są to zawiesiste zupy, smażone mięso z sosem i ziemniakami. Kurczak koniecznie na słonince. Bigosy, galarety mięsne. Co dzień ziemniaki i mięsa.

– Nie uważasz, że gotujesz zbyt ciężkie potrawy? – pytam nieraz, bo ma ogromną nadwagę i problemy zdrowotne z tym związane.

– Coś trzeba jeść.

Jasne, jeść trzeba, jednak jedzenie jedzeniu nierówne.

Gdy pyta, czy mamy ziemniaki kupione na zimę, i dowiaduje się, że nie, jest wręcz zbulwersowana.

– My z Pawłem wolimy kasze i ryż. Nie kupuję warzyw na zapas. Jak mamy chęć, to biorę kilogram, dwa. Lubimy owoce, soki, sałatki.

– Jak można nie jeść ziemniaków? To co wy jecie?

– Mówiłam ci, czasem jemy i ziemniaki. Są potrzebne choćby do kopytek i pyz. A wiesz, wczoraj upiekłam pyszną rybę. Gdy przyjeżdżają chłopcy, to muszą być naleśniki i zapiekanka z makaronu i cukinii. Próbowalaś gotować krem z warzyw? – dopytuję.

– A idź ty. Krem z warzyw, fuj! Naleśniki to można sobie zjeść jako deser, nie na obiad. Nie ma obiadu bez ziemniaków. Ojciec też tak uważa.

– I bez mięcha... – kończę złośliwie.

– Zmarnujesz sobie żołądek i swojemu mężowi też. Jak tak można żyć?

– Mamo, ja nie krytykuję twojej kuchni, ty zostaw więc moją.

I koniec naszej rozmowy.

„Zima jest piękna, ale surowa” – z tym powiedzeniem absolutnie się zgadzam. Gdy śnieg pokrywa gałęzie świerków i zasypuje drogi, jest cudownie, ale odśnieżanie to bardzo ciężka praca. Zwierzakom też nie jest lekko, szczególnie gdy mróz trzyma do maja. Pewnie dlatego nie

przepadam za tą porą roku. Podziwiam pierwszy śnieg, uwielbiam biały, bajkowy pejzaż. Przypominam sobie *Królową Śniegu* Andersena. Ech, gdyby tak jeszcze ujrzeć sanie z parą koni i usłyszeć dzwoneczki.

Już w listopadzie dopada mnie chandra. Szarówka, wiatr, błoto, ciemność nie sprzyjają niczemu. Dobrze, że choć w chwilach zaczytania zapominam o tej paskudnej porze roku.

Cieszę się też na myśl, że najbliższe święta spędzimy we czworo. Planuję, co upiekę i ugotuję. Chłopcy przyjadą przed Wigilią, na sylwestra wrócą do siebie – tak sobie zaplanowali. Jestem zaabsorbowana generalnymi porządkami, poszukiwaniem prezentów, szperaniem w przepisach kulinarnych. To okres, kiedy nie ma czasu na obniżanie nastroju i tym podobne historie.

W święta na przemian leniuchujemy i spacerujemy. Zbieramy naczynia ze stołu tylko po to, żeby rozstawić je na nowo. Chowamy jedzenie w lodówce, żeby za moment znów je wyjąć. Tylko wielki talerz w ludowe wzorki wciąż dyżuruje na ławie w salonie i kusi orzechami, pierniczkami i innymi ciastkami. Choinka jest naturalna, jak zawsze od wielu, wielu lat. Pod nią prezenty, które po obejrzeniu i nacieszeniu się ponownie tam trafiły. Chłopcy kupili nam kino domowe, złożyli się na nie. Podłączyli je razem z Pawłem. Zawsze nas unowocześniają, kupując coś, czego nie mamy i czego sami na pewno byśmy nie kupili. Dni świąteczne minęły szybciej niż czekanie na nie. Odjechali razem, zaopatrzeni w jedzenie na jakiś miesiąc.

Myślę o siostrach i bracie. Jak spędzają święta, czy są szczęśliwi, czy też wspominają naszą rodzinę. I myślę o wielkim chłódzie, który jest między nami. Był czas zbliżeń i odwiedzin. Był czas nadziei, lecz ostatecznie nic się nie zmieniło. Może powinnam wziąć sprawy w swoje ręce? A co, jak odrzucą moje starania? Tak naprawdę jesteśmy sobie obcy. Po czasie ocieplenia wraca era lodowcowa, jak w naturze.

Dzwonimy do siebie, wysyłamy życzenia, SMS-y; po nich ponownie nastaje cisza, nawet na kilka lat. Znam wiele rodzin skłóconych przez spadki, przez straszne przykrości, które sobie nawzajem zrobiono. Nasz chłód jest uwarunkowany genetycznie. Matka nieumiejąca okazywać uczuć przekazała nam tę oziębłość. Resztę widzieliśmy na własne oczy i ta reszta

dołączyła do genów. Zastanawiam się, komu z rodzeństwa ciąży ta genetyka. Może nikomu, może tylko mnie? Jestem inna – bardziej uczuciowa albo zbyt sentymentalna, sama nie wiem... Czy oni w ogóle chcieliby zbliżenia? Nie można wciąż winić za wszystko przeszłości. Trzeba coś zrobić. I chcę, i boję się odrzucenia.

Zaproponowałam całej trójce spotkanie na neutralnym gruncie, czyli w lokalu. Zjedziemy się do rodzinnego miasta, we czworo, bez naszych drugich połówek. Siostry mają blisko, Kuba też był akurat w Polsce. Ja mam najdalej, ale nie będę się tym przejmować. Za oknem samochodu ni to zima, ni wiosna.

Nasza czwórka. Zachowujemy się dość swobodnie, chyba Benia mówi najmniej. Właściwie odzywa się tylko wtedy, gdy jest o coś pytana. Czuję się tak, jakbyśmy spotykali się co tydzień. Jest normalnie, wesoło. Dowiaduję się, że matka planuje sprzedać dom, bo chce do miasta, do bloku. Nie dziwi mnie to, od lat o tym marzyła, nawet wtedy, gdy mnie i Pawłowi jeszcze się nie śniła przeprowadzka na Mazury. Do centrum mają daleko, chcą mieć pod nosem kościół, lekarza i sklep. I żeby nie trzeba było palić w piecu, kupować węgla, wynosić popiołu i robić remontów.

Dowiaduję się również, że rodzeństwo ma do mnie żal o sprzedaż części działki z moim byłym domem. Największy żal ma Kuba. Zdziwiło mnie to niezmiernie. Skąd taki nagły sentyment do ojcowizny? Aż dziw, że rodzice jej wcześniej nie roztrwonili, że ojciec pijak i hulaka nie przegrał jej w karty. Jedynie Benia nic na ten temat nie powiedziała. Może też ma żal, nie wiem. Tłumaczę, że każde z nich mogło tam zamieszkać. W końcu nie ja wyszłam za mąż jako pierwsza, lecz trzecia. I że zamieszkanie obok rodziców nie było sielanką, tak naprawdę kontynuowałam to, od czego przecież chcieliśmy jak najszybciej uciec i zapomnieć.

– Kuba, lubisz, jak ktoś krytykuje twoją żonę? – zapytałam brata.

– Pewnie, że nie.

– Nigdy nie spotkałeś się z krytyką Anety? Choćby od jej mamy? Przecież mieszkaliście u teściów przez wiele lat, zanim wyjechaliście za granicę.

– Chyba żartujesz. Jest jedynaczką, oczkiem w głowie. Aneta żyje ze swoją matką jak najlepsza kumpelka. Gdy mieszkaliśmy z jej rodzicami,

nawet ciuchy sobie pożyczają. Teraz nie ma dnia, żeby nie dzwoniły do siebie. A mój teść ma kota na punkcie córeczki. Nie wiem, co mógłby zrobić temu, kto by ją skrzywdził.

– Aha. A gdyby widział, że Aneta wciąż przez kogoś płacze i jest nieszczęśliwa, wkroczyłby do akcji?

– O Jezu, przyjechałby po nią z końca świata, a temu, kto jej dokuczał, nigdy by nie odpuścił.

– Powiedz mi coś jeszcze. Co byś zrobił, gdyby nasza matka zbiła waszą Ewunię, wiesz, tak aż do pręg na pleckach?

– Oj, siostra, co ty wymyślasz?! Babka miałaby bić swoją wnuczkę? Żyjesz książkami, pewnie naczytałaś się za dużo.

– Hej, zostaw moje książki, lepiej powiedz, co byś jej zrobił, Kubusiu? – nalegałam.

– Nie wiem, jestem porywczy, pewnie miły bym nie był. Aneta więcej nie przekroczyłaby progu jej domu. A rodzice Anety... nawet nie chcę o tym myśleć. Oni by ją za to wsadzili do kryminału. Ale o co ci chodzi?

– O nic. Kochaj swoją matkę. Masz tylko jedną.

Zakończyłam ten temat. Nie męczyłam więcej swojego brata niezrozumiałymi dla niego pytaniami. Żegnaliśmy się ciepło i, jak to zwykle bywa, jeszcze długo rozmawialiśmy na zewnątrz. Zbliżyłam się do Justyny, uściskałyśmy się.

– Tak mało jest miłości między naszą czwórką – szepnęłam.

– Ty ciągle o tej miłości. Paweł cię nie kocha, czy co?

– Kocha, ale miłości są różne.

Wracałam do domu zadowolona i smutna. Z mieszanką uczuć, jak zawsze. I z postanowieniem, że musimy się częściej spotykać.

Od tego spotkania kilka razy się zastanawiałam, czy małżeństwo Kuby przetrwałoby obok matki, w jej ogrodzie. Kocham go najbardziej z rodzeństwa. W końcu fajnie jest mieć brata. Wychowywałam go, a potem on woził w wózek nasze bliźniaki. Lubi żartować, zawsze lubił, a to rozładowuje napięcia. No i woli słuchać, niż mówić.

Justyna jest gdzieś daleko, w innym świecie, niezrozumiałym dla mnie. Nie mam jej tego za złe, bo każdy ma prawo do swojego świata, a spotykać się można w obu, niczemu to nie przeszkadza. Jednak irytuje mnie jej patrzenie na wszystkich z góry. Trochę mnie to przytłacza. A może to pozory? Może w środku czuje inaczej? Może i ja dla innych jestem niedostępna lub przemądrzała?

Benia – z nią trzeba łągodnie, w cztery oczy, bo nie lubi żadnych spędów. Ma swój świat i nie wpuszcza do niego nikogo oprócz Jaśka. Odsunięta w dzieciństwie, nigdy nie pozwoliła sobie na zbliżenie się do nas.

Nasze spotkanie było miłe, choć wiele między nami niedopowiedzeń i powierzchowności. Czy oczekiwałam więcej? Mam rodzeństwo i nie osądzam ich, chcę mieć wszystkich takimi, jacy są. I chciałabym, żeby oni kochali mnie taką, jaka jestem. Muszę się cieszyć tym, co mi dają, nie grymasić. Głębsze relacje mam z przyjaciółkami, najgłębsze – z Pawłem. Gdzie i od kogo słyszałam, że życie w rodzinie to podstawowa potrzeba człowieka i że ta rodzina wcale nie musi być idealna? Ktokolwiek jest autorem tej myśli, wypowiedział wielką mądrość. Rodzina to nasze fundamenty, to coś najważniejszego. Dziwne, gdy myślę o rodzinie, nigdy nie przychodzą mi do głowy moi rodzice.

Zima w końcu minęła, choć opornie odchodziła. Wreszcie jest tak, jak uwielbiam, ciepło i widno. I pełno soczystej zieleni.

Wieczorem zadzwonił Mikołaj.

– Cześć, mama. – Zawsze mówi „mama”, nie „mamo”. – Mam ci coś do powiedzenia, ale to długi temat, więc wysłałem ci maila. Poczytaj, dobrze?

– Okej, poczytam. Hej, aż się boję.

– Nie, nic się nie stało, jestem po prostu szczęśliwy, i tyle.

– To wspaniale. Cieszę się razem z tobą, kochanie.

Loguję się do poczty. Czytam list od syna.

Cześć, mama.

Poznałem Monikę. Jest wspaniała. Ma małą córeczkę. Wiele myślałem o niej, o nas, o tym, co ja czuję. Nie wiem, co powiesz, ale ja już zdecydowałem. Chcę właśnie z nimi stworzyć swoją rodzinę. Wiem, że możesz mieć obawy i wiele pytań, ale wiem też, że nie masz mi za złe mojego wyboru. Znam Cię i wiem, że wchodzisz we wszystko, co ja i Bogusz Ci splotamy, co nie? 😊 Nelka jest śliczna. Uwielbia mnie, a ja ją. Wpadniemy w weekend, zobaczysz, że piszę prawdę.

Przerwałam czytanie, zamyśliłam się. Trochę przeraziłam. Zdaje się, że najważniejsze było na początku listu. Mój syn ma gotową córeczkę, a my gotową, odchowaną wnuczkę.

Cześć, synku.

Nie mówi się ani nie pisze na końcu zdania „co nie” 😊. Normalne matki są szczęśliwe, jeśli ich dzieci są szczęśliwe. Ja jestem normalną mamą. Uściski i buziaki – dziś już nie tylko dla Ciebie 😊. Czekamy z tatą na Waszą trójkę. Pa.

Jakie ja mam cudne, spokojne życie! Wiele razy dochodzę do takiego wniosku. Wszystko, co się dzieje w naszej mazurskiej codzienności i miejskim życiu synów, daje mi wielką radość.

Kocham starocie, szczególnie antyczne meble. Szkoda, że cały dom mam już umeblowany i nie mogę nic dokupywać z braku wolnego miejsca. Starsza pani, od której nabyliśmy dom, zostawiła nam w spadku piękną szafę razem z kornikami. Wraz z Pawłem w każdą kornikową dziurkę wstrzykiwaliśmy specjalny preparat, potem specjalną masą wypełnialiśmy dziurki, później było szlifowanie i lakierowanie. Sami ją odnowiliśmy. Wszyscy nasi znajomi podziwiają ten mebel, a chyba najbardziej fikuśny klucz. Dzisiaj już takich nie robią.

Na werandzie stoją wagi i wiszą podkowy. Kwiaty muszą być w ceramicznych donicach, nie tandetnych plastikach. W pokojach mam wiele bibelotów z innej epoki. Z całej rodziny tylko ja mam słabość do staroci, pozostali idą z duchem czasu. Uwielbiam przedmioty, które mają duszę, historię. Wyszukuję je przez internet, ostatnio upolowałam cynową paterę, w której ułożyłam ususzone latem zioła i kwiaty.

Muzykę też lubię starą. Kiedy jestem zdenerwowana, lokuję się na kanapie i włączam *Arię na strunie* G Bacha. Dźwięk skrzypiec koi, wycisza. Słuchałam tej melodii tysiące razy i wciąż mnie ciekawi, wciąż ma dla mnie magiczną moc.

Mikołaj mówił prawdę, znalazł cudne dziewczyny. Nelka była śliczna, zabawna i mądra. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyliśmy, miała prawie cztery latka. Mikołaj obiecał jej, że odwiedzą nowych dziadków, a potem pojedą do stajni.

Pod Szczytnem było wiele miejsc z końmi, wyprawa do stajni dla wszystkich była przyjemnością. Mała była przeszcześliwa, a gdy zobaczyła wielkie zwierzęta, aż klaskała w ręce i podskakiwała, żeby natychmiast posadzić ją w siodle. Okazało się, że właścicielka stajni, Grażyna, ma niesamowite podejście do dzieci. Najpierw wyjaśniła Nelce wszystko, nazwała każdą część uprzęży, wytłumaczyła, jak się do konia podchodzi, jak się go czyści i jak na niego wsiada. Dopiero po części teoretycznej pozwoliła jej się przejechać w asyście Mikołaja. Ja z Moniką pstrykałyśmy fotki. Nelka wyglądała ślicznie w specjalnym toczku na głowie. Nasza mała amazonka.

Od tej pory coraz częściej jeździliśmy do stajni. Było to tym przyjemniejsze, że zaprzyjaźniłam się z właścicielką. Gawędziłyśmy sobie, a Mikołaj i Monika fotografowali Nelkę i konie na pastwisku albo szli na spacer po okolicy. Dla mnie było to o tyle dziwne, że zwykle obcych trzymam na dystans, niechętnie się zaprzyjaźniam i długo to trwa. Jednak jeśli już się do kogoś przekonam, to jestem wierna takiej przyjaźni na śmierć i życie.

Grażka była bardzo otwarta. Od samego początku, od pierwszego naszego pobytu w jej stajni nie czułam znanych mi hamulców przed obcymi. Intuicja mnie nie zawiodła, wkrótce zostałyśmy najserdeczniejszymi przyjaciółkami. Gdy pierwszy raz ona i jej mąż nas odwiedzili, okazało się, że mieszkają na Mazurach niemal tyle samo czasu co ja z Pawłem. Byliśmy w podobnym wieku, mieliśmy podobne doświadczenia i niezbyt wielkie grono miejscowych znajomych. Nic dziwnego, że nasza znajomość rozwijała się błyskawicznie.

Uwielbiałam towarzystwo mojej nowej przyjaciółki. Najwspanialszej. Często odwiedzałyśmy się same albo z mężami, spotykałyśmy się na mieście, pisałyśmy do siebie maile. Zawsze jedna mogła liczyć na drugą. Wymieniałyśmy się książkami, przepisami na ciasta, zupy, sałatki. Grażkę otaczała pozytywna aura, która mi się udzielała. Zawsze lubiłam przebywać w towarzystwie wesołych osób, ładowałam swoje baterie ich energią. Teresa też taka była – jak energetyczny, choć bardzo zapracowany wulkan, z jej pogody ducha i ja czerpałam.

„Koniarka” – jak nazywał Grażynę Paweł, żyła inaczej. Ceniła swój czas, dawała sobie dużo przestrzeni na realizację własnych pragnień. Żyła jakby na przekór cywilizacji. W lesie, bez sąsiadów, tylko w towarzystwie zwierząt. To był jej wybór. Szukała takiego miejsca i znalazła.

– Mam wrażenie, że bawię się życiem – powiedziała mi kiedyś. – Zaczynam coś i trwam w tym, dopóki się nie znudzę. Ostatnio chciałam posmakować życia w stajni, koniarskiej przygody. Ale już mam smak na coś innego. Muszę jedynie dopracować koncepcję i wtedy znowu wszystko zmienię. Gabi, życie to nie miejsce, nie praca, nie jakiś status. Życie jest w nas. Ja muszę je czuć całą sobą. Życie dla mnie to wewnętrzne szczęście, to wolność i absolutna dobrowolność. Życie to kochane osoby. Dobrze, że mój mąż stąpa mocno po ziemi, przynajmniej mam z nią łączność.

– Pozbędziesz się koni? – dopytywałam trochę egoistycznie, bo dzięki nim miałam częściej u siebie Mikołaja i Nelkę, która całym serduszkiem pokochała Pasję, najmłodszą klaczkę w stajni.

– Nie tak szybko. Jeszcze kilka lat pobawię się w stajennego. Stajenną – poprawiła się.

– W sumie cię rozumiem. My też szukaliśmy wyjątkowego miejsca, jedyne w swoim rodzaju. Paweł chciał nawet zamieszkać w puszczy albo na bezludnej wyspie.

Nasze rozmowy mogły trwać bez końca. Lubiliśmy swoje towarzystwo.

– Czuję potrzebę pobycia z człowiekiem. – Dzwoniła czasem do mnie, gdy doskwierała jej samotność. – Masz czas?

I się spotykałyśmy.

– Jestem samotniczką, co wcale nie znaczy, że jestem samotna. Czasem czuję, że coś się we mnie zmienia, że chciałabym się stać częścią anonimowego tłumu. Zrobię tak, może już niedługo. Muszę posmakować, sprawdzić, czy będzie mi dobrze.

– A jeśli się nie odnajdziesz w tłumie? To duży krok, z głuszy w tłum, w hałas... – dzieliłam się z nią moimi wątpliwościami.

– Muszę tego doświadczyć, gdybanie nic nie da. Jak nie wypali, poszukam półśrodka, nie takiej dziczy jak ta, wystarczy mi coś pomiędzy – rozmarzyła się moja koniarka.

– Mieszkacie w takim pięknym miejscu, nie będzie wam żal?

– Mój mąż mówi, że żal to tylko umrzeć. I wiesz, ja też tak uważam – odpowiedziała. – Lasów w kraju dużo, jak mi się zachce, zawsze mogę wrócić.

Na Mazurach mieliśmy przyjaciół, także z sąsiadami utrzymywaliśmy dobre stosunki. Z jednymi mamy bliższe relacje, z drugimi poprawne. Rodzina po prawej trzyma się na dystans. Jesteśmy dla siebie mili i to wszystko. Za to starsi państwo mieszkający po lewej są niezwykle serdeczni i gościnni, zawsze wołają nas na swoje wino.

– Zapraszamy, pani Gabrysiu, na wino z wiśni. Już się robi świeże, więc trzeba pić to z łośńskiego roku – żartował starszy pan. – Z łośńskiego i z poprzedniego, i z jeszcze poprzedniego... – Puszczął do mnie oko. – Kiedy tylko macie ochotę.

Często do nich zachodziłam. Starszy pan był urodzonym gawędziarzem. Znał okoliczne wsie i miasteczka jak własną kieszeń, jeszcze więcej wiedział o Kaszubach. Hodował kury, pielęgnował drzewa owocowe, uprawiał poletko z ziemniakami, warzywami. No i uwielbiał słodczyce. Jego żona mimo starszego wieku była piękną kobietą. Miała długie, gęste i falujące włosy, posiwiałe, co dodawało jej uroku. Mówiła ze wschodnim akcentem. W salonie u nich stało wielkie, czarne pianino.

– Kiedyś grałam, dopóki palców nie zaatakował reumatyzm – tłumaczyła mi, widząc moje zainteresowanie tym pięknym instrumentem.

Mieli wiele niezwykłych, starych mebli, takich z historią. Okazały stojący zegar, wybijający godziny i półgodziny, ręcznie podkręcany, istne

cudo. Wspaniałe, dębowe krzesła, ustawione przy owalnym stole na dwanaście osób. Kawę, którą gospodyni zmieliła tuż przed zaparzeniem, dostajemy w delikatnych filiżankach, cukier w filigranowej cukiernicze. W takich momentach żałuję, że nie lubię słodkiej kawy.

Ilekcroć się witamy, starszy pan całuje mnie w rękę. Trochę mi niezręcznie, lecz bardzo przyjemnie. Mają dwie córki i dwóch synów. Żadne z ich dzieci nie mieszka blisko, jednak często wpadają, a jeszcze częściej dzwonią.

Pewnego jesiennego przedpołudnia, grabiąc liście w ogrodzie, słyszę wołanie. Prostuję się, opieram o grabie, spoglądam w kierunku moich ulubionych sąsiadów, skąd dochodzi głos.

– Pani Gabrysiu – pani Danusia machała w moim kierunku – wpadnie pani do mnie, robota nie zajac!

Wpadłam.

– Upiekłam drożdżak. Już ostygł, zaraz nakroję. I dla pana Pawła dam.

Jemy pyszne domowe ciasto z grubą kruszonką. Ciasto bajkę.

– Idę do piwniczki, tylko nie zjedzcie wszystkiego. – Pan Tadeusz pogroził nam palcem, po czym nieco z trudem wstał od stołu. Ruszał się powoli, to z powodu lekkich duszności. Są dni, że przycichają, niestety, coraz częściej źle się czuje. A przecież jest po zawale. Stanem jego zdrowia przejmuję się bardziej, niż kłopotami mojego ojca.

Zadzwoił telefon, pewnie znów któreś z ich dzieci.

– Cześć, córuniu! – W głosie pani Danuty tętnią miłość i tęsknota. – Nie, jeszcze nie kupiłam, nie byłam w mieście. No, jeśli wolisz, załatw sama, tak. U nas wszystko w porządku, a u was? Też? To się cieszę. Pogadamy później, pani Gabrysia jest u nas. Ja ciebie też. Pa, pozdrów męża. –

Z zazdrością słucham tej rozmowy. – Córka dzwoniła. Mąż za parę dni ma urodziny, pytała, co mu kupić. Tadeusz ma zawsze zimne stopy. Więc może takie kapcie z prawdziwej owczej wełny, co pani myśli?

– Bardzo praktyczny prezent – potwierdziłam i dodałam: – Pani Danusiu, to takie ważne, że zawsze sobie mówicie, że się kochacie...

– Tak je nauczyliśmy. Druga córka też zawsze nam to mówi. Jak ja nie powiem pierwsza, to one.

– Wiele bym dała, żeby usłyszeć takie słowa od matki... – szepczę tak cicho, jakbym nie chciała, żeby ktokolwiek mnie usłyszał.

– Matka nigdy nie powiedziała pani, że ją kocha? – Sąsiadka popatrzyła na mnie, a w jej oczach widziałam zgrozę.

– Nigdy. Przez pół wieku nie znalazła okazji...

Pani Danusia podeszła do mnie, przytuliła moją głowę.

– Biedne dziecko – powiedziała, głaszcząc mnie po włosach.

Czułam, że w moich oczach zaczynają tańczyć łzy. „Nie mogę się popłakać jak brzdąc” – myślałam. Przeczytałam gdzieś, że aby powstrzymać płacz, należy mocno zacisnąć pośladki. Wypróbowałam ten sposób, jednak nie pomógł, pewnie za późno go zastosowałam.

W tym momencie wrócił z piwniczki z butelką wina pan Tadeusz, a ja rozbeczałam się na dobre. Mam pięćdziesiąt lat i płaczę jak smarkula w fartuch obcej kobiety...

– A co tu się znów stało? – spytał zdziwiony staruszek, patrząc to na mnie, to na swoją żonę.

– Nic takiego. Nalej nam po lampce wina – poprosiła męża pani Danusia, a do mnie powiedziała: – Proszę się napić, wino dobre na frasunek, a swojskie tym bardziej.

Wychyliłam kieliszek duszkiem, a moja sąsiadka nalała mi kolejny.

Podziwiałam ich. Byli w wieku moich rodziców, może nawet starsi, ale jakże inni. Pan Tadeusz wciąż z żoną żartował, podszczypywał ją jak jakąś nastolatkę, chwalił do mnie. Ona nie pozostawała mu dłużna. Poza tym troszczyli się o siebie nawzajem. Zwracali do siebie z szacunkiem. „Chciałabym mieć takich rodziców” – myślałam nieraz.

– Na pocieszenie powiem pani, Gabrysiu, że chłopcy nie są tacy wylewni – kontynuowała tymczasem sąsiadka, kiedy pan Tadeusz poszedł po coś do kuchni. – Oni okazują uczucia inaczej. – Uśmiechnęła się na myśl o synach, mieszkających na Kaszubach. – To ja zawsze im słodzę. „Synku kochany, syneczku mój” – mówię albo jakoś tak. Ostatnio gdy nas odwiedził najmłodszy, wyciągnęłam do niego ramiona i powiedziałam, że przyjechał mój ukochany synek. A on mi na to, że szybko zmieniam zdanie, bo jakieś pół roku temu widział, że w ten sposób witam się z jego bratem.

„To który z nas jest w końcu ten twój ukochany, co?” – tak się ze mną przekomarza. Ten starszy też.

– Pani Danusiu, dobre ma pani dzieci, ot co! – powiedziałam. – Miło się u was gawędzi, ale muszę lecieć do domu, ugotować makaron do pomidorówki. Niedługo Paweł wróci z pracy. Dziękuję pani za wszystko, za ciepłe słowa najbardziej.

– Nie ma za co, kochanie. A tu, proszę, placek dla pana Pawła. Niech się pani tamtym nie przejmuję, ma pani dobrego męża i to jest najważniejsze. Matka na pewno panią kocha, tylko nie potrafi tego wyrazić. Pani Gabrysiu, pani jest taka drobniutka, jak dziewczynka, i milutka, nie można pani nie kochać.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć, tylko uśmiechnęłam się smutno. Uciekłam, żeby znowu się nie rozplakać. „Czy to nie książkowy przykład rozchwiania emocjonalnego?” – zastanawiałam się po drodze.

To prawda, że mam dobrego męża, wspaniałego. Paweł jest nie tylko mężem, ale także przyjacielem, matką i ojcem. Jest moją nagrodą, jest czymś najlepszym, co mogło mnie spotkać w życiu...

Innym razem to ja kiwam w kierunku pani Danuty. Pozdrawiając ją.

– Może wpadnie pani do mnie na chwilę?

– Dobrze, ale porozmawiamy na podwórku, do domu nie wejdę, nie mogę, mąż pojechał do sklepu, muszę go widzieć, jak wróci! – odchrząknęła sąsiadka, idąc do mnie. – Dziś wieje, a u pani szyja goła – strofuje mnie. – Trzeba się chociaż cienkim szalikiem owinąć. Łatwo się przeziębic.

– Dziękuję za troskę, ale mnie wiaterek nie rusza – odparłam i uśmiechnęłam się do niej. – Jestem odporna na wszelkie katary, anginy, kaszle i przeziębienia. Wychorowałam się w dzieciństwie. Jak urodziłam bliźniaki, przestałam łapać wirusy, i już.

– To gratuluje, ja tam jestem wrażliwa na przeciągi. Muszę uważać, żeby mnie nie owiało, gdy jestem spocona. Ciągle mam a to katar, a to chrypkę. A co pani dziś gotuje? Bo mój Tadeusz dostał chęci na placki ziemniaczane. Skończył mi się olej, więc posłałam go do sklepu. Ostatnio źle się czuje. Narzeka na serce, nie może spać. Bierze coraz więcej leków. Dziś

stwierdził, że mu lepiej... Dobrze i to. Chociaż o dietę mógłby dbać. Tymczasem je, co lubi, a placki to jego ulubione danie.

– Dziś u nas kopytka. Wczoraj specjalnie ugotowałam więcej ziemniaków. Paweł je uwielbia z podsmażoną cebulką. Chciałam panią zaprosić na małą kawkę albo herbatkę, ale w tej sytuacji musimy tu zostać i zerkać na drogę.

– Innym razem skorzystam.

– A czy pan Tadeusz robi sobie regularnie badania? – dopytywałam jeszcze.

– Robi, robi, ale starość nie radość. Po zawale tak podupał. Nastawia te swoje wina, choć ich nie pije, no, czasem pół lampki, jak ktoś wpadnie, dla towarzystwa. Dzieciom rozdaje i znajomym. Mamy tyle owoców, żal, żeby się zmarnowały. Jak dzieci były małe, robiłam soki, dzemy i kompoty. Teraz wnuki piją sok z kartonika, a i mnie nie chce się już pitrasić.

– To wino, które pan Tadeusz dał mi wiosną, położyłam w piwnicy. Niech leży. Mam tam jeszcze dwie butelki od znajomych, z czarnej porzeczki.

– Pani dużo pracuje w ogrodzie, nieraz widzę panią od samego rana.

– Lubię mój ogród, uwielbiam się nim zajmować. Rośliny mnie wyciszają, chociaż tu ciszy mamy pod dostatkiem. Ale nie o taką zwykłą mi chodzi, raczej o harmonię wewnętrzną.

– Dobrze, że wie pani, co jest dla pani ważne, zajęcie na świeżym powietrzu to lekarstwo na wszystko. Inni wolą telewizję oglądać. Z tego to tylko kupa nerwów.

– Wolę radio.

– O, mój wraca, lecę do domu, bo mam klucz w kieszeni.

– Smacznego! – wołam za nią, a sąsiadka jest już za bramką.

„Dlaczego to nie są moi rodzice? – znów te myśli. – Są tacy pogodni. Oni chyba w ogóle się nie denerwują, nie złością”. Stoję, wpatrując się w moją ulubioną sąsiadkę tak długo, aż całkiem zniknęła mi z oczu. Są cudni, oboje.

Czas pędzi jak szalony, moja nowa przyjaźń już nie jest nowa.

– Jesteś dla mnie jak druga połówka jabłka – powiedziałam Grażce podczas kolejnego spotkania. – Tyle, ile ty o mnie wiesz, nie wie nikt inny, no, może tylko Paweł. Ale on się nie liczy, nie? W końcu jest ze mną od tak dawna, że już nie jest połówką jabłka, tylko jakby jednym owocem!

Śmiejemy się.

– Ech, ci mężowie! – parska przyjaciółka. – Ale muszę ci powiedzieć, że coś mi w tym sady nie pasuje. Bo Paweł to nie żadna skórka, ale właśnie twoja połówka. Więc co, że ja to niby trzecia połówka? Nie za dużo ich? Poza tym ja też mam swoją drugą połówkę jabłka!

– No fakt. – Chwilę myślałam. – W takim razie jesteś moją drugą połową gruszki! Pamiętasz, pisałam ci kiedyś, jak moja babcia przekroiła ostatnią gruszkę na pół.

Wciąż wspominam tę historyjkę. Jest dla mnie ważna. Z migawek takich jak ta składa się lepsza część mojego życia. Ta gorsza jest zbudowana z wielkich segmentów.

Z Grażką jesteśmy w ciągłym kontakcie, piszemy do siebie maile, SMS-y, dzwoniemy. Bo coś się stało, bo coś kupiliśmy, co na obiad. O wiosnie, lecie, jesieni i zimie. Pory roku mamy w takiej samej kolejności i z identycznym przebiegiem, a i tak je sobie opisujemy. Ona jest kolorowa, więc opisuje mi je kolorowo. Często dodaje swoje wiersze, w których są żurawie, bociany i kwiaty. Drobiazgowo potrafi opisać zachowanie sikorki, zawisłej na kawałku słoniny, albo dzięcioła, który od początku ich zamieszkania w lesie stuka w to samo drzewo koło domu. Ja piszę do niej, gdy mam napady złego nastroju albo gdy znów przeżywam swoją nijakość i brak wartości. W chaotyczny sposób dzielę się swoimi przemyśleniami o mojej niedojrzałości społecznej, emocjonalnej, każdej innej. O lękach, koszmarnych snach przypominających mi wciąż minione lata.

Rozmowy z moją przyjaciółką z lasu pozwalają mi też przetrwać kolejne telefony od matki. Takie same, wciąż siejące niepokój, zazdrość, sprawiające, że jej dzieci się od siebie oddalają. I jak zwykle chodzi głównie o sposób, w jaki ona ze mną rozmawia, jakby wciąż miała do mnie pretensje, jakby pokazywała mi: „patrz, oni są od ciebie o niebo lepsi”.

Latem ja, Paweł, Mikołaj, Monika i Nela pojechaliśmy do rodziców w odwiedzinę. Matka nie wie, że mamy wnuczkę. Chyba tylko ona i ojciec

nie wiedzą.

– Nelka spadła nam z nieba – zawsze żartuję, gdy chwale się małą.

Dzwonimy do drzwi, czekamy. Otwiera ojciec. Wita nas wylewnie, czego nie lubię. Poddaję się tym przywitaniom mimo woli.

– Czyje to dziecko? – zapytał ojciec.

– To nasza Nelka – odpowiedziałam.

Przedstawiliśmy mu też Monikę, potem powtarzamy prezentację, gdy pojawia się matka. Ani on, ani ona o nic Mikołaja nie spytali. Ani jak się poznali, ani jak im się żyje, czym się zajmują, nawet ile Nela ma lat, czy chodzi do przedszkola i ma przyjaciółki. Jak zwykle opowiadali historie z życia nieznanym nam osób, ich sąsiadów. Nelka nudziła się i Monika wyszła z nią na dwór. Matka kontynuowała, tym razem o Justynie, że kupiła samochód strasznie drogi. Najpierw padła suma około miliona, potem dziesięciu tysięcy. Od kiedy skreślono cztery zera po denominacji złotego, matka nie potrafi ogarnąć liczby zer. Nie mam jej tego za złe, jest starszą osobą. Gdyby jednak bardziej skupiła się na rzeczach istotnych, zamiast na życiu obcych i plotkach, w końcu pojęłaby od lat funkcjonujące w kraju zera.

– Przestań pierdolić! – warknął na nią ojciec, gdy usłyszał o milionie.

Aż się cała zatrzęsłam. Zrobiło mi się gorąco. Nie znoszę takich wybuchów, wulgarnej agresji. Jakie ma znaczenie cena głupiego auta!

Znów się upewniam, że w ich życiu nic się nie zmieniło. W moim stosunku do nich też. Matka zawsze będzie promować bardziej majątnych, a ojciec będzie pielęgnował swój wulgarny język aż do śmierci.

– Wracamy do domu – powiedziałam, podnosząc się z kanapy.

Matka na pożegnanie dała małej torbę słodyczy. Całą wielką reklamówkę. Jakby nie wiedziała, że to nie jest dobre dla dziecka, które nie rozumie, dlaczego nie może zjeść wszystkiego od razu.

Postanowiłam, że nie mogę tego tak zostawić.

– Nie gniewaj się, ale muszę ci coś powiedzieć. – Zadzwoiłam do niej następnego dnia. – Nie możesz dawać tylu słodyczy dzieciom. Żadnym. Rodzice je uczą, że cukier jest niezdrowy, że słodkie jemy od święta. Wiem, że chciałaś dobrze, ale wystarczyło dać jedną czekoladę. Albo drobne

pieniądze na lody. I skąd masz tyle słodczy w domu? Przecież oboje z ojcem macie podwyższony cukier i cholesterol. A ty masz nadwagę. Powinnaś schudnąć trzydzieści kilogramów! Sama mówiłaś, że tak ci kazał lekarz.

Czułam, że matka była zła.

– Ty zawsze wiesz najlepiej! – skwitowała i się rozłączyłyśmy.

A ja zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, że tyle przykrych rzeczy jej powiedziałam. Lecz gdy kilka dni później oddzwoniła i poinformowała mnie, że na tamten temat ma jeszcze ze mną do pogadania, bo przesadziłam, nie wytrzymałam. Nie miałam ochoty słuchać potulnie jej połajanek. Owszem, może lepiej byłoby się w ogóle nie odezwać, posłuchać jej i zapomnieć, ale... przecież to z matką powinno się o wszystkim rozmawiać, prawda? Pokłóciłam się z nią okropnie.

Bogusz kończył studia, pisał pracę magisterską na tak skomplikowany temat, że nawet nie potrafiłam go powtórzyć, więc zapisałam sobie w notesie. Cieszyłam się, że wkrótce nasz syn zostanie magistrem.

Przyjechał do nas zaraz po obronie. Wyjechaliśmy po niego z Pawłem na dworzec. Kiedy szedł w naszą stronę, z lekkim zarostem, dorosły, samodzielny, ja wspominałam, jak tuliłam jego i Mikołaja główki do piersi.

Rozpierała mnie duma. Miałam tyle powodów do niej: Bogusz, Mikołaj, Paweł, który wytrwał przy mnie – takiej skomplikowanej, rozhuśtanej emocjonalnie, poranionej wewnętrznie – tyle już lat.

Tak dobrze jest mieć znów syna w domu, móc wypytać o szczegóły obrony, dotknąć jego pracy magisterskiej, która wygląda jak album, w twardej, bordowej oprawie. Pierwsza kartka jest pusta, na drugiej widnieje jego nazwisko, nazwa uczelni i nazwisko profesora, pod kierunkiem którego pisał pracę. Tytuł i data. Przewracam kolejną kartkę i zamieram ze szczęścia i niewyobrażalnego wzruszenia. „Rodzicom”. Bogusz dedykował nam swoją pracę magisterską, finał swojego pięcioletniego trudu.

Mam łzy w oczach, walczę z nimi, żeby nie zaczęły płynąć po policzkach. Pewnie większość studentów dedykuje swoje prace rodzicom, ale to niesamowite emocje. Wzruszenie dławi, jednak w końcu udało mi się podziękować synowi i podać pracę Pawłowi.

Jestem szczęśliwa!

Czy to nie ten wniosek powinien determinować moje życie? Nie ma miesiąca, nawet tygodnia, żeby coś mnie nie uszczęśliwiło. Czy to nie jest najważniejsze? Moje mazurskie życie, codzienność – taka, jaką kocham, przeplatana wielkimi i małymi radościami, emocjami, niewyobrażalnym poczuciem szczęścia. Po cholere grzebię się w przeszłości? To stamtąd wieje smutkiem, to ona burzy moją stabilizację. A matka? Kobieto, daj sobie z nią spokój! Od niej nie dostaniesz tego, na co czekasz. Ona tylko i wyłącznie sieje niepokój.

Zamyśliłam się.

– Mimo wszystko to moja matka... – wyszeptałam do siebie smutno.

Po studiach Bogusz zamieszkał z Olą. Wynajęli mieszkanie. Przysyłali nam zdjęcia pokoju, kuchni, widoku za oknem. Byliśmy u nich. Wszystko było piękne, oni, ich związek też, lecz duże miasto mnie przerosło. Za duży hałas, za dużo ludzi, wszystko zbyt blisko siebie. Zbyt szybko idą, zbyt głośno się zachowują. Wszędzie auta. A nasze dzieci są tu szczęśliwe.

Podzieliłam się z Pawłem moim zdaniem na temat życia tutaj.

– Życie jest wszędzie, Gabi. – No tak, cały mój Paweł.

– Chciałbyś tu mieszkać? – pytam.

– Teraz nie, nie po to uciekłem z miasta, żeby wracać po kilku latach, ale kiedyś, na starość, kto wie. – Przytula mnie, cmoka w policzek. – Fajnie byłoby mieć bliżej dzieci, wnuki, prawda?

– Pani Danuta i pan Tadeusz są starzy i radzą sobie bez dzieci – zauważam. – Umieją być szczęśliwi tylko ze sobą, w swoim domku. Starych drzew się nie przesadza, nie wiesz tego?

– Tak mówią, mnie tam przesadzanie nie szkodzi. Nie przywiązuję się do miejsc.

– Bo nie jesteś jeszcze stary, może i ciebie dopadnie ta reguła?

– Pożyjemy, zobaczymy – podsumowuje.

Monika była w ciąży.

– Mamo, urodzi się nam Oliwka! – krzyczał w słuchawkę uszczęśliwiony Mikołaj.

Kolejna radość. Same radości. Czasem aż się boję, że wszystko jest zbyt piękne, że dobra passa zbyt długo trwa.

– Jest tak cudnie, że aż się boję – kraczę nad uchem Pawłowi.

– Gabi, przestań! – opęda się od mojego czarnowidztwa. – Jesteśmy fajnymi ludźmi, mamy wspaniałych synów i piękne i mądre synowe. Koniec marudzenia! – Grozi mi palcem.

Uważam, że skoro synowie wybrali te, a nie inne dziewczyny na swoje partnerki życiowe, to one muszą być wyjątkowe. Nie wybraliby jakichś głupiutkich lał. Obie synowe są bardzo rodzinne, mądre, gospodarne. Każda jest piękna inaczej. Obie kochamy z Pawłem jak córki.

I znowu codzienność przeplata się z wielkimi radościami. Jak proza z poezją, żeby nie wpaść w monotonię. Nie narzekam na chwile prozy, nasza przeplatanka to samo życie.

Bogusz znalazł pracę, o jakiej marzył – w prestiżowej firmie z kapitałem zagranicznym. Ola też pracuje. Planują ślub i kupno mieszkania. Nic dziwnego, że mój ambitny synek marzy o awansie. Konkuruje z dziesiątkami chętnych na stanowisko kierownicze, jak burza pokonuje kolejne etapy. W końcu zostało już tylko dwóch kandydatów, wśród nich on.

– Odpadłem, mammo – dzwoni zawiedziony.

– Nie przejmuj się. Z setki osób być w tak ścisłej czołówce to niewyobrażalny sukces. Jestem z ciebie dumna. – Wspieram go ze wszystkich sił. I to chyba działa, bo wkrótce informuje nas, że podjął studia podyplomowe, a potem że znów ubiega się o awans.

Upragnione stanowisko zdobył dopiero za trzecim razem, ale dla mnie liczy się tylko, że umiał przekuć porażkę w sukces i że zawsze sobie w życiu poradzi. Cieszymy się razem z nim i Olą. W pewnym momencie nawet mam ochotę podzielić się jego sukcesem z matką. Ostatecznie tego nie robię. Przecież ona nigdy nie pyta mnie o swoich wnuków. Interesują ją jedynie ich zarobki.

Mikołajowi urodziła się Oliwia. Chodzi dumny jak paw, nic dziwnego, mała jest najśliczniejszym noworodkiem świata. Wkrótce on i Monika się pobrali, później również Bogusz z Olą.

– Mamo, weź tatę i torebkę i przyjeżdżajcie na nasz ślub. – Dla Bogusza wszystko jest proste jak dla jego ojca.

– Jak to? Kiedy? Co z przygotowaniem? Potrzebna wam jakaś pomoc?

– Sami sobie radzimy. Wszystko zorganizowaliśmy. Wy macie tylko przyjść i dobrze się bawić.

Jak chcieli, tak zrobili. Potem kupili mieszkanie w stanie deweloperskim, meblowali je, cieszyli się. Opowiadali nam o szczegółach prac wykończeniowych, o pomysłach na kolory ścian i mebli. Zawsze, kiedy rozmawiamy przez telefon i mam zbyt dużo pytań, skracam je do jednego.

– Czy jesteś szczęśliwy, synku?

Wiem, że kiedy synowie odpowiadają mi „tak”, to w tym jednym krótkim słowie zawarte jest wszystko. Wkrótce Mikołaj zaczął przyjeżdżać na konie z obiema dziewczynkami. Dopóki Oliwka była mała, spała sobie w foteliku, a jak podrosła, wsiadał na konia i brał ją przed siebie na siodło. Pierwszy raz podziwiała świat z końskiego grzbietu, zanim skończyła roczek. Najbardziej cieszy mnie to, że Mikołaj umie traktować ją na równi z Nelką, żadnej nie wywyższa, nie stawia drugiej za wzór. Dzięki temu one tak się kochają, a i my już dawno zapomnieliśmy, że Nela nie jest jego biologiczną córką. My to nie znaczy, że moja matka też. Ona nigdy o nią nie pyta. Boli mnie, gdy nie pamięta jej imienia, że potrafi powiedzieć o Neli „dziewczynka”. Przecież nie ma chmary prawnucząt, więc chyba mogłaby zapamiętać ich imiona. Żale do niej przesłaniają mi każdą radość. A przecież obiecałam sobie, że nie będę o niej myśleć.

Telefon. Spojrzałam na ekran – matka.

– Co słychać? – zapytała, choć wiem, że nie da mi nic powiedzieć, bo zaraz uraczy mnie nowinkami. – Byliśmy u Justyny. Mają piękny ogród. Specjalna firma im robiła. Przywieźli duże drzewa i krzewy. Mają dużo róż i wszystkiego. Dali chyba ze czterdzieści tysięcy.

– Pogratuluj im ode mnie.

Naprawdę podobało mi się, jak mieszka moja siostra. Kto jak kto, ale ja potrafiłam docenić sąsiedztwo rzeki i wypielegnowany ogród.

Latem zaprosiłam do nas rodziców oraz Justynę z mężem. Nie musiałam się wstydzić własnego ogrodu. Wszystko było w rozkwicie, a dzięki fachowemu oku i poradom Mikołaja dom po prostu tonął w kwiatach. Na ich przyjazd pokosiłam trawniki, wypieliałam warzywnik, nawet lilie orientalne jakby wyczuły potrzebę, bo kilka dni wcześniej zaczęły się rozwijać.

– Liczysz na pochlebne słowo mamy? – ironicznie zapytał Paweł.

– Nie wiem... może? – Zamyśliłam się.

– Daj sobie spokój, Gabi. Przecież ona nie zna żadnych miłych słów, sama to stwierdziłaś – przypomniał mi.

– Co innego wiedzieć, a co innego mieć potrzebę, prawda? – mówię i znowu myślę o przeszłości. Tak, to prawda, mimo tylu porażek, wciąż się staram przypodobać czymś matce. Zawsze tak było... Dobrze jest to sobie uświadomić. I dobrze jest znaleźć uznanie – jeśli nie w oczach matki, to chociaż siostry, którą ona od lat stawia mi za wzór.

Justyna przechadzała się po moim ogrodzie, podziwiała, dopytywała o nazwy roślin i jak o nie trzeba dbać.

– To jest funkia, a to trzmielina. Tamto drzewko to wierzba hakuro.

– A to? Znam krzew, ale nie pamiętam nazwy. – Justyna wskazuje na kolorowy krzak.

– To jest tawułka japońska. Mam też inne tawułki, ale ta jest najbardziej charakterystyczna.

– A co to jest?

– Hortensja pnąca. Ten czerwony krzew to pęcherznica, tamten też, tyle że zielonolistna. Perukowiec, dereń biało-brzeźny, berberysy, lilie amerykańskie, lilie orientalne, nagietki, aksamitki, cynie – popisywałam się wiedzą.

– A tu świerki, to akurat wiem! – mówi w końcu Justyna i się uśmiecha.

– Kurczę, muszę kiedyś poczytać w internecie, jak co się nazywa, i się tego nauczyć, bo nawet nie wiem, co u siebie mam – dodaje.

– Lata praktyki! – Teraz ja się śmieję. – Wiesz, ogród to całe moje życie, no i mam Mikołaja.

– Pięknie tu jest, Gabrysiu. Widać wiele pracy. Wkładasz w ogród serce i to się czuje. Wszystko ma swoje miejsce. Naprawę jestem pod wrażeniem.
– Do naszej rozmowy włączył się szwagier.

– Dziękuję – odpowiadam, a w duchu pękam z dumy. Jego słowa były dla mnie bardzo ważne.

Wizyta była bardzo udana. Już drugiego dnia po ich wyjeździe zadzwoniła matka. Chciała mi przekazać, że mąż Justyny był pod wrażeniem nie tylko ogrodu, lecz także całej posesji. Powiedział to w samochodzie, gdy wracali.

„Szkoda, że ty nie zdobyłaś się na żadną pochwałę, tylko chodziłaś milcząca” – miałam na ustach złośliwość, lecz ugryzłam się w język.

– Bardzo mi miło, że ktoś docenił – zauważyłam tylko.

– Wiesz, nie każdy lubi pracę przy roślinach – mówiła o Justynie, usprawiedliwiała ją.

Tylko w jakim celu? Przecież ja nie krytykowałam siostry. Zdaję sobie sprawę z tego, że właściciel domu z ogrodem nie musi być pasjonatem ogrodnictwa.

Było mi tak dobrze w życiu, że nawet sny z moim sadystycznym ojcem zniknęły. „Skoro nie pojawiają się od pół roku, to może już nie wrócą?” – łudziłam się. Przeliczyłam się. Wróciły. Śnił mi się jak zawsze, goniąc mnie, wygrażając. Znów budziłam się z płaczem, spocona, rozdygotana. Pocieszałam się tym, że odkąd zamieszkaliśmy na Mazurach, ani razu nie śnił mi się dom w rozsypce. „Jestem tu szczęśliwa, czuję się bezpieczna, więc dlaczego miałabym śnić o popękanych ścianach?” – myślałam z ulgą. Gdybym tak jeszcze ojca wymazała z moich snów.

Zadzwoniłam do matki w weekend. Jak zwykle opowiadała o sobie i o wszystkich wokół.

– Byliśmy w piątek u lekarza i...

– Kurwa, nie pierdol głupot! – Dobiegł mnie głos ojca, który wcinał się w naszą rozmowę.

– O co mu chodzi tym razem? – zdenerwowałam się.

– Ojciec się denerwuje, bo u lekarza byliśmy w czwartek. Prawda, pomyliłam się.

– To nie może ci normalnie odpowiedzieć? Zresztą, jakie znaczenie ma dzień tygodnia? Jak ty z nim wytrzymujesz, mammo?

– Idę do kuchni zajrzeć do obiadu. Gotuję krupnik – powiedziała, przechodząc do porządku dziennego nad całą sytuacją sprzed chwili.

Wiem, że zrobiła to specjalnie. Nie chce, żeby ojciec słyszał, co mówi, bo może znowu wybuchnąć.

– Nie mogę ci wybaczyć, że nie odeszłaś od niego, mammo. Od ciebie zależało wszystko. Godziłaś się na bicie, pijaństwo. Dzieci mają świetną pamięć, ja do dziś mam koszmary o nim. Gdybyś tylko chciała... jeszcze możesz go zostawić, żyć normalnie.

– Myślisz, że to takie proste? Jestem za stara na rozwód. Jakoś dotrwam do końca. Mam prawie osiemdziesiąt lat.

– Tym bardziej nie powinnaś słuchać tylko wyzwisk. Łobuzy tak przeklinają, to język ulicy. Nie mogę do tego przywyknąć. Ty przywykłaś, naprawdę?

– Co mam zrobić? On się już nie zmieni. Nie potrafi normalnie mówić. Cokolwiek mu powiem, złości się. W niczym się ze mną nie zgadza. Tylko siedzi w tej swojej polityce, ogląda telewizję i jeszcze bardziej się nakręca. Nie mogę obejrzeć niczego innego.

– Nie rozumiem cię. To twój wybór, żyjesz tak na własne życzenie. Wielu rzeczy nie potrafię ci wybaczyć, ale tego, że zawsze mu ulegałaś, najbardziej. To przez was my, wasze dzieci, nie jesteśmy blisko ze sobą. Skarżysz się, że nie odwiedzają was wnuki i prawnuki, że ojciec ma napady smutku i tęskni do dzieci, tak?

– No... czasem pyta.

– To powiedz mu, że kontakty z nami sam zniszczył. Wszystko ma swój czas. Był czas na dziecięce rączki na szyi tatusia i dziadka, na noszenie maluchów na barana. Był czas na lepienie bałwana i czytanie bajek do snu. On ten czas wykorzystywał inaczej, teraz niech zapłacze sam nad sobą, bo każdy czas jest niepowtarzalny. Nic dwa razy się nie zdarza.

To było okrutnie szczere, aż matka pociąga nosem. To prawda, że miała ciężkie życie i że kiedyś nie było tylu rozwodów co teraz. Ale przecież ona też pamięta wszystko i powinna coś z tym zrobić.

Paweł, jak tylko wszedł do domu, stwierdził, że rozmawiałam z matką. Wypłakałam się najpierw jemu, a wieczorem jeszcze w mailu do mojej połowy gruszki. Dopiero to mnie ukoło.

Niestety, umiem poradzić matce, żeby skończyła z ojcem, ale sama nie umiem go wyrzucić ze swojej głowy. Znów mi się śni. Chodzę jak struta, nie mam chęci na nic, nie zrobiłam nawet obchodu po ogrodzie. Siedzę skulona, wspominam... Idę do łazienki umyć twarz, lekko się maluję. Włączam telewizor, nic mnie nie wciąga. Wyłączam. Biorę książkę. Czytam, jednak nie łapię wątku. Wracam dwie strony do tyłu, nic z tego, dziś sobie nie poczytam. Płaczę. Ryczę chyba z godzinę. Zupełnie się rozkleiłam. Wszystko się we mnie rozpadło. Poszłabym do pani Danusi. Jednak nie pójdę, mają swoje sprawy, ona musi uważać na serce pana Tadeusza, nie będę ich zasmucać. Nic mi się nie chce. Nie robię obiadu. Jak Paweł wróci z pracy, wbije sobie kilka jaj na patelnię, na mnie nie może liczyć.

Zwykle potrzebuję dwóch, trzech dni, żeby dojść do siebie. Tym razem było inaczej. Pierwszy raz przyśniła mi się matka, kłóciłyśmy się we śnie. Krzyczała, że jestem dla niej zła i wezwie policję. „Pójdiesz do więzienia i wszystko się skończy!” – Wygrażała mi pięścią. W końcu przyjechali mundurowi, rozmawiali z nami obiema. Coś notowali. Matka krzyczała, że jestem uparta, że nie może się ze mną dogadać, że mnie utrzymuje, że nic nie potrafię. Że ma dość bachora i mam się wynosić z jej domu. Potem ja opowiadałam im o całym swoim życiu. O najczarniejszych doświadczeniach. Mówiłam i mówiłam. Jak matka mnie biła, ciągnęła za włosy, straszyla ojcem – za złą ocenę, za kłótnię z siostrami. Jak zbiła maleńkiego Mikołaja. Policjanci w moim śnie słuchali uważnie, nie przerywali mi. W końcu po prostu zabrali moją matkę ze sobą.

Taki sen nie przynosi ukojenia. Nie chcę śnić! Chciałabym zapomnieć wszystko, co złe. Pewnie każdy by tak chciał. Nie ma lekko. Chcesz mieć dobre wspomnienia, musisz je brać w pakiecie ze złymi. Przeczytałam w internecie, że amerykańscy naukowcy pracują nad pamięcią. Udało im się usunąć myszom złe wspomnienia i jest nadzieja na zastosowanie tego u ludzi. Może kiedyś będzie można łyknąć pigułkę i znikną wszystkie traumy? Tymczasem nie ma pigułki, ale są Grażyna i Teresa.

Ostatnio rozmawiałam z Teresą przez telefon. Staralam się trzymać fason. Słabo mi to wychodziło.

– Jesteś smutna, Gabi? Stało się coś?

– Nie. Chociaż tak. Znów napadły na mnie demony przeszłości. Teraz już śni mi się nie tylko ojciec, lecz także matka. W ciągu półtora tygodnia trzy razy... Wykończę się.

– Gabi, obiecałaś pójść do psychologa!

– Tak, wiem, powinnam. Pójdę – obiecuję jej w końcu.

Wieczorem poszperałam w necie, szukałam dobrego specjalisty gdzieś w okolicy. Czytałam opinie pacjentów. Wreszcie wybrałam kobietę. Żałowałam, że nie mogłam do niej zadzwonić od razu, bo była zbyt późna godzina.

Zadzwoniłam rano. Był piątek. Przedstawiłam się i poprosiłam o zapisanie mnie na wizytę. Pani psycholog dopytywała, co się stało, jaki mam problem, tak z grubsza. Odpowiedziałam, że nie radzę sobie z przeszłością, że nękają mnie sny. Rozplakałam się standardowo.

– Pani Gabrysiu, proszę nie płakać. Możemy się spotkać jutro.

– Ale jutro jest sobota, przyjmuje pani w soboty?

– Nie, chyba że jest pilna potrzeba, wtedy przychodzę do gabinetu i w sobotę.

Pojechałam. Podała mi rękę. Miły gest na samym początku. Zaprosiła na wygodną kanapę i zachęciła, żebym opowiedziała jej o wszystkim.

– Nie wiem, od czego zacząć – wyszeptałam zakłopotana.

– Kolejność nie ma znaczenia. Od początku albo od czegoś najważniejszego, od najtrudniejszej sprawy. Jak pani chce, pani Gabrysiu.

Zacząłam mówić: o dzieciństwie, o picciu ojca i znęcaniu się nad nami. Wracałam do przeszłości. Do babci, dziadka. Powiedziłam o ucieczce na Mazury. O moich wspaniałych synach i jak matka zabiła Mikołaja. Już po pierwszym zdaniu się rozplakałam. Psycholożka podała mi pudełko chusteczek higienicznych. Na myśl, że ma je w pogotowiu, zrobiło mi się nieco lżej, bo to oznaczało, że nie tylko ja tu płaczę.

– Jejku, ależ ja chaotycznie mówię.

– Nic nie szkodzi. Ja słucham.

Wylałam z siebie czarę goryczy. Poczułam wielką ulgę. Może wreszcie ktoś, komu to wszystko opowiedziałam, znajdzie sposób na rozwiązanie mojego problemu. I wskaże mi drogę.

– Dziś chyba najbardziej ciężą mi sny. Nie chcę ich, bo to one mi o wszystkim przypominają, po nich jestem rozbita, przygnębiona i długo dochodzę do normalności.

– Pani Gabrysiu, następnym razem proszę spróbować nie uciekać przed ojcem. Niech pani się zatrzyma, spojrzy na niego i powie stanowczo, że już się go nie boi.

– Ale czy potrafię? Czy to jest możliwe we śnie?

– Potrafi pani. To jest możliwe.

Jakie to proste. Że też nigdy o tym nie pomyślałam. Ojciec jest stary, trochę choruje, bez kondycji. Przecież tak naprawdę od dawna się go nie boję. Nie jestem małą, bezbronną dziewczynką, jestem dorosła i mam sztab ludzi wokół siebie, kochanych, oddanych mi, przyjaznych. Nie jestem sama.

Wiele razy bywałam u pani psycholog. Zaproponowała mi napisanie listu do ojca.

Z gabinetu wróciłam z zadaną pracą domową. Kilka razy zasiadałam do pisania. Kreśliłam pierwsze zdanie i kasowałam je, pisałam inne i znowu usuwałam. Nie dawałam rady. Nie potrafiłam. Miałam hamulce przed jakimkolwiek bliższym kontaktem z nim. Nie chciałam żadnego zbliżenia, nawet poprzez słowa. Od kilku lat nie składałam mu życzeń w dniu imienin ani urodzin. O Dniu Ojca nawet nie myślę. To dzień prawdziwych ojców, tych, którzy wkładali trud w wychowanie swoich dzieci. Nie tatusiów tylko na papierze. Nie odrobię tego zadania, przerasta mnie.

Moja psycholożka wszystko rozumie. Nie zmusza mnie, tylko prosi, żebym zrobiła dwie listy: wad i zalet ojca.

– On nie ma zalet. – Bronię się przed kolejnym trudnym zadaniem domowym.

– Opowiadała pani o prezencie od niego na urodziny. Może były inne podobne zdarzenia. Proszę pomyśleć.

Zastanawiałam się nad tym, gotując obiad, pracując w ogrodzie, przed zaśnięciem, po przebudzeniu.... Nagle zobaczyłam obraz, jak ojciec siedzi na krześle i huśta nas kolejno na nodze. Trzyma za ręce, podrzuca, my się cieszymy, piszczymy z ekscytacji. Buja tak Justynę, potem mnie, Kubę. Żadne z nas nie woła: „Teraz, ja, ja!”. Czekamy spokojnie, aż on sam zadecyduje o zmianie, wiemy, że wszystko niespodziewanie może się zmienić i zepsuć tę beztroskę. Co jeszcze...? Widzę matkę i ojca w domu babci, tej, która wychowywała mnie i Benię. Idziemy na łąkę. Matka zrywa koniczynę. Robi z niej kwiatową piłeczkę. Rzuca ją do mnie, łapię lub nie, nie widzę tego dokładnie. Odrzucam do matki. Zamykam oczy, widzę wyraźniej. Uśmiecham się, bo znalazłam miłą chwilę z matką i ojcem.

Czy to już wszystko? Tylko tyle? I czy to są zalety? Dochodzę do wniosku, że nie, że to tylko chwile.

W piękny sierpniowy dzień odszedł pan Tadeusz. Miał rozległy zawał, nie przeżył go. Pozostała po nim wielka pustka. Nie mogę sobie wyobrazić, że już nigdy do nas nie przyjdzie. Dzieci zabrały do siebie panią Danusię. Ich dom stoi pusty. Nie wiem, czy pani Danusia kiedyś tu wróci. Zerkalam co chwila na ich posesję i czuję samotność. Było mi dane mieszkać obok niezwykłych ludzi, ciepłych, pogodnych. Oni byli dla mnie jak rodzice.

Długo nie potrafiłam się otrząsnąć z otępienia. Przeżyłam ich stratę bardzo głęboko. Zastanawiałam się, kto zamieszka po sąsiedzku, jeśli pani Danusia sprzeda dom.

Córki zwracały się do niej „mamusiu”, do ojca „tatku”. Też bym tak chciała. Ja nigdy bym tak nie powiedziała do ojca. „Niech się cieszy, że w ogóle nazywam go ojcem” – przechodzi mi przez myśl.

Jeszcze bardziej boli to, że o swojej stracie nie mogę opowiedzieć ani jemu, ani matce. Pewnego razu poraziła mnie jej teoria, że kiedyś dzieci kochano inaczej niż dziś. Przeraziła mnie. Czyżby to było jej usprawiedliwienie?

– Dawniej dzieci nie były pępkiem świata! – mówiła mi. – Nikt nie miał czasu na przytulanie, całowanie i inne takie. Dostawały lanie i nikt nie robił z tego tragedii. Musiały pracować w polu, nikt nie pomagał im w nauce. Dziś wszystko kręci się wokół nich. One rządzą w domu i rodzicami.

– Wiesz, chciałabym dostać lanie za coś złego, co zrobiłam celowo. Albo gdybym skrzywdziła słabszego. Za kradzież, za kłamstwo. Nie za nic! Ja w domu nigdy się nie czułam bezpiecznie, nawet jak wszystko było w najlepszym porządku. Nie czułam się bezpiecznie, nawet jak przyniosłam piątkę ze szkoły! Dlaczego biłaś mnie za nic?! Byłam najśłabsza ze wszystkich twoich dzieci. Nie żał ci było chudziny o kościach obleczonych skórą? Co czułaś, gdy mnie biłaś za nic? Czy w ogóle coś czułaś, mammo? Czy myślałaś, że mnie to boli? Czy zastanawiałaś się czasem, jak czuje się dziecko ukarane za nic? I za co mnie biłaś? Za złe spojrzenie? Że za wolno szłam na twoje wezwanie? Nie bałaś się, że gdzieś z tym pójdę, że coś sobie zrobię...?

– Kiedyś było inaczej, inne czasy, inne metody.

– To żadne wytłumaczenie. Moje koleżanki nigdy nie były bite. Nigdy, rozumiesz? Wiele matek nie pracowało. Ich ojcowie byli różni, lepsi i gorsi, niektórzy też zaglądali do kieliszka, ale ich matki były wspaniałe. Po lekcjach chodziłam do Basi. U niej zawsze pachniało ciastem. Matka w wykrochmalonym fartuchu krzątała się po kuchni i zawsze nas pytała: „Jak tam, dziewczuszki? Co było w szkole?”. Matka Maryli też nie pracowała. Było im ciężiej niż naszej rodzinie, bo wy z ojcem oboje pracowaliście. Maryla miała sześcioro rodzeństwa. Maluchy skakały, szalały, piszczwały. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś na nie krzyknął. Żebyś chociaż raz powiedziała mi coś dobrego, reszta nie byłaby taka straszna...

– Może i tak. – To było jej ulubione podsumowanie większości naszych rozmów.

Musiałam zakończyć tę rozmowę, zanim się rozpłaczę. Gadanie, że kiedyś inaczej traktowano dzieci, było marną wymówką. Zawiodłam się na matce. Miałam nadzieję, że chociaż ta jedna rozmowa skończy się inaczej. Czy ona naprawdę uważa wszystko to, co się działo w naszym domu, za normalność...? A może jak zawsze i pomimo wszystko broni ojca?

Parę lat temu, gdy w internecie powstał portal Nasza Klasa, zarejestrowałam się na nim i z wielką radością stwierdziłam, że jest już tam wiele osób znanych mi ze szkoły. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, ile dzięki temu miejscu przeżyję. Z wielkim sentymentem i nostalgią oglądałam stare zdjęcia wklejane przez kolegów. Sama zaczęłam szperać

w starym albumie, wspominać tamte czasy. Kilka zdjęć zeskanowałam i wrzuciłam na moje konto. Z przejęciem oglądałam zdjęcia innych. Nasi profesorowie – przed laty i dziś, budynek szkoły. Wycieczki, studniówka. Łza się w oku kręci na wspomnienie tamtych czasów. Wciąż przybywali kolejni znajomi. Do dziś jest nas zarejestrowanych kilkanaście osób. Wielu nie widziałam od matury. Wyjechali na studia, zamieszkali w innych miastach albo za granicą. Pewnego razu prawie oszalałam z radości, gdy zobaczyłam, że dołączyła do nas Ania.

Z Anią byłyśmy w liceum dobrymi koleżankami. Siedziała w ławce przede mną. Była śliczna i miała nieprzeciętnie długie rzęsy. Po liceum wyjechała do Francji, kontakt z nią urwał się nagle i boleśnie. Patrząc na jej zdjęcie i wszystko wraca. Rozmowy, wygłupy, dyskusje, spacerki podczas przerw. Napisałam do niej. Wspomnieniom nie było końca. W mailach przypominałyśmy sobie nawzajem to, co zostało zapomniane. Ja jej, ona mnie. Nazwiska kolegów, koleżanek, wieczorki, bo tak wtedy nazywały się szkolne potańcówki w sali gimnastycznej. Wycieczki, wychowawców, psikusy, jakie robiliśmy profesorom, wszystko, co udało się odgrzebać z pamięci. Kiedy tematy szkolne się wyczerpały, zaczęłyśmy poznawać nasze obecne życie i rodziny. Ania planowała przyjazd do Polski.

– Musisz mnie koniecznie odwiedzić – prosiłam.

Nadszedł dzień przyjazdu Ani do nas. Wyjechaliśmy z Pawłem do głównej drogi, tak jak się umówiliśmy. Z daleka zauważyliśmy francuską rejestrację. Ależ to były emocje! Uściskom nie było końca. Łzy wzruszenia dopadły nas obie. Paweł stał z boku i tylko się przyglądał. Nie chciał nam przeszkadzać w tej emocjonującej chwili. W domu niemal natychmiast poszedł w ruch stary album ze zdjęciami.

– Kto to? A ta dziewczyna obok ciebie to kto? Ależ zdjęcia, skąd je masz?! – zachwycała się Ania.

– A pamiętasz chłopaka, który mieszkał niedaleko dworca autobusowego? Po liceum mnie podrywał.

– O, a te dziewczyny mieszkały w internacie. Trzymały się razem, nami gardziły albo my nimi? Dziś już nie wiem, jak to dokładnie z nami było.

Mogłybyśmy tak bez końca. Pierwsza klasa, druga. Wycieczka do Krakowa, Wieliczki. Czyn społeczny, WF w parku, ścieżka zdrowia. Tarcze

na rękawie, koniecznie przyszyte na stałe, nie na szpilce. Granatowe fartuszki. Trzydzieści lat minęło jak jeden dzień...

Anka zaprosiła mnie do siebie, do Prowansji. Nigdy, w najśmielszych marzeniach, nie myślałam, że tam pojadę. Tak samo jak nie myślałam, że jeszcze kiedyś zobaczę moją wesołą, śliczną koleżankę.

Wczesną wiosną poleciałam do Marsylii. Ania wyjechała po mnie z mężem na lotnisko. Pędziliśmy autostradą do ich domu. Przed podróżą miałam obawy, czy dam sobie radę. Nie znam francuskiego, chyba tylko *je t'aime* i *bonjour*. No i nigdy nie wyjeżdżałam bez Pawła. Dzień przed lotem nie mogłam zasnąć. Jednak wszystko przebiegło sprawnie, bez niespodzianek. Na lotnisku wystarczy iść tam, gdzie wskazuje informacja albo jeszcze prościej za tłumem. Nie trzeba być doświadczonym podróżnikiem. Dla mnie nawet tak proste doświadczenie jest ważne, sprawia, że czuję się silniejsza.

Po drodze chłonę migające widoki za oknem samochodu. Jest inaczej, egzotycznie. Pofałdowany teren, u nas równina jak okiem sięgnąć. Domy w kolorze piasku, ciepłe odcienie. Okiennice w każdym oknie. Są domy z różowymi okiennicami, inne z błękitnymi albo zielonymi, od odcieni najjaśniejszych, poprzez seledyny, do spokojnych. Za to elewacje domów są stonowane, nie mają takiego rozmachu i dowolności kolorów jak w Polsce. W niektórych ogrodach w ogromnych donicach rozpoznaję juki i draceny, przy drogach platany, w oddali rzędy winorośli. Już jestem zauroczona, więc co będzie potem...? W domu klimat tworzą meble, obrazy, stare fotografie. Czarno-białe, bardzo stare i nowe, z wnuczętami, dziećmi. Jest tu wszystko, co lubię...

Tego samego dnia poznaję Ani dzieci i wnuczęta. Francuzi potrafią świętować, cieszyć się życiem, radość mają w oczach. Cieszą się ze spotkania, chociaż widzą się codziennie, bo cała rodzina mieszka w tym samym miasteczku. Na powitanie całują się w policzki, obowiązkowo dwa razy. Faceci całują matkę, teściową, nie tylko żonę. Kobiety też się całują. Ja również zostałam wycmokana. To niesamowite, urocze, jestem pod ogromnym wrażeniem. Obiecałam sobie, że wprowadzę ten zwyczaj u nas. Cmok, cmok, *bise, bise* – podoba mi się szalenie.

Dostaję pokój, wielki, oczywiście z okiennicami. Mąż Ani, Armand, co wieczór je zamyka, wszystkie, w całym domu. Moszczę się w ogromnym łóżu. Zbyt dużym. Tylko kilka razy w życiu spałam bez Pawła, z przymusu, na przykład będąc w szpitalu. Nie wiem, kiedy zasnę, tęsknię za swojskim dwuosobowym łokiem. Usnęłam błyskawicznie. Po locie i tylu wzruszeniach nie było to trudne.

Gdy się budzę, nie wiem, czy to noc, czy dzień. Okiennice zapewniają ciemność. Włączam komórkę, żeby sprawdzić, która godzina. Ostre światło wyświetlacza razi. Mrużę na chwilę oczy, powoli przywykam do światełka telefonu. O matko, czas wstawać!

Rano *bise, bise* – sympatyczny rytuał ze wszystkimi.

– Czy można nie zamykać okiennic na noc? – pytam Armanda.

Dowiaduję się, że nie można. Trudno, niech będzie.

Ania prowadzi mnie po domu i opowiada historię niemal każdego mebla, bibelotu, zdjęcia. Opowiada o rodzicach swojego męża, pokazuje pamiątki po nich. Niesamowicie rodzinny dom, duży, ciepły, przytulny – dzięki ludziom, którzy tu mieszkali, którzy teraz mieszkają, dzięki przedmiotom. O każdej osobie tak ciepło opowiada. Idziemy schodami na antresolę. Tam też wiszą zdjęcia, pokazują kawałek życia każdej utrwalonej na nich osoby.

Wszystko mnie fascynuje. Wycieczka do Awinionu. Do tej pory nazwę miasta znałam tylko z piosenki. W ogóle podróżowanie było poza moim zasięgiem. Dzięki Ani mogłam zatańczyć na moście w Awinionie, moja przyjaciółka pstryka mi zdjęcia. Mimo wczesnej wiosny jest bardzo ciepło, słonecznie, spacerujemy w samych bluzeczkach. Podziwiam wiekowe budowle, robię mnóstwo zdjęć. Pałac papieski, mury obronne, wąskie uliczki, domy. Przysiadamy przy stoliku przed jedną z licznych knajpek, zamawiamy coś do picia. Wypisuję widokówki. Adresuję: do Pawła, do synów, do teściów, koleżanek i do matki.

Kolejnego dnia mamy wypad do Nîmes. Następne fascynacje i dziesiątki zdjęć. Jedziemy zwiedzić potężny most, którego widok dosłownie zapiera dech w piersi. Anka tłumaczy mi tablice informacyjne. Jestem pod wrażeniem budowli, która powstała z kilkutonowych bloków skalnych. W starożytności most był fragmentem akweduktu. Jesteśmy takie maleńkie

pod nim, rozmiary konstrukcji są imponujące. Wspinamy się, gdzie tylko można. Niezapomniana panorama.

Kolejna wycieczka do Orange z antycznym teatrem. Siadamy na skalnych ławach, odpoczywamy. Podziwiam potęgę teatru, rzeźby, kolumny, akustykę. Wszystko takie dostojne, choć nadgryzione zębem czasu. Wyobrażam sobie przedstawienia sprzed wieków, tłumy siedzące na kamiennych ławach. Idziemy pod łuk triumfalny Tyberiusza. Również potężny, jest najbardziej rozpoznawalną budowlą miasta. I jeszcze miejscowy bazar. Jestem urzeczona stoiskami z lawendą, a raczej tym, co się z niej robi. Mydełka, miody, saszetki zapachowe, perfumy, balsamy, peelingi, maseczki, szampony i lody. Poza tym sery. Wszędzie ich mnóstwo, najróżniejsze, spod samiuśkich Alp i nie tylko. Oliwy z zatopionymi w nich ziołami. W każdym butelkowym szeregu inny zestaw ziół. Wszystko kolorowe, urocze, przyciąga wzrok. Są całe stoiska w kolorze fioletu. Suszone kwiaty lawendy, same płatki lub z łyżkami. Kupiłam pamiątki dla chłopców, dla przyjaciół, dla Pawła i do domu. Przede wszystkim lawendowy miód. Jest jasny, choć w różnych odcieniach. Kupiłam różne. Z jego sprzedawcą mam zdjęcie. Ania przetłumaczyła mi, że od pokoleń prowadzą rodzinną pasiekę, kolejne pokolenia przejmują słodki biznes. Mogłabym tak spacerować między kramami cały dzień. Czuję niedosyt oglądania. Bazar jest fascynujący. Sery, które kupiłam, śmierdziały tak strasznie, że musiałam je wysłać w bagażu dodatkowym, inaczej miałabym kłopot z wejściem do samolotu. Ania doładowała mi do walizki kilka regionalnych win. Ależ będzie ucza w domu. Francuska.

Ania wspaniale gotuje. Jest już prawdziwą Francuzką. Wrosła w tamtejszą kulturę, zwyczaje, we wszystko. Skosztowałam żab, ślimaków, małży oraz tego, co i u nas popularne, ale ja niestety nie gotuję, czyli szpinaku. Wszystko było przepyszne. Jedzenie było obficie zakrapiane winem, co też mi się szalenie spodobało. To drugi zwyczaj, po powitalnych całuskach, który przywiozłam do domu i wdroyłam w nasze mazurskie życie.

W Polsce dużo się gotuje zup, ja też jestem ich zwolenniczką. Nie pijemy do nich wina, lecz do innych dań – tak. Najchętniej do spaghetti, lazagne, wszelkich zapiekanek, mięs, dań z ziemniaków, ryb. We Francji jedzenie się celebryje, nigdy się nie je w pośpiechu. Może dlatego w całym

miasteczku Ani nie spotkałam grubasów. Przy stole zbiera się cała rodzina. Atmosfera jest domowa i serdeczna. Wina i chleba, i rodziny, tego potrzeba, żeby posiłek był kompletny.

Podczas mojego pobytu we Francji mogłyśmy z Anią kontynuować naszą podróż w przeszłość. To była podróż mojego życia, nie tylko do bajkowej krainy, jaką jest Prowansja, lecz także w czasie. Dowiedziałam się, że ona bardzo wczesnie straciła mamę, która zmarła młodo na raka. Zawsze mówi o niej: „mamusia”. Opowiedziała mi o swoim strasznym bólu, lęku i zagubieniu, kiedy mama odeszła. Jak nagle runął cały jej świat. Jak zmieniły się jej życiowe plany i jak musiała szybko dorosnąć i się usamodzielnąć. Sama podejmowała wiele ważnych, życiowych decyzji. Dopiero teraz poznałam jej dylematy. Ani było bardzo ciężko, bo z jednej strony otaczały ją życzliwe osoby, które odradzały jej realizację podjętych decyzji, a z drugiej tak samo życzliwi, którzy ją wspierali. Była rozdarta. Jej wyjazd do Francji miał tylu zwolenników, ilu przeciwników. Nastolatka została sama z trudną decyzją. Słuchałam jej zwierzeń, porównując swoją matkę do jej. Ania zna wiele faktów z mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Nie ze szkoły, bo wtedy nie byłam skłonna do zwierzeń, wstydziłam się tego, co przeżywałam w domu. Dopiero teraz, gdy się odnalazłyśmy po latach, wszystko jej opisałam.

– Gabi, nie wiedziałam, że tyle przeszłaś – powiedziała mi. – W szkole byłaś jak inni, wesoła i towarzyska. Może nieco znerwicowana, ale taką cię wszyscy lubili.

Bardzo często porównuję się do innych. Teraz też porównuję mamę Ani do swojej. Są jak dobro i zło. Dochodzę do tego wniosku i jest mi cholernie przykro. Mam kilka miłych wspomnień, jednak to tych złych jest przytłaczający ogrom. Kropla szczęścia w bezmiarze cierpienia. Są ludzie, którzy nie zastanawiają się, jak będą ich wspominać inni, na przykład moja matka. Przecież wiele mogłaby jeszcze zrobić, zmienić. Zintegrować rodzinę, popracować nad naszymi relacjami...

Szukając w pamięci miłych obrazów z matką w tle, widzę ją przygotowującą sernik. Lubiła sernik, bardzo, pieczony albo na zimno – wszystko jedno. Oblizywała pałkę z resztek masy, co zwykle uwielbiają robić dzieci, prawda? Ja nie lubiłam surowego ciasta. Ucierała czarną porzeczkę z cukrem na zimno i robiła z niej dżem, który wkładała do

wyparzonych słoiczków. Smarowała spirytusem pergaminowe krążki, po czym każdą porcję zamykała wydezynfekowanym papierkiem i nakrętką. Lubiłam patrzeć, jak sprawnie przyrządza jedzenie, uciera ciasta. Piekła ciasto marchewkowe. Robiła kopytka i pyzy. Mam tyle kulinarnych wspomnień. One nie pokazują, że mnie kochała, robiła jedzenie dla wszystkich, dla ojca też. Ale może dzięki temu sama bardzo lubię być w kuchni?

Lubiłam ją w czerwonym płaszczu. Miała też szal tego samego koloru, obszyty czarnymi karakułami. Może były sztuczne, może prawdziwe, najważniejsze, że w tym zestawie wyglądała rewelacyjnie. Zarzucała jeden koniec szala na plecy, drugi dyndał z przodu. Podglądałam ją ukradkiem, jak się ubiera do wyjścia.

Miała ładne ubrania. Była elegantką. Nigdy nie powiedziałam jej, że w czymś było jej ładnie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak przyjemnie jest usłyszeć komplement. Skąd miałam wiedzieć, sama nigdy niczego podobnego nie doświadczyłam. Gdyby mnie spytała, jak wygląda, powiedziałabym jej, że ślicznie.

Nie czułam w młodości więzi z matką – jak Ania ze swoją. Nie rozmawiała ze mną o dojrzewaniu. Nie pytała, o czym marzę, co mnie smuci, co martwi. Po maturze pojechałam z Pawłem pod namiot, nie sprzeciwiała się naszej wyprawie, jednak po moim powrocie stwierdziła, że jestem kurwą. Miałam dziewiętnaście lat. Ona w moim wieku już dawno opuściła dom rodzinny. Znała ojca, bo wkrótce zaszła w ciążę z Bernadetą.

Anka stwierdziła, że powinnam porozmawiać z ojcem o moich żalach do niego.

– Aniu, rozmowa jest niemożliwa. Ja będę mówić, on słuchać ze spuszczoną głową.

– Twój ojciec nie będzie żył wiecznie. I to tobie zaciąży niedopowiedzenie. Będiesz żałować, że nigdy nie powiedziałaś mu, co czułaś.

– Myślisz, że bardziej niż teraz?

– Nie mam pojęcia, ale wierzę, że szczerą rozmową wiele by zmieniła.

– Chciałabym, żeby mnie przeprosił. Marzę o tym od lat. Jednak ojciec jest typem człowieka, który nie zna takiego słowa. Za to ma słownictwo bogate w inne wyrażenia.

– Myślisz, że nie potrafi przeprosić?

– Wiem to na pewno. Przede wszystkim on nie potrafi się przyznać do winy. Mnie wystarczyłoby, żeby powiedział, że był draniem i że żałuje. Nie musi wypowiadać magicznego słowa „przepraszam”. Wiesz, co jest naprawdę głupie? Że matka próbuje nas przekonać, że ojciec nic z tamtych czasów nie pamięta. Skoro tak, to czemu wspomina wojsko i kolegów z młodości, szczenięce lata, wiejskie zabawy, bijatyki? Wiele razy z detalami opowiadał nam o swojej szkole, jakie miał buty, książki, zeszyty. Wspominał nauczycieli, fakty sprzed siedemdziesięciu lat, sprzed czterdziestu i bliższe. Matka po prostu znowu go broni.

Wróciłam z Francji pełna wrażeń, emocji, z walizką prezentów i zdjęć. Wszyscy mnie pytali o szczegóły pobytu. Jedni bardziej dociekliwie, inni mniej. Pytali, czy jadłam żaby i ślimaki. Typowe, prawda? Gdy odnalazłam moją Anię po tylu latach, również zadałam jej to pytanie.

– Aniu, to ty też jesz żaby i ślimaki?

– Ja jem, za to Armand nie je, bo nie lubi.

Jadłam więc żaby z Anią. Może to i absurd. Nazywanie Francuzów żabojadami dla wielu może być krzywdzące.

Moim przyjaciółkom i znajomym pokazywałam zdjęcia z podróży, wręczałam drobne upominki. Byli ciekawi wszystkiego, pogody, mody, francuskiego jedzenia, mieszkania. Najbardziej stęsknił się za mną Paweł, jemu też nie wystarczają rozmowy telefoniczne. Zostawiłam go ze śniegiem i odśnieżaniem, podczas gdy ja biegałam w cienkich bluzeczkach i wygrzewałam się w słońcu.

Matki i ojca nie interesowała moja prowansalska podróż. Zero pytań, tyle samo zainteresowania. Wysłałam im pozdrowienia z Awinionu. Nawet mi nie podziękowali za pamięć. Czy czułam rozczarowanie? Tak.

Moja psycholożka uświadomiła mi, że akceptacji nie mam szukać u matki, lecz u osób, które są mi przyjazne. Przecież to logiczne. „Jestem stara i durna” – podsumowałam siebie.

Ona uświadomiła mi również, że to nie ja mam problem ze sobą, lecz matka. Ja żyję tak, jak sobie wymarzyłam. Kreuję swoje rodzinne życie po swojemu, według wizji sprzed wielu, wielu lat. Wiele w życiu osiągnęłam. Mam swoje miejsce na Mazurach, wspaniałe kontakty z dorosłymi dziećmi, z Pawłem bardzo udany związek. Szanujemy się nawzajem. Matka tkwi w wielkim życiowym chaosie. Nic z tym nie starała się zrobić i nadal w nim trwa, mimo że jest jej z tym źle.

Psycholożka utwierdziła mnie w przekonaniu, że matka żyje w toksycznym związku, że ma wielkie problemy z samą sobą. Ja szukałam pomocy specjalisty, chociaż mam uporządkowane życie osobiste. Moje problemy są innego typu. Nad tym popracujemy. Matce też przydałyby się porada fachowca, lecz ona nic nie chce zmienić. Jej i ojcu też. Wspomniałam o tym matce, nie chciała nawet słuchać.

Opowiedziałam psycholożce, jak działają na mnie krytyczne uwagi matki. Gdy coś mi radzi, ja robię na odwrót. Sporadycznie się zdarza, że po zastanowieniu przyznaję jej rację, ale i tak robię wszystko, żeby nie było po jej myśli. Na każdą krytykę się najeżam, a w środku mi się zapala czerwona lampka alarmowa, taka z syreną.

– Bo pani nie przeżyła w odpowiednim czasie okresu buntu. Być może teraz ten bunt daje o sobie znać – stwierdziła pani psycholog.

Nie żałuję, że zdecydowałam się do niej przyjść. Dostaję mnóstwo prostych, ważnych porad. Nie zdawałam sobie sprawy, jak potrzebne mi one były. Wołają z mojego wnętrza, gdy wskazane jest, żeby je wykorzystać. Przypominają o sobie, są jak podręcznik. Pomagają mi.

W rozmowach lub kontaktach z matką mam stawiać granice, których jej nie wolno przekroczyć. I to ja mam tego pilnować. Teraz wiem, że matka nigdy nie będzie w stanie zrozumieć mojego życia i moich wyborów. Wszystko przez jej problemy z okazywaniem uczuć. To odkryłam wiele lat temu. Ona nie potrafi zrozumieć mojej odmienności i dlatego wciąż porównuje mnie z innymi. Nie zastanawia się nad tym, co mówi. Wylewa z siebie słowa, pluje nimi, nie myśląc, jak bardzo może kogoś, mnie, zranić.

Dawno temu obiecaliśmy sobie z Pawłem, że zawsze będziemy razem, że nigdy nie zafundujemy sobie nawzajem zdrady, że nasz związek będzie trwał ponad wszystko. Jesteśmy wierni tym postanowieniom już ponad

trzydzieści lat. Oboje nie lubimy się rozstawać. Nie wyobrażamy sobie rozłąki z powodu pracy za granicą albo pracy, która polega na długich pobytach poza domem. Paweł nigdy nie zostałby kierowcą tira ani nie wypływałby w dalekie rejsy. Ciężyła mu nawet poprzednia praca, bo zabierała mu weekendy, wieczory, a czasem noce. Od dnia ślubu nie miał potrzeby wypadów z kumplami na piwo. Wszędzie chodzimy razem. Odczuwamy ogromną radość z przebywania ze sobą. Inni robią biznesy, które pozbawiają ich urlopów na wiele lat i smakowania prawdziwego życia domowego, za to dają komfortową sytuację finansową. My mamy siebie kosztem komfortu finansowego. Nam to odpowiada, bo wiemy, że nie można mieć wszystkiego. Tak chcemy, tak lubimy i tak wybraliśmy, czego matka nie może znieść.

Od tej pory nie będę już rozmawiać z matką o moich wyborach, priorytetach – stawiam jej granicę.

Oczywiście ona tego nie zrozumie, jednak była to tylko i wyłącznie nasza z Pawłem sprawa. Prosta zasada, aż szkoda, że sama na to nie wpadłam. Poza tym matka nie ma nic ciekawego do zaoferowania, poza nowinkami z życia znajomych. I nie może stawiać mi za wzór niczego ze swojego życia, bo nie było w nim nic godnego podziwu.

Myślałam, że jestem wielką dziwaczką, bo czytam poezję, słucham niszowych zespołów i wciąż mam w sobie wiele z harcerki. Jestem romantyczką. Mówią, że romantyzm to choroba, a skoro tak, to jestem chora. Uważam, że romantycy łagodzą obyczaje. To chyba dobrze, prawda? W każdym człowieku jest ciut romantyzmu, tylko nie każdy się do tego przyznaje. Romantycy, jak trzmielce, powinni być chronieni prawnie – tak sądzi moja połowa gruszki, przyjaciółka z lasu.

Jestem wielką domatorką, kocham pielęgnować dom i wszystko wokół niego. Nie lubię go opuszczać, czuję się w nim kochana i bezpieczna, on jest tylko mój, zrobiony absolutnie po mojemu. Gubię się w obcych przestrzeniach. Nie cierpię pędu i tłumu, lecz nieraz nachodzi mnie ochota, żeby w nie wejść i pobycć anonimowo. Jedziemy wtedy gdzieś z Pawłem. Wracam zmęczona i naładowana tłokiem na wiele dni, miesięcy, po to, żeby znowu żyć swoim tempem, cieszyć się nim. Po powrocie na nowo odkrywam uroki swojego niespiesznego życia, doceniam go. Tu jest mi wspaniale, po dawnym cierpieniu zostają sny i żal, że wpojono mi, jaka

jestem bezwartościowa. Powoli odbudowuję swoją wiarę w siebie, choć zdaję sobie sprawę z długiej drogi, jaka mnie czeka. W mojej głowie wciąż trwa huśtawka emocji. Już prawie w siebie wierzę, tylko po to, żeby znowu zwątpić.

Okazało się, że nie tylko nie jestem dziwaczką, lecz osobą wręcz wartą zainteresowania i podziwu. Psycholożka uświadomiła mi, jak wiele osiągnęłam w życiu. Mimo braku wzorców mam bardzo uporządkowane życie rodzinne. Wiem, co lubię, pielęgnuję wszystko to, co sprawia mi największą radość, mam jasne priorytety. Za ostatnią złotówkę wolę kupić książkę niż chleb. Kiedyś myślałam, że to niegospodarność, dziś zaczynam dostrzegać swoje kaprysy, zwyczaje, wybory jako jedyną w swoim rodzaju osobowość. Z samą sobą ma mi być komfortowo. Po terapii wreszcie tak się zaczynam czuć.

Nigdy przedtem z nikim nie rozmawiałam w ten sposób. Żałuję, że dopiero teraz zdecydowałam się na porady psycholożki.

– Do wszystkiego trzeba dojrzeć – słyszałam wiele razy.

W końcu dojrzałam i zaufałam specjalistce. To też był mój wybór. Ważny, doskonały.

Dzięki terapii odkrywam na nowo moją starszą siostrę, Benię. Mało o niej wiem. Znałam ją przede wszystkim z krytycznych opinii matki. Pierwszy raz miło mnie zaskoczyła lata temu, gdy zachorowałam na boreliozę. Miałam rumień wędrujący, tak fachowo się nazywa objaw ukąszenia przez zakażonego krętkiem kleszcza. Wizja miesięcznego pobytu w szpitalu na oddziale chorób odzwierzęcych przerażała mnie. Wizja pustoszenia w organizmie, jakie nieleczona borelioza może uczynić, przerażała mnie stokroć bardziej. Szpital z odpowiednim oddziałem znajdował się w sąsiednim mieście. Pojechałam tam jak na ścięcie. Leczenie polegało na podawaniu kroplówki z antybiotykiem. Przyjmowałam ją regularnie co sześć godzin. Kolejne dni były niezwykle monotonne, pielęgniarka przychodziła zaaplikować mi lek o dwunastej, potem o osiemnastej, o północy i o szóstej rano. Co dzień, tygodniami, przez cały miesiąc. W dodatku moja skóra nie tolerowała wenflonu, inne pacjentki miały go przez wiele dni, ja wytrzymywałam trzy, góra cztery zastrzyki. Pielęgniarka długo wyszukiwała odpowiednie miejsca, wkrótce

cała byłam w siniakach i obolała. Paweł odwiedzał mnie, kiedy tylko mógł. Przytulał, pocieszał. Pewnego dnia usłyszałam moje nazwisko wywoływane na korytarzu. Każda wizyta wpływała na nas, chorych, kojąco. Mnie odwiedziła Bernadeta. Przywitała się ze mną ciepło, jakbyśmy się rozstały chwilę temu.

– Przyniosłam ci owoce i słodycze, bo wiem, że lubisz – powiedziała, podając mi torbę. – Masz też sok, ciastka, szynkę, kabanosy i świeżutką bułkę. I jogurty, macie tu jakąś lodówkę, prawda? A do czytania gazety. Pewnie się nudzisz, co?

Zaskoczyła mnie ogromnie i sprawiła wielką radość. Od kogo się dowiedziała, od matki? Nie zapytałam. Prędzej spodziewałabym się Justyny niż Beni. Wyszliśmy na dwór. Posiedzieliśmy na ławce w okalającym szpital parku. Był piękny letni dzień. Odwiedziła mnie siostra i to ta, z którą nie miałam dobrych relacji, właściwie żadnych. Jedyne w najwcześniejszych moich latach, ale to dawno temu przestało mieć znaczenie. Potem był między nami chłód. Długo i zwyczajnie rozmawialiśmy.

Nikt inny nie odwiedził mnie przez cały miesiąc, ani matka, ani Justyna. Było mi przykro.

Teraz znowu odwiedzamy się z Bernadetą. Pierwszy raz była u nas ze swoim mężem w maju. Był Dzień Matki i wspaniała pogoda. Siedzieliśmy przy kawie w ogrodzie. Zapamiętałam datę, ponieważ kurier przywiózł mi wtedy bukiet kwiatów od dzieci. Benia pstryknęła mi zdjęcie.

Powoli się poznajemy, uczymy się siebie od nowa. Ona często mnie zadziwia, pokazuje się od nieznanej mi dotąd strony. Jest ciepła i empatyczna. Powiedziałam jej, że po snach i dołączających mnie telefonach od matki mam depresję. Rozpłakałam się, a ona mnie przytuliła.

Jesienią zaprosiliśmy ją z mężem do nas na grzyby. Spędziliśmy niezapomniane chwile. Chodziliśmy po lesie, dużo rozmawialiśmy, wspominaliśmy. Benia zapoznała mnie z wieloma nowymi dla mnie faktami z naszego dzieciństwa. Jako starsza miała więcej wspomnień.

Ona jest powściągliwa w uzewnętrznianiu swoich uczuć i opinii, co nie znaczy, że coś ukrywa i kombinuje. Nie wolno tak pochopnie oceniać ludzi. Matka oceniała ją tylko powierzchownie, po spojrzeniu, wyrazie twarzy –

tak naprawdę nic o niej nie wiedziała. Na każdego tak patrzyła, nie zadawała sobie trudu, żeby poznać człowieka, i wiele na tym traciła.

Dostałam mail od Ani. Tym razem pisała o festiwalu teatralnym w Awinionie. Każdego lata można tam obejrzeć ponad tysiąc różnych spektakli wystawianych przez trupy z całego świata. Awinion na trzy tygodnie przeistacza się w największy na świecie teatr. Przyjeżdżają tam znane osoby ze świata kultury. Jest mnóstwo ludzi, imprez towarzyszących, wystaw, spotkań z artystami.

Gabi, następnym razem musisz przylecieć do nas latem. Pojedziemy do Awinionu, poczujesz klimat kultury i sztuki. Kocham tę imprezę, cała nasza rodzina ma świra na jej punkcie. Tym bardziej że mnóstwo przedstawień jest za darmo! Uwielbiam poczuć się częścią tego tłumu. Przyjeżdżają artyści z całego świata, nawet z Afryki. W tym roku myślą przewodnią jest poszukiwanie utraconej chęci życia. Dla widza to rozrywka, zabawa, ciekawość, ale dla aktorów to często być albo nie być, tak trudno jest zaistnieć w natłoku. Dlatego robią wszystko, żeby tylko przyciągnąć jak najwięcej osób na swój spektakl. Wśród publiczności są przecież przedstawiciele Ministerstwa Kultury, mnóstwo dziennikarzy, ludzi związanych z telewizją. Być zauważonym, dostać dobre recenzje to szansa na rozwój kariery. To prestiżowa sprawa.

Musisz, Gabi, to zobaczyć, koniecznie! Spotkanie średniowiecza ze współczesnością. I tę mieszaninę kolorów, języków i kultur. Pamiętasz ten plac z kawiarenką, gdzie wypisywałaś widokówki? Było tam pusto, a teraz są tłumy. Przylecisz w lipcu, prawda? Ukulturalnimy się razem, okej?

Okej, okej. Ania umie mnie zachęcić. Może za rok, kto wie? Poza tym mam wizję zwiedzania południa Francji. Lazurowe Wybrzeże nęci mnie szalenie. Anka wymienia nazwy miast, które zwiedzimy, nawet pewnej prywatnej wyspy. Chcę też zobaczyć Marsylię, bo do tej pory widziałam jedynie lotnisko i kobiety z obsługi o egzotycznej urodzie.

Jestem bardzo podekscytowana i znów szczęśliwa. Dopóki wyjazd jest w planach, cieszy mnie ogromnie, gdy walizy stoją spakowane, już mniej. Walizy motywują. Kupiony z dużym wyprzedzeniem bilet na samolot też.

– Leć sobie, leć! – cieszył się z mojej radości Paweł, który widział, jak dobrze mi zrobił pobyt u Ani.

– To za rok, zdążę się zastanowić.

– Przecież chcesz jechać. Odmiana dobrze ci zrobi, rozerwiesz się, zwiedzisz świat.

– Niby tak, tylko że ja tak bardzo nie lubię wyjeżdżać z domu. Zawsze się śmiałam ze znajomych goniących do tropików. Żeby za własne pieniądze prażyć się w trzydziestu kilku stopniach...? I co to za frajda leżeć nad basenem i pić drinki przez słomkę? To nie dla mnie. Połazić po górach, to rozumiem. Z tobą, z plecakiem. Spać w namiocie.

Uśmiechamy się oboje, bo wiele razy tak spędzaliśmy urlop. Najpierw we dwoje, potem z synami.

– Pamiętaj, że ja głosuję za Francją. Będę cię zachęcał, żebyś skorzystała z zaproszenia – podsumował rozmowę mój mąż.

Rozmarzyłam się, nawet zaczęłam szperać w internecie, szukać informacji o Lazurowym Wybrzeżu i czytać o miastach, którymi nęci mnie Ania.

Przypomniał mi się letni wyjazd sprzed kilku lat do Kazimierza nad Wisłą. Pojechałam tam z Pawłem i Mikołajem. Bogusz wtedy nie mógł. Żałowaliśmy, bo trwał festiwal filmowy. Nigdy nie zapomnę atmosfery panującej wówczas w miasteczku. Wspaniale się czułam, będąc częścią tłumu, chociaż zwykle przed nim uciekam. Na ulicach było mnóstwo kuglarzy, portrecistów i karykaturzystów, komików, szczudlarzy i grajków. Otaczały nas dźwięki skrzypiec, fletów, gitar. Gdzieś ktoś tańczył, dalej ktoś malował wspaniałe widoki nadwiślańskie albo rzeźbił na zamówienie, bo klient czekał. Wszędzie było mnóstwo młodzieży, ich niebanalne fryzury i stroje świadczyły o ich artystycznej duszy. W kawiarenkach gwarno, wesoło. Paweł nie był tak zauroczony jak ja, czuł, że mu za ciasno, za tłoczno. Ja byłam zadowolona. Lubię czasem poczuć się współtwórczynią takiego tłumu, żeby potem jeszcze bardziej docenić moją mazurską ciszę.

Zamyśliłam się o Awinionie... Jak wspaniale będzie poczuć klimat tamtejszego festiwalu teatralnego...

Moja radość skończyła się wraz z telefonem od matki. Jak zwykle od razu przeszła do sprawozdania, co u Justyny, u sąsiadów i innych jej znajomych. Jeśli chodzi o to, co u nas, interesowało ją tylko, czy są grzyby.

– Są. My jeszcze nie chodziliśmy zbierać, ale przy drodze do Olsztyna jest już pełno grzybiarzy, którzy sprzedają je przejeżdżającym turystom. Po tym można poznać, jak się ma sezon grzybowy w danej chwili.

– Ech, tam u was jest straszna bieda. Ludzie muszą handlować grzybami i jagodami. Do czego to podobne!

– Biedni są na całym świecie, mamo. Poza tym przydrożni handlarze nie zawsze zajmują się tym z biedy. Mazurskie lasy to eldorado dla grzybiarzy. Jeśli ktoś ma nadmiar, to sprzedaje.

– Ja tam nie lubię tych waszych okolic, Kurpie w ogóle źle mi się kojarzą. Kobiety chodzą w kwiecistych chustach jak za króla Ćwiczka, chłopcy tylko piją bez umiaru i te drewniane chałupy. Gdzie ty się wyprowadziłaś? Tam jest bieda z nędzą!

– O czym ty mówisz? Jakie Kurpie? Szczytno to Mazury! Nidzica, Pasym, Olsztyn też, nie wiesz o tym? A drewniane chałupy ze strzechą to już tylko w skansenie można obejrzeć! Alkohol jest znany na całym świecie, wszędzie ludzie piją. Ty powinnaś to wiedzieć najlepiej. Ja kocham to miejsce, tu znalazłam wymarzony spokój.

– Phi, tak gadasz, bo co innego masz powiedzieć, skoro tam mieszkasz? Zamieniłaś nowy dom na starą budę. Taką głupotę zrobiłaś. Straszna!

– Aha, już rozumiem. Wkurzasz się, bo nie masz się czym chwalić ludziom. „Córka wyremontowała stary dom między Pasymiem a Szczytnem” – to brzmi średnio. „Ma piękny, nowy dom w stylu kanadyjskim i to w mieście” – tak byś wolała, prawda? Wbij sobie do głowy, że ja nigdy nie pożałuję tej decyzji!

– Ja bym nie wytrzymała u ciebie ani jednego dnia. Ojciec też tak uważa. Kurpie czy nie Kurpie... Jedna znajoma powiedziała mi, że na tych terenach podczas wojny...

Przerwałam połączenie. Nie mogłam tego słuchać, nie chciałam z nią więcej rozmawiać. Przecież razem z moją psycholożką ustaliłam granice, za które matce był wstęp wzbroniony. Tymczasem tak łatwo pozwoliłam jej je

przekroczyć. Znow jestem zdołowana. Jej słowa powinny być dla mnie niczym, a ranią. „Co mnie nie zabije, to wzmocni” – powtarzam sobie. Akurat, rozmowy z matką nigdy mnie nie wzmocniają, jedynie podcinają mi skrzydła. Nagle Lazurowe Wybrzeże przestało mnie cieszyć. Tylko dlaczego? Przecież tyle już sobie uświadomiłam, przepracowałam. Prawda jest taka, że nie potrafię wdrożyć teorii w życie. Wiedza i praktyka jakoś nie chcą się spotkać na jednej drodze.

– Nie powinna się pani tłumaczyć matce – skrytykowała mnie psycholożka. No jasne, przecież ja się tłumaczyłam! – To, że Szczytno nie leży na Kurpiach, to jest tłumaczenie się. Pani Gabrysiu, przecież ustaliłyśmy granice, rozmawiałyśmy o nich. Kiedy matka wchodzi na teren, który dla niej jest zakazany, należy powiedzieć jej to spokojnie: „Mamo, nie chcę z tobą o tym rozmawiać”.

– Nie pomyślałam, że znow się jej tłumaczę.

– Spokojnie, nie od razu Kraków zbudowano. Powoli się pani nauczy. – Psycholożka uśmiecha się do mnie, wspiera na duchu.

– Mam nadzieję. Wreszcie muszę zacząć się kontrolować. Rozłączyłam się, bo czułam, że do niej znow nic nie dociera. Ona mi po prostu nie wierzy! W żadnej sprawie. Czy opowiadałam już pani, jak raz zadzwoniła z informacją, że Mikołaj jest u nich w mieście? Miała pretensje, że ich nie odwiedził. Tłumaczyłam jej, że musiała go z kimś pomylić, bo Mikołaj siedzi na naszej kanapie i czyta. Zarzuciła mi, że kłamię, bo przecież jej znajoma widziała go na ulicy. Uwierzyła obcej kobiecie, nie rodzonej córce!

Ta ostatnia wizyta u psycholożki dała mi do myślenia. Zastanawiałam się, czy ciągła krytyka mnie i mojego życia ma dla mojej matki jakieś znaczenie? Czy chciała mi tym coś udowodnić? Kiedyś myślałam, że tak, dziś jestem niemal pewna, że nie. Ona po prostu nie zastanawia się nad tym, co mówi, jak mówi i do kogo.

Gdyby któreś z naszych dzieci zamieszkało choćby w latarni morskiej czy starej wieży ciśnień, nie krytykowałabym tego. Ja bym w takim miejscu raczej nie zamieszkała, jednak gdybym usłyszała od syna, że tam jest szczęśliwy, cieszyłabym się razem z nim. Synowie często podejmują decyzje, które na początku mnie dziwią. Potem słyszę pasję

i podekscytowanie w ich głosie i jestem szczęśliwa razem z nimi. I mówię im o tym.

Moja matka czasem zachowuje się, jakby była złym człowiekiem, ale chyba zła na wskroś nie jest. Aha, i znów jej bronię. Dość tego! Dość szukania problemu w sobie, wiecznego tłumaczenia...

Wiele razy rozważałam, czy dla własnego zdrowia psychicznego nie powinnam zerwać z nią wszelkich kontaktów. Wtedy złe emocje miałyby szansę zniknąć. Moja psycholożka twierdzi, że nie jest łatwo oderwać się całkowicie od rodziny, nawet jeśli nie utrzymuje się z krewnymi żadnych stosunków. Matka i ojciec zawsze będą we mnie, bo to są moje korzenie, jestem z nimi zespolona. Muszę się nauczyć żyć z tą świadomością. Ale mogę to robić na odległość, nie spotykając się z nią i nie rozmawiając.

Tak więc od pięciu miesięcy między mną a matką trwa cisza. Nie dzwoniemy do siebie i jej nie odwiedzam. Spotykam się z koleżankami, z rodzeństwem Pawła (jego rodzice, niestety, już nie żyją). To nie znaczy, że o niej zapomniałam. Myślę, ale nie mam ochoty na kolejne konfrontacje.

Nie mamy dobrych relacji, taka jest prawda. I bardzo prawdopodobne jest, że ona też tak czuje.

Jestem wolna. To niesamowite uczucie. Do tej pory macki mojej rodzicielki sięgały do Szczytna, ale to się skończyło. Jest mi lekko. Jest mi wspaniale.

W roku, w którym zrobiłam porządki w mojej głowie, rodzice obchodzili okrągłą rocznicę ślubu. Matka wspominała o tym już wiele miesięcy temu. Planowała rodzinne spotkanie w lokalu.

– Mamo, nie mam ochoty fetować waszego święta – uprzedziłam ją jednego z ostatnich dni, gdy jeszcze telefonowałyśmy do siebie. – Niby co chcesz świętować? Dziesiątki lat bicia, wyzywania i poniżania? Wybacz, lecz dla mnie jest to zupełnie niezrozumiałe, nawet komiczne. I wiesz co? Wcale mi nie jest przykro, że nie będę brała udziału w tej farsie. Musiałabym się zmusić, a odkąd się usamodzielniałam, nie zmuszam się do niczego. Robię tylko to, co mi podpowiada serce – tak jej wygarnęłam.

Nie wiem, co postanowiła, nie interesuje mnie to. Niech świętują, ja nie mam czego.

Kocham ją i nienawidzę równocześnie. Które uczucie jest silniejsze? Po równo. Po tym stwierdzeniu wyjęłam z lodówki jajka. Upiekę jabłka w biszkopcie.

Patrzę na moje dzieci i wnuki. I znowu porównuję to, co widzę, z tym, jak miałam kiedyś ja. Pewnego ranka Monika spytała Nelkę, co chce na śniadanie.

- Palówkę z kecupem – odpowiedziała mała.
- Parówkę jadłaś wczoraj, dziś trzeba zjeść coś innego.
- Ale co?
- Musli z mlekiem. Jajecznice. Kakao i kanapeczkę – wymienia synowa.
- Chcę jajko.

Mnie nikt nie pytał o takie rzeczy w dzieciństwie. Pewnie w większości domów dzieci jadły to, co matki im podawały. Najgorzej wspominam śniadania nabiałowe, na widok zup mlecznych czy ciepłego mleka w kubku miałam odruch wymiotny. Wstręt przed daniami mlecznymi mam do dziś. Przypomina mi się matka, krzycząca, że mam pić mleko, bo zdechnę. W szkole na długiej przerwie piliśmy mleko. Żeby to jakoś przetrwać, wymyśliłam, że spróbuję pić kakao. Brałam do szkoły kakaowy proszek zmieszany z cukrem, bo wtedy nie znaliśmy rozpuszczalnego w granulkach. Kucharka nalewała mi do kubka gorące mleko, ja energicznie mieszałam i piłam ze wszystkimi. Staralam się, lecz na dłuższą metę mleko mnie pokonało.

Dziś wiem, jak ważne są pozytywne słowa skierowane do dziecka. Wszystkim to powtarzam. Namawiam znajomych, żeby mówili dzieciom, że je kochają, że są z nich dumni i że w nie wierzą. Takie słowa budują w dziecku poczucie wartości i więź z rodzicem. Mnie ich zabrakło. Nigdy nie czułam, że ktoś w domu jest ze mnie dumny. Zawsze, i tak zostało mi do dziś, czułam się niekochana. Mam wielką pustkę w miejscu przeznaczonym na miłość matki. To białe plamy w mojej głowie. W mózgu. W sercu. Znam każdy rodzaj miłości, oprócz tej jednej. Ojcowskiej też nie posmakowałam, lecz nie cierpię z tego powodu. Może dlatego, że od lat jestem otoczona trzema chłopcami mojego życia i jestem wysycona ich miłością?

Na ojcu mi nie zależy, to od matki oczekuję, że się zmieni. Dlaczego ona nie chce się postarać? Czy w ogóle o tym myśli? Czy mnie kocha... Kochała? Dlaczego nic jej się we mnie nie podoba? Nienawidzi mnie...? Uświadamiam sobie, że to może być prawda.

– Nie noś takich krótkich sukienek, masz nogi jak patyki. – Wiele razy to słyszałam. – Włóż coś na tę twoją chudą szyję, szal albo chociaż korale. Wyglądasz jak oskubana kura z takim dekoltem. – Tekst numer dwa. – Czemu nie nosisz pierścionka ode mnie? – dopytywała za każdym razem, jak gdzieś wychodziliśmy.

– Przecież wiesz, że z biżuterii noszę tylko obrączkę. Nie lubię się w błyskotkach!

– Głupoty gadasz, powinnaś nosić. Kobiety noszą biżuterię.

– To zachwycaj się nimi, bo ja nie zamierzam cię zadowalać na siłę.

Moje rozmyślania przerwał dźwięk komórki. Idę po nią i widzę SMS od Beni. Pisze, że mam zajrzeć do poczty, bo coś mi wysłała. Idę od razu, zaciekawiona, niecierpliwie się, gdy komputer powoli pracuje. Wreszcie się loguję, otwieram i czytam list od mojej siostry. Raz. Potem jeszcze raz. Śledzę tekst i czuję, że to moje słowa, że czytam samą siebie. To moje przeżycia, moje myśli, dzieciństwo.

Często wracam do tamtej rzeczywistości. Wiele razy płaczę, porażona wspomnieniami. Dzieciństwo powinno się kojarzyć z bez troską, zabawą z rodzicami i rodzeństwem, spacerami, czytaniem bajek na dobranoc, a zwłaszcza z lawiną czułych słów, pochwał. Niestety, moje dzieciństwo nie kojarzy mi się z tymi przyjemnościami. Moje dzieciństwo to łańcuch niekończących się koszmarów, płaczu, strachu, stresu. Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. W trudnych chwilach nie mogliśmy liczyć na pomocną dłoń drugiego, mamy czy taty. Tak zostaliśmy ukierunkowani przez rodziców... Byłam pierwszym dzieckiem, a nie pamiętam żadnych ciepłych słów... Zawsze się czułam i nadal czuję poza nawiasem. To wszystko zdarzyło się wiele lat temu, jednak czas nie złagodził bólu, nie zbliżnił ran. Próbowалам zapomnieć o pijackich wyskokach ojca, o jego nieprzytomnych oczach. Marzyłam, że może kiedyś się zapije na śmierć, a tu nic, ciągle nic. Ciekawe, czy gdy nadejdzie jego czas, znajdzie się ktokolwiek, kto poprawi

mu poduszkę pod głowę. Czy on czasami zastanawia się nad tym, co nam zrobił? Bo ja o tym myślę i widzę wszystkie dzieci koło siebie. A on?

Mail był długi. Płakałam, czytając go. Benia pisała o przepaści bez mostu między nami, rodzeństwem. O wielkiej potrzebie wzajemnego kochania się. I że nie wierzy w zmianę, bo za bardzo się od siebie oddaliliśmy. Winiła za to rodziców. Ona tak samo jak ja nie ma żadnych miłych wspomnień, no, może poza jedną czy dwiema Gwiazdkami.

Do tej pory żyłam w przeświadczeniu, że tylko ja wszystko przeżywam tak głęboko, tak długo i wciąż. Tymczasem okazało się, że Bernadeta też. Jeszcze tego samego dnia do niej zadzwoniłam. Długo rozmawiałyśmy.

– Beniu, czytałam mail od ciebie i to było, jakbym siebie czytała. Nie miałam pojęcia, że mamy tak samo, te same myśli, ten sam żal, ten sam ogromny głód kochania – zaczynam.

– Wiesz, że ojciec nie był na moich chrzcinach? – pyta Bernadeta.

– Coś mu dolegało czy co?

– Nie. Tamtego dnia pojechał z kolegami na wyścig kolarski. Nie jako kibic, on sam brał udział, ścigał się.

– Żartujesz?! Przecież byłeś jego pierwszym dzieckiem. To się nie mieści w głowie! – krzyczałam.

– Ale to prawda, wybrał kolegów. Wolał ich niż moją uroczystość.

– Właściwie sama nie wiem, dlaczego mnie to aż tak dziwi. Zawsze był egoistą, nadal nim jest. – Egoistów Pan Bóg karze. Ojciec wywalił się wtedy na rowerze i strasznie się potłukł. – Skąd to wszystko wiesz?

– Babcia mi powiedziała. Zresztą w rodzinie wiele osób znało tę historię.

– Cholernie to smutne. Nie wiedziałam o tym.

– Niestety, tak było.

– Jakim trzeba być ojcem, żeby pierwsze dziecko przegrało z głupim wyścigiem? Jak nam się urodziły bliźniaki, świata poza nimi nie widzieliśmy. Wszystko nagle stało się mało ważne. Cały mój i Pawła świat zaczął się kręcić wokół chłopców.

– Wiele jest takich wspomnień, które skutecznie i coraz bardziej oddalały mnie od matki i ojca. Powiedziałaś mi kiedyś, Gabi, że matka

uważa mnie za osobę zamkniętą w sobie, skarży się, że nic jej nie mówię o sobie, o mojej rodzinie. Komu mam opowiadać o swoich problemach i z kim się dzielić radościami? Z matką, której nie znam...? Ona też mnie nie zna. Nie chciała mnie, gdy byłam niemowlęciem. Nigdy się mną nie interesowała. Przed ślubem zamieszkałam u rodziców Jaśka, wtedy jeszcze mojego chłopaka. Nigdy, nawet już po naszym ślubie, nie zainteresowała się, jak mi jest u teściów, czy mam co jeść, czy jestem szczęśliwa, czy teściowie są dla mnie dobrzy, w końcu to obcy ludzie. Przecież ja wtedy dopiero co weszłam w pełnoletność! Matka jest dla mnie obcą osobą. Ona widzi tylko to, co chce zobaczyć, nie zagłębia się w szczegóły.

Nigdy nie widziałam Beni śmiejącej się głośno i beztrudnie. Moja siostra zwykle się lekko uśmiecha. Ja potrafię rzeć jak koń, aż na drugi dzień mam zakwasy mięśni. Śmieję się do bólu brzucha, do posikania, naprawdę. U niej nigdy tego nie widziałam. Może w innym towarzystwie jest bardziej wyluzowana? Niemożliwe, Bernadeta ma smutek w oczach. Jest smutna.

Pewnego lata próbowałam ją ściągnąć do nas razem z mężem.

– Musicie zobaczyć moje Szczytno. Czy wiesz, że to miasto rodzinne Klenczona, są tu miejsca mu poświęcone. Pomnik, grób na cmentarzu, przecież zawsze ceniłaś jego muzykę... A mówiłam ci, że przez Szczytno przebiega południk 21°E, ten sam co przez plac Teatralny w Warszawie? Czyli to metropolia. Zrobimy ci fotkę w miejscu jego przebiegu. Leży tam kamienny obelisk. Tylko obejrzyj na świeżo *Krzyżaków* Sienkiewicza. Obiecuję, że w Szczytnie przypomną ci się wszystkie sceny z filmu. Pójdziemy nad jezioro. No, daj się namówić, przecież nigdy nie byłaś w Szczytnie, nawet przez nie nie przejeżdżałaś. A podróże kształcą, prawda?

– Mówisz już „moje Szczytno” – zauważyła Benia.

– Mówię, ale nie pamiętam od kiedy. Chyba od kilku lat. Mam przyjaciółkę, obie mieszkamy tu tak samo długo i obie się zastanawiamy, od kiedy nazywamy Szczytno „naszym miastem”. I nie wiemy. Samo przyszło, niezauważalnie.

Koryguję całą moją wiedzę o najstarszej siostrze. Bernadeta jest bardzo ciepłą i rodzinną osobą. Czuję, że między nami rodzi się to, co powinno być od zawsze, od dzieciństwa. Minionych lat nie odzyskamy, nie nadrobimy,

lecz jeszcze wiele ich przed nami. Wszystko zależy od nas. Poznaje czwórkę jej dorosłych już dzieci. Opowiada mi o nich, o wnukach, ja jej o swoich chłopcach. Słucha mnie uważnie i sama rozgryza, jak bardzo Mikołaj i Bogusz się różnią. Cieszę się dobre relacje z nią. Smucę stracone lata. Pokazujemy sobie rodzinne fotografie. Wypytyjemy o szczegóły. Czuję, że Benia ma do mnie zaufanie. Opowiada mi o swoich problemach. To cieszy mnie najbardziej. Teraz brakuje mi jeszcze Kuby i Justyny. Złamana rodzina, jak gałązka. Słaba, bo każdy osobno, a gdybyśmy byli razem, nic by nas nie ruszyło.

– Gabi, hej, mam dla ciebie dwie wiadomości, wspaniałą i zwyczajną. Od której zacząć? – To dzwoni Koniarka, moja przyjaciółka z lasu.

– Nie wiem – odpowiadam.

– Oj, Gabi, tak nie można, musisz zdecydować. Nie jesteś już małą dziewczynką.

– Od wspaniałej – wybieram.

– Za miesiąc lecimy do Londynu! – krzyczy w moje ucho tak głośno, że aż odsuwam komórkę.

– To cudownie, naprawdę bardzo się cieszę. Zamówię u ciebie coś z Wysp. Kubek z Big Benem, okej?

– No coś ty, Gabi. Ty i ja, obie lecimy. Same!

– Słucham? Dokąd? – Wciąż nie rozumiem.

– Do Londynu, do mojego syna.

– O matko, coś ty znowu wymyśliła? – denerwuję się.

– Przyjadę do ciebie jutro, obgadamy szczegóły.

– Ja nie lubię wyjeżdżać...

– Ja też nie, a dwa minusy dają plus – śmieje się Grażyna.

– A ta druga, zwyczajna wiadomość? – upominam się.

– Racja, zupełnie zapomniałam. Twój Pawełek musi zostać sam na kilka dni. To pa, do jutra.

I tyle jej było.

No i lecimy do tego jej Londynu. Namówiła mnie.

– W listopadzie bilety są bardzo tanie. Za stówkę polecimy w obie strony – przekonywała mnie dotąd, aż jej uległam.

Mamy bilety kupione przez internet. Gdy dostałam je do ręki, pierwszą moją myślą było, że najlepiej żebym szybko z nich zrezygnowała. Przyszło mi też do głowy, że chętnie podzieliłabym się tą wiadomością z matką – byle nie z moją. Hej, nie mam innej! A przecież psycholożka mnie ostrzegła: „Akceptacji szukaj u przyjaznych osób”...

Londyn, niesamowite miasto. Prawdziwe serce Europy. Tyle tu kultur, języków, obyczajów. Zwiedzamy miejsca, do których wstęp jest darmowy. W British Museum jestem pod wrażeniem liczby eksponatów, i to jakich! Miliony bezcennych rzeczy z całego świata. Takie miejsce i za darmo? U nas każde, nawet najmniejsze wiejskie muzeum jest płatne. Wśród antycznych mumii i rzeźb przemieszczają się tłumy, rozrabiają szkolne wycieczki. Eksponatów jest tyle, że nie da się zatrzymać przy każdym, bo dnia za mało.

Siadamy, zmęczone, na największym, zadaszonym dziedzińcu Europy, pijemy espresso. W maleńkich filiżaneczkach centymetr kawy. Wspaniałe.

– Mogłyśmy zamówić podwójne.

– Myślałam, że małe to jak nasze małe polskie kawki – tłumaczę się, choć obie wybrałyśmy to samo.

– Królowa Elżbieta była na otwarciu tego dziedzińca. Przezroczysty dach jest cudowny, prawda? O ile dobrze pamiętam, składa się z ponad półtora tysiąca szklanych paneli. I nie znajdziesz dwóch identycznych. – Grażka jest przygotowana. – Gabi, czujesz to, ten wielki świat?

– Wszystko jest piękne, jedyne, niepowtarzalne, ale nasze Mazury też są jedyne na świecie – odpowiadam.

– Ma się rozumieć! – Śmiejemy się. – Posłuchaj przez chwilę tłumy. Słyszysz, ile wkoło polskiej mowy?

– Bo pod względem popularności język polski jest tu drugi, zaraz po angielskim. Tylu tu naszych.

Zaplanowałyśmy tego samego dnia zwiedzić National Gallery, największą galerię obrazów w Wielkiej Brytanii. Wykupiłyśmy całodniowy

bilet na metro i autobusy. Możemy wsiadać gdziekolwiek i do czegokolwiek.

– Nareszcie zobaczę na żywo *Słoneczniki* Vincenta van Gogha.

– Van Gogh, Rembrandt, Leonardo da Vinci, Pablo Picasso i my wśród tego wszystkiego... Dziękuję, droga połówko gruszki. – Cmoknęłam przyjaciółkę z radości.

Po całym dniu ledwo żywe, ale szczęśliwe, wróciliśmy autobusem do domu. Autobus był czerwony, piętrowy, jak ze zdjęcia. Na kolejny dzień i na następne miałyśmy jeszcze mnóstwo planów.

Przede wszystkim marszruta nad Tamizą.

Na London Eye, symbol nowego tysiąclecia, popatrzymy tylko z dołu, bo obie doskonale wiemy, że za Chiny Ludowe nie damy się zawieźć w przestworza jedną z ponad trzydziestu szklanych kapsuł. Z góry można oglądać panoramę Londynu w promieniu czterdziestu ośmiu kilometrów, a to dla nas stanowczo za wysoko.

Czekał nas też jeszcze spacer po Tower Bridge, mnóstwo zdjęć w różnych pozach i z najróżniejszymi atrakcjami w tle.

Potem kurs na Oxford Street, najbardziej zatłoczoną ulicę handlową Europy.

Tam wsiądziemy w autobus numer trzysta trzystaście. Na ostatnich nogach wgramolimy się na piętro, żeby każdą okazję wykorzystać na zwiedzanie. Jak to dobrze, że trzysta trzynastka dojeżdża pod sam dom syna Grażki!

W sobotę wszyscy pojechaliśmy do Royal Air Force Museum. Szkoda, że Paweł tego nie widział, dla niego to dopiero byłaby gratka. Historia światowego lotnictwa od pierwszego samolotu po czasy współczesne. Oryginalne samoloty, balony, lotnie. Dużo czasu poświęciliśmy pięćdziesięciometrowej ścianie, przedstawiającej w chronologicznej kolejności najważniejsze wydarzenia w ponadstuletniej historii lotnictwa. Znaleźliśmy też polskie akcenty: bitwa o Anglię, nasz słynny dywizjon 303. Na końcu ściany czasy współczesne. Zniszczenie World Trade Center.

Wszystko jest niezwykle ciekawe, w takich miejscach powinny się odbywać lekcje historii. Anglicy najwyraźniej na to wpadli, bo w RAF

Museum jest mnóstwo szkolnych wycieczek. Tu też zwiedzamy za darmo, choć eksponaty są unikalne, jedyne na świecie. W muzeum jest mała sala kinowa. Poszliśmy na krótki film. Pierwszy raz widziałam film z takimi efektami: z zapachami, deszczem kapiącym na nasze głowy i trzęsącymi się fotelami. Po filmie poszliśmy na kawę w cenie biletu do maleńkiej kawiarenki tuż obok kina.

Po południu syn Grażki zabrał nas do Windsoru. Potęga zamku dosłownie biła po oczach. Nie wiedziałam, że jest to największy zamieszany zamek na świecie. Za to czytałam, że powierzchnia jego podłóg wynosi czterdzieści pięć tysięcy metrów kwadratowych. I że cała budowla ma osiemset metrów długości i aż dziewiętnaście baszt! Historia i tradycja były z każdego kamienia. Czy jest coś równie dostojnego w budownictwie? Do tego małe miasteczko, senne o tej porze roku i czystutkie. Zrobiliśmy mnóstwo zdjęć. W drodze powrotnej zajechaliśmy na Wembley, żeby choć rzucić okiem na stadion, jeden z najnowocześniejszych obiektów tego typu na świecie. I najdroższy. Tu też żałuję, że nie ma Pawła, że nie widzi tego, co ja. Napisałam do niego SMS:

Cześć, skarbie. Jestem w miejscu, w którym Tomaszewski zatrzymał Anglię 😊 Pogoda wspaniała, chodzimy w samych sweterkach. Wszystko jest wspaniałe, tylko Ciebie mi brak. Pa, całuski.

Wracaliśmy pod wieczór do domu, wspominając wszystkie atrakcje. Było cudownie, a tak nie chciało mi się tu przylecieć. Nie żałowałam, że moja połowa gruszki mnie namówiła na tę wyprawę.

– Gabi, co najbardziej rzuciło ci się w oczy? Wiesz, chodzi mi o pierwsze wrażenia – dopytywała Koniarka.

– Pierwsze wrażenie było już na lotnisku: wypasione limuzyny. Wszystkie eleganckie, wielkie i przeważnie czarne – odpowiedziałam. – Potem na mieście szok, bo piosi nie zwracają uwagi na czerwone światła. Jak nie ma aut, leżą na czerwonym, mimo że tuż obok stoją policjanci. Policja przyjazna ludziom, to dopiero robi wrażenie! I jest coś jeszcze, coś czego nie potrafię nazwać...

– To znaczy?

– Hm... poczucie bezpieczeństwa? Wszystko jest dla ludzi, dla mnie też. Wszędzie, gdzie zajdę, jestem mile widziana, jakby na mnie czekali, rozumiesz? W sklepach, kawiarniach, muzeach, na poczcie. Wszędzie jesteśmy witane z uśmiechem. Wszystko mi wolno, a jak coś zrobię nie tak, jestem po prostu grzecznie i przyjaźnie poinformowana. W Londynie czuję się ważna. Ci, którzy pracują, zachowują się tak, jakby mieli płacone za słuźenie innym. W dodatku doskonale o tym wiedzą i pracują z radością. Gołym okiem widać, że zdają sobie sprawę z tego, że mają zatrudnienie dzięki tym, którzy do nich przychodzą. Podoba mi się to. Mentalność. Kultura. Rozumiesz, co mam na myśli?

– W metrze pachnie różnymi perfumami. Czulaś to? Jak sobie przypomnę zapachy w naszych autobusach, to... fuj! Pot zmieszany z wonią skarpet i wczorajszego alkoholu. Można dostać odruchu wymiotnego. Nie jest regułą, ale często bywa. I codzienna gazeta jest darmowa, i plan metra. Ludzie, jadąc po pracy do domów, czytają gazety, potem wrzucają je do specjalnych koszy. Czy w naszej stolicy też tak jest?

– W Windsorze, gdy kupiłyśmy dwie widokówki, pani w sklepie włożyła je do papierowej torebki. U nas podadzą ci kartki, nie martwiąc się, że może akurat zjadłaś łapą tłuste chipsy.

– W ogóle w każdym sklepie zakupy podajesz kasjerowi w koszyku i o nic się nie martwisz. On kasuje, pakuje w papierową torbę z solidnymi uchami, odpowiednią do wielkości zakupionych towarów. Mówi, ile masz do zapłaty, płacisz, wkłada paragon do torby i dopiero kładzie ją przed tobą. I ta cholerna torba nie ma prawa ci pęknąć na przejściu dla pieszych!

– Za to u nas każdego klienta pytają, czy doliczyć mu reklamówkę za dziesięć groszy. – Roześmiałyśmy się obie w głos. – I tak naprawdę to jest życiowa kwestia: czy za dziesięć groszy doniesiesz zakupy do samochodu?

– A w dużych marketach musisz się uwijać, inaczej zmęczona kobita na kasie załaduje na twoje niespakowane paczki zakupy następnego klienta.

– Dwa światy... – Zamyśliłam się. – Chciałabyś tu zamieszkać? – pytam Grażkę.

– Mogłabym. Ostatnio pociągają mnie wielkie miasta, i to bardzo. Posmakowałam życia w lesie, może czas na zmiany?

– Skoro nie przywiązujesz się do miejsc, a świat stoi przed nami otworem, możesz zamieszkać, gdzie tylko zechcesz.

– Gabi, zauważyłaś, że w Londynie nie ma psów i kotów?

– No właśnie, przez te kilka dni tylko raz spotkałyśmy w parku pana z pieskiem na smyczy. Za to kosze na psie kupy stoją co krok. Trawniki czystościutkie, ludzie rozkładają na nich koce w słoneczne dni...

– Może w zamian mają szczury?

Mogłybyśmy tak rozmawiać i porównywać bez końca, ale stwierdziłyśmy, że czas iść spać. Jutro czeka nas kolejny intensywny dzień. Chciałyśmy jeszcze pojechać pod pałac Buckingham, potem choć zerknąć na dom rodzinny księżnej Diany, który na szczęście jest niedaleko, no i zrobić zakupy. Każdemu muszę coś kupić. Pawłowi, synom, wnuczkom. No i sobie, bo na razie mamy tylko drobiazgi.

Dni w Londynie pędziły tak szybko, tydzień zleciał w mig. Koniarka stwierdziła, że nacieszyła się synem, synową, wnukiem na trzy miesiące, góra cztery, więc wczesną wiosną ponownie do nich przyleci.

Paweł przyjechał po nas na lotnisko. Ależ się za sobą stęskniliśmy. Uściskom nie było końca.

– Nie lubię bez ciebie wyjeżdżać, ale jestem zadowolona. Tyle zobaczyłam, że nie wiem, jak długo potrwa opowiadanie i pokazywanie zdjęć – paplałam, trzymając go za rękę.

– Długa zima przed nami, długie wieczory – roześmiał się Paweł. – Będzie na to mnóstwo czasu.

W Polsce jest zimno. Odczuwałam różnicę temperatury i czasu – tylko jedna godzina, a daje o sobie znać. Przywiozłam Pawłowi czapkę z flagą Wielkiej Brytanii i różne herbaty w blaszanych pudełkach z najbardziej rozpoznawalnymi symbolami Londynu: budką telefoniczną i mostem wieżowym. Dzieciom też przywiozłam herbaty, kubki, breloczki. Dla Justyny, Bernadety i Teresy notesy z symbolem Londynu na okładce i długopisem. Matce – nic.

Nagle zrobiło mi się smutno. Szkoda, że tak między nami jest, boli mnie to, dolega jak choroba. Niedawno stwierdziłam, że bez niej jest mi lekko, czuję, że jestem wolna. Z jednej strony tak, z drugiej...

Mojej matki nie potrafię zaakceptować. Gdybym tylko zaczęła jej opowiadać, że byłam w Londynie, zaraz by powiedziała, gdzie była Justyna albo jakaś jej znajoma. Dam sobie spokój z dzieleniem się z nią moimi radościami. Londynem dzielę się z dziećmi, Teresą i Anią, przyjaciółką z Francji.

Dowiedziałam się, że mam syndrom DDA. Nigdy wcześniej nie myślałam, że jestem dorosłym dzieckiem alkoholika. Większość książkowych objawów DDA zebranych w punktach wygląda tak, jakby ktoś je spisał po przeprowadzeniu ankiety ze mną.

Matka nie piła, on pił za nią i za nas wszystkich. Wypijał statystyczną ilość alkoholu za wielu niepijących.

Co znaczy być DDA? Przede wszystkim to, że dzisiejsze relacje z innymi i różne wydarzenia przeżywam i interpretuję przez pryzmat traumatycznych doświadczeń z dzieciństwa. Prościej: mam pokręcone życie. Tkwię w przeszłości, chociaż tego nie chcę.

Już nie dziwi mnie bardzo silna więź z matką. To też cecha syndromu DDA. Choć kontakty z nią nigdy nie układały się dobrze, bo nie potrafię z nią rozmawiać i niechętnie do niej jeżdżę, to nasza więź jest niesamowicie mocna. Przywiązanie i nienawiść, taki miks uczuć do niej. Nie wyobrażam sobie, żebym kiedyś musiała się nią opiekować. Każdy mój przyjazny gest przywołuje okropne przeżycia z dzieciństwa. Jakby moje całe wnętrze buntowało się przeciw dawaniu dobra za zło. Gabi i Gabriela to dwie skrajnie różne osoby w jednym ciele.

Przez wiele lat pracy zawodowej miałam bardzo dobrą opinię. Koledzy chcieli ze mną pracować. Radziłam sobie doskonale z wszelkimi nowinkami, z dodatkowymi zajęciami. Utrzymywałam przyjazne relacje. Ludzie mogli na mnie polegać, dawali mi do zrozumienia, że jestem kompetentna. Jednak w kontaktach z nimi miałam poczucie niższości. Ono było we mnie. Nadal jest. Jak mogę być z siebie dumna, skoro widzę się jedynie oczami matki i ojca? Wykonany przez nich mój wizerunek tkwi w mojej głowie, jest ze mną nierozdzielnie złączony. To moje wiano, portrecik naszpikowany niepokojem, smutkiem, brakiem wiary w siebie.

Swoje dorosłe życie ułożyłam według planu z młodzięcych marzeń. Jestem z niego zadowolona, wszystkie punkty odhaczyłam jako wykonane.

Wspaniały mąż, dobre, mądre, samodzielne dzieci. Dom, jaki lubię, niemal bez szkła i metalu, za to z ukochanymi starociami, przytulny. Relacje z dziećmi i synowymi – wspaniałe. Czasem nie dowierzam, że od opuszczenia domu matki mam tak, jak zawsze chciałam mieć. Aż ciśnie mi się na usta przesadne określenie – poetyckie, nadużywane – że mam je usłane różami. Paweł uważa, że z tymi różami to żadna poezja, bo naprawdę chylą pąki do moich stóp, gdy idę ścieżką w ogrodzie. Jest nimi obsadzona i latem stąkam po pachnących płatkach.

Myślałam, że tak się zdarza jedynie w powieściach i filmach romantycznych. Mam tak w rzeczywistości. Ale mimo wszystko jestem DDA, co dzień borykam się z efektami tego syndromu. Mam problemy z realizacją większości planów. To dzięki Pawłowi w naszym życiu zachodzą zmiany. Sama niczego do końca nie doprowadzam.

Oceniam się bezlitośnie i nader poważnie. Ciągłe poszukuję potwierdzenia i uznania, i dręczy mnie myśl, że różnię się od wszystkich. Moje wahania co do słuszności decyzji trwałyby bez końca, gdybym nie usłyszała potwierdzenia od kogoś. Wiem również, dlaczego boję się ludzi, zwłaszcza przedstawicieli władzy, urzędników. Boję się odrzucenia, ośmieszenia, gniewu. Nie radzę sobie z porażkami. A moja impulsywność? Do tej pory tłumaczyłam sobie to jako pozytywną cechę, jako spontaniczność. Najpierw robię, potem myślę. Taka niby beztraska, nawet miła, lecz to, co następuje po niej, mnie wykańcza. Myślenie mnie wykańcza. Potrafię rozmyślać dniami, tygodniami, tłumaczyć się przed samą sobą, domyślać skutków tego, co zrobiłam w porywie. Wnioski zawsze są przytłaczające.

Nawet jeśli odniosę sukces, mierzę go liczbą otrzymanych pochwał. Czy naprawdę nie umiem się cieszyć inaczej? Uczę się cieszenia się dla samej siebie. Matka już nie jest mi potrzebna do dzielenia się moją radością. To ważny krok. Jeszcze wiele razy przewijała mi się przez głowę myśl o informowaniu jej o swoich sukcesach, ale wyzbywam się tego. Zawsze z wielką radością dzwoniłam do niej, kiedy mieliśmy jakieś ważne wydarzenie, choć wiedziałam, że nie znajdę u niej aprobaty ani zainteresowania. Od jakiegoś czasu nie mam już takiej potrzeby. Albo wmówiłam sobie, że nie mam.

W zdrowej rodzinie jej członkowie przestrzegają ustalonych reguł. To zasady, które dają dzieciom poczucie bezpieczeństwa. Rodzice stawiają wymagania dzieciom i sami potrafią się dostosować do ustalonych reguł. Wówczas są pozytywnym przykładem. W takiej rodzinie każdy ma prawo do wypowiedzania swoich myśli i poglądów. Ma pewność, że zostanie wysłuchany. Rodzinne problemy nie są przemilczane, lecz wspólnie rozwiązywane. Tak samo razem podejmuje się różne decyzje. Jest wzajemny szacunek. W takich rodzinach wzrastały moje koleżanki. Moja rodzina była dysfunkcyjna, bez zasad, przede wszystkim z przemocą – fizyczną i bierną, jaką jest emocjonalny chłód.

Codziennie oglądałam konflikty rodziców. Przeżywałam je głęboko. U nas wszelkie reguły były zaburzone, przeważnie w ogóle nie istniały. W efekcie wciąż żyję z własną nadkontrolą, nadodpowiedzialnością, z lękami, przeważnie irracjonalnymi. W ciągłym pesymizmie, perfekcjonizmie. Boję się porzucenia, odrzucenia, utraty czegoś. Śnię koszmar, że Paweł odchodzi, że tracę harmonię, w której żyję. Ona ma dla mnie największą wartość.

Oto ja. A raczej mój portret namalowany przez matkę i ojca. Znam ten portret, te cechy, ale byłam pewna, że to dotyczy Gabrieli, nie mnie – Gabi. Naiwne myślenie, bo Gabi plus Gabriela to ja, jedna osoba...

„I co teraz będzie? Co dalej?” – myślałam. Dalej jest odseparowanie się od matki i budowanie swojej autonomii. Pogodzę się z tym, co się wydarzyło, bo to nie zależało ode mnie, bo byłam zmuszona w tym tkwić. Zaczę budować własne fundamenty. Stanę się JA, z poczuciem własnej wartości, z samoakceptacją i zaufaniem do siebie. I nareszcie wezmę odpowiedzialność za wszystko, za swoje życie. Przestaną się zasłaniać domem rodzinnym, obarczać go winą, bo tak najprościej. Przede mną praca nad sobą, którą zaczęłam. Dam radę, czuję w sobie wielką chęć utarcia Gabrieli nosa. Bo wciąż nie dowierzam, że ja i ona to jedno. Ja jestem Gabi, pewna siebie kobieta, która wie, czego chce. Ja wszystko mogę! Dam radę! To ona jest słaba, nie ja. Muszę tak myśleć, głęboko utrwalić tę myśl. Nadchodzi era Gabi...

Matka wciąż przewija się w moich codziennych myślach. Jaka byłaby bez ojca? Naprawdę nie dałaby sobie rady? Z najwcześniejszych moich lat

nie pamiętam, żeby mnie biła. Nawet klapsa od niej nie pamiętam. Była piękna, wesoła i wciąż coś nuciła. Przez ojca stała się agresywna.

Najbardziej zaskoczyło mnie to, że kiedy wreszcie pogodziłam się z tym, że nie muszę ciągle szukać akceptacji swojej matki, że nie zmienię przeszłości, dobre wspomnienia wróciły same. Pojawiły się jak królik z kapelusza, czasem tylko podszyte nutką goryczy. „Więc jednak moje dzieciństwo miało jasne dni” – zaczęłam myśleć z ulgą. Cieszyłam się każdym dobrym momentem, który mi się przypominał, z pełną świadomością, że to były chwile tylko z matką.

Dobre chwile w domu to te, kiedy wyjeżdżał, choćby do sanatorium. Wtedy wszyscy czuliśmy się spokojniejsi, zrelaksowani. Po jego powrocie przychodziły widokówki od kobiet zapoznanych w uzdrowisku. „Od kochającej Lucynki” itp. Pewnie udawał tam kawalera albo wdowca, nie przyznawał się, że ma rodzinę. Ja też ostatecznie usunęłam go z naszej rodziny. Byliśmy kwita.

W podstawówce przynosiliśmy flety proste na lekcje muzyki. Uczyliśmy się grać kolędy i melodie ludowe. Matka chciała, żebym przy choince grała kolędy. Wygrywałam je, a wszyscy inni śpiewali. Najbardziej lubiałam *Lulajże, Jezuniu*. Nikt poza mną nie uczył się grania na żadnym instrumencie. To też były miłe chwile.

Raz, po tygodniowym pobycie poza domem, matka przywiozła mi dwie bluzki. Obie w żywych kolorach.

– Trochę cię rozwesela, dodadzą kolorów, jesteś taka blada – szczebiotała, niespodziewanie dostrzegając to, że dorastam.

Nasze dzieciństwo było smutne i chyba tylko Justyna umiała się śmiać w każdej sytuacji. Lubiała się wygłupiać. Matka mówiła, że wystarczy jej pokazać palec, a ona będzie się śmiać do rozpuku. Kiwała palcem, a Justyna pękała ze śmiechu. Wszyscy pękaliśmy. Było wesoło, bo jego nie było. W takich chwilach myślałam, jak fajnie mogłoby być nam tylko z matką. Zastanawiałam się, dlaczego ona jest z ojcem, skoro on sieje tyle zła?

Jego nigdy o nic nie prosiłam. To u matki wyblagałam pieniądze na biały materiał na spodnie. Wszyscy w liceum mieli białe dzwony, ja też chciałam. I miałam, dzięki niej.

Moje koleżanki wiele rzeczy dostawały od ojców. Chwały się wiecznymi piórami, bluzkami, kolczykami od nich. Zazdrościłam im, nie rzeczy, ale ofiarodawcy.

Przez całe życie miałam żal do matki, że od niego nie odeszła, że pozwoliła, żeby znęcał się nad nami wszystkimi. Przeżywaliśmy piekło, które było jej wyborem. Skazała nas na nie, dopóki nie zaczęliśmy żyć na własny rachunek, sama tkwi w nim ponad sześćdziesiąt lat. To jej wybór. Nasz nie. Dzieci nie mają wyboru. Zmuszono nas, nie pytano o zdanie.

Kupiłam znicze. Postanowiliśmy z Pawłem, że pojedziemy na grób pana Tadeusza. Wybierzemy się w sobotę, bo to kawał drogi, kilkadziesiąt kilometrów od nas. Często wspominałam naszego sąsiada. Jego żona zawsze zwracała się do mnie: „pani Gabrysiu”, pan Tadeusz tylko na początku używał tej formy, potem już „nie paniował”. Patrząc na ich dom, pusty, cichy. Wspominam...

– Co panu zrobić do picia, małą kawkę z mlekiem czy herbatę? – zapytałam go pewnego popołudnia, gdy do mnie wpadli. Pani Danusi nie musiałam pytać, była wierna kawie.

– Zrób mi, córuniu, tę swoją inkę z cykorią – odpowiedział.

Innym razem przyszedł do Pawła z jakąś męską sprawą, potrzebował śrubki czy czegoś, spojrzął na mnie i zapytał:

– Co ci jest, córuniu? Smutna jesteś? Chora?

– Nie, a dlaczego pan tak myśli?

– Bo nie witasz mnie z uśmiechem.

– Co też pan wygaduje, śmieję się całą sobą, nie widać?

– Teraz widać.

Pierwszy raz, gdy usłyszałam, jak nazywa mnie córunią, wszystko we mnie zadrżało. Osłupiałam. Pewnie wyglądałam, jakbym zobaczyła UFO. Potem przywykłam. W ten sam sposób zwracał się do swoich córek, czyli i mnie traktował jak córkę. Córunia, jakie piękne słowo. Ma niesamowitą moc, daje poczucie bezpieczeństwa.

* * *

– Jeszcze nie śpisz, kochanie? Śpij, przytul się do podusi. Dziś skończyłaś pięć lat, aż trudno uwierzyć... Tyle miałaś wrażeń, że nie możesz zasnąć, tak? – Mama przysiadła na moim łóżku, odgarnęła mi grzywkę z czoła, przykryła mnie kołderką. – Chcesz, zaśpiewam ci naszą kołysankę. Dzidzius też chętnie posłucha, nawet domaga się tego. – Delikatnie pogłas-kała swój brzuch.

– Skąd wiesz, że się domaga? – pytam z zaciekawieniem.

– Daje mi znaki. Chcesz się przekonać? – Wzięła moją rękę, przyłożyła do wielkiego brzucha.

– Ojej, naprawdę daje znaki!

– A może razem zaśpiewamy? Pomożesz mi?

– Benia się obudzi. – Spojrzałam na łóżko, w którym spała moja starsza siostra.

– Nie obudzi się, śpi jak zabita, a my będziemy śpiewały cichutko.

Zaczęłyśmy razem śpiewać.

Śpij, moja córeczko.

Śnij sny kolorowe.

Daj odpocząć warkoczykom,

sukieneczkom i bucikom...

Przestałam śpiewać. Mama ma taki piękny głos, lubiłam jej słuchać, wolałam, jak śpiewa sama. Trzymała mnie za rękę i cichutko nuciła dalej.

Luli, luli, lu.

Mama będzie tu.

Otuli cię pierzynką.

Śpij, słodka kruszynko.

Ciekawe czy będę miała braciszka, czy siostrzyczkę? Mama powiedziała, że za dwa miesiące się okaże. Ile to jest dwa miesiące?

Luli, luli, lu.

Mama będzie tu.

Otuli cię pierzynką.

Śpij, słodka kruszynko.

Jeszcze raz zerkam na prezent, który dostałam dziś od mamy. Oczy mi się same zamykają. Jutro znowu razem z Benią będziemy się bawiły moją nową...

Luli, luli, lu.

Mama będzie tu...

** * **

– Mamusiu, żyj długo, zawsze! Wszystkiego najlepszego i dużo zdrowia z okazji Dnia Matki. A to dla ciebie laurka, proszę. Robiliśmy w szkole.

– Dziękuję, moja córeńko. Laurka jest przepiękna. Napracowałam się, tyle wyklejania, wycinania. Postawię ją w pokoju, oprę o wazonik, żebym wciąż ją mogła widzieć. – Mama mnie tuli, całuje. Jest taka ciepła, pachnie moją mamą.

** * **

– Mamo, dostałam uwagę do dzienniczka, podpiszesz?

– Uwagę? Za co? – Podaję mamie dzienniczek, a ona wczytuje się w słowa pani. – Oj, nieładnie, moja panno. Naprawdę zrobiłyście koleżance coś takiego?

– Bo ta Krysia jest taka przemądrzała i straszna chwalipięta. A na dodatek kłamczucha. Nieraz okłamała nawet panią. Z Wiesią postanowiłyśmy, że za karę schowamy jej zeszyt z pracą domową. No i na lekcji pani poprosiła wszystkich o zeszyty, a Krysia nie miała. Tłumaczyła się, że odrobiła lekcje i że wzięła zeszyt, ale pani już jej nie uwierzyła. Chciała dać Krysi dwóję. Krysia się popłakała. I wtedy Kasia nas wydała. Musiała widzieć, jak chowamy zeszyt. No i dostałyśmy uwagę. Kasia też, za to, że od razu nie powiedziała, że to nasza sprawka.

Mama patrzy na mnie takim wzrokiem, że ze wstydu chcę się zapaść pod ziemię.

– Tak się nie robi, córeczko. Powinnaś się wstydzić. Przeprosisz Krysię.

– Wstydzę się, mamusiu. A Krysię już przeprosiliśmy. Pani zapytała nas, co zamierzamy. Same powiedziałyśmy, że przeprosimy, i tak zrobiłyśmy. Pani dała nam karę. Mamy posprzątać pracownię biologiczną, trzeba umyć wszystkie kwiaty, a jest ich chyba z tysiąc, mamo!

– Trudno, ponosicie konsekwencje swoich czynów. A kwiaty będą wam bardzo wdzięczne za kąpiel. Idzie wiosna, warto zrobić porządki i wokół siebie, i w swojej głowie...

* * *

– Pięknie grasz, Gabi. Cymbałki, to taki prosty instrument, a taki ładny ma dźwięk.

– Za dwa tygodnie jedziemy do Torunia na konkurs szkolnych zespołów muzycznych – mówię.

– O, naprawdę? Wspaniale! Będzie duża konkurencja? – dopytuje mama.

– Chyba duża, bo zjadą się zespoły z całego województwa. Będą chóry, zespoły fletowe, gitarowe.

– Cieszę się, że bierzesz w tym udział. – Mama podchodzi do mnie i głaska po głowie. Potem zakłada mi kosmyk włosów za ucho.

Na konkursie zdobyliśmy pierwsze miejsce w grupie zespołów muzycznych jednolitych, bo wykonawców podzielono na grupy. Osobno chóry i zespoły z mieszanymi instrumentami. Wróciliśmy późnym wieczorem. Rodzice stali na boisku, czekali na swoje dzieci. Mamę w moim ulubionym czerwonym płaszczu zobaczyłam już z daleka. Nie mogłam usiedzieć na miejscu, chciałam jak najszybciej wszystko jej opowiedzieć.

– Mamusiu, wygraliśmy! Zajęliśmy pierwsze miejsce! Dostaliśmy dyplomy i upominki. Fotograf z gazety zrobił nam zdjęcie. Będę w gazecie, fajnie, co? – Podskakuję, idąc z nią do domu. Trzyma mnie za rękę. Jej dłoń w środku jest przyjemnie ciepła.

– Gabi, nie chciałam nic mówić przed konkursem, żeby nie zapeszyć, ale wiedziałam, że zdobędziecie nagrodę. Tak pięknie gracie ty i cały zespół. Bardzo, bardzo się cieszę. Koniecznie musimy kupić tę gazetę. Jestem z ciebie taka dumna. Moja zdolna córeczka.

* * *

– Co czytasz, kochanie?

– To książka o przygodach podróżników w Amazonii. Chciałabym też tak podróżować, zbierać rośliny do badań, odkrywać nowe gatunki zwierząt...

– Rozmarzyłam się.

– Możesz być podróżniczką, Gabrysiu. Możesz być, kim zechcesz. Możesz robić różne rzeczy. Jesteś mądrą i zdolną dziewczynką, wszystkiemu podołasz. A ja ci zawsze pomogę, córeczko. Będę cię wspierać i cokolwiek postanowisz, będę po twojej stronie. – Mama pochyliła się nade mną, bo czytałam, leżąc na tapczanie, i całuje mnie we włosy. – Kocham cię, aniołku.

– Ja ciebie też, mamusiu.

* * *

– Uczysz się?

– Tak. Przelatuję po epokach, pisarzach. Już nic więcej nie wymyślę. Pójdę na maturę z tym, co mam w głowie, i już.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Uczyłaś się systematycznie przez cztery lata, a to najważniejsze. Teraz tylko małe powtórki, przypomnienia. Za parę dni matura stanie się ledwie wspomnieniem. – Mama się uśmiecha.

– Mamo, a co będzie, jak obleję?

– Co ty wygadujesz, córeczko? Dobrze się uczyłaś przez całe liceum, czytasz mnóstwo książek. Wiesz o wiele więcej, niż wymaga program szkolny. Jesteś mądrą panienką, dasz radę, wiem to na pewno.

– Nie zawiodę cię. Jasne, że zdam!

Śmiejemy się obie, przytulamy.

* * *

– Cześć, mamo! – wołam już z korytarza, bo słyszę, że nuci Suliko. Lubi tę piosenkę.

– Cześć, córeczko. Co tak późno wracasz? Ciemno już, martwiłam się.

- Mamusiu, poznałam kogoś!
- Kogo? – Odkłada robótkę, podchodzi do mnie. Widzę wielkie zainteresowanie w jej oczach.
- Pawła poznałam. Jest fajny, superfajny, mamusiu. Inny niż chłopcy, których znałam.
- Co znaczy inny?
- No, że jest opiekuńczy, że się nie zgrywa, nie popisuje, żeby tylko zaimponować. Nie mówi na swoją matkę „moja stara”, nie śmierdzi fajkami. I wiesz co?
- Nie wiem.
- Zaprosił mnie do kawiarni na lody, nie gdzieś w ciemny kąt w parku.
- Och, Gabi, na szczęście nie wszystkim w głowie jedynie ciemne kąty. Na świecie jest wielu fajnych chłopaków. Od dawna się znacie?
- Spotkaliśmy się dopiero kilka razy, ale od dziś jesteśmy oficjalnie parą.
- Cieszę się, córeczko. Widać na odległość, że jesteś zakochana. Aż oczy ci błyszczą – śmieje się mama, a ja z nią. – Zaproś go do nas, chcę poznać człowieka, dzięki któremu jesteś taka szczęśliwa.

* * *

- Mamo, planujemy z Pawłem się pobrać.
- Jak to, już?
- No, nie już, ale w ogóle.
- Skoro się kochacie i jesteś pewna, że to ten jeden jedyny, to wam kibicuję. Lubię Pawła. Jest miły, grzeczny, dobrze się do ciebie odnosi. W jego oczach widać, że jest zakochany w tobie po uszy. Takiego męża ci zawsze życzyłam...
- Dzięki, mamo.
- Kochanie, pamiętaj tylko, że nie musisz się spieszyć. Oboje jesteście jeszcze tacy młodzi, macie czas.
- Wiem, to tylko plany.
- Dobranoc, córuniu.

* * *

– Mamo, chcemy mieć dom kanadyjski, co ty na to? Inny niż wszyscy wokół.

– To wy będziecie w nim mieszkać, wychowywać dzieci, sprzeczać się, godzić. To będzie wasze gniazdko, nie moje. Ja będę was tylko odwiedzać.

Moja mama, dobra, łagodna, ciepła, serdeczna. Wiem, że mnie kocha, że chce mojego szczęścia. Jestem dla niej ważna. Czuję to każdego dnia.

* * *

– Gabi, teraz jesteś prawdziwą panią na włościach. – Mama podsumowuje obchód po moim nowym domu.

– Jestem taka szczęśliwa, mamusiu. Wszystko mi się w życiu udaje.

– I ja się cieszę twoim szczęściem, córeczko. Masz ślicznych urwisków i aż miło patrzeć, jak jesteście z Pawłem wciąż zakochani w sobie, mimo tylu lat po ślubie. W domu macie pięknie, nowoczesność obok twoich ulubionych staroci, tak jak zawsze marzyłaś. Jestem z ciebie dumna. I z siebie też, bo jesteś przecież moją córką.

Siadamy z mamą w mojej nowej kuchni. Pijemy kawę w porcelanowych filiżankach. Podłożyłam pod nie jasne serwetki, dobrane kolorystycznie do zastłonki.

* * *

– Mamusiu, dobrze, że to właśnie ty jesteś moją mamą. Nie wyobrażam sobie innej mamy. Taką chcę cię mieć, w każdym calu, nic do zmiany.

Siedzimy naprzeciw siebie, podajemy sobie dłonie poprzez stół, jak zakochani w kawiarni. Jestem szczęśliwa, że mieszkam obok jej domu...

– Gabi! – woła mnie Paweł.

– Tu jestem, w ogrodzie, na huśtawce. – Głos mi się łamał.

– Gabi, kochana moja, długo tu siedzisz? Myślałem, że pracujesz w ogrodzie. Boże, jesteś cała zziębnięta, aż usta masz sine. Źle się czujesz? Płakałaś! – Paweł zabrał mnie z huśtawki, otoczył ramieniem, zaprowadził

do domu. – Co się stało, kotku? W listopadzie siedzieć godzinę na huśtawce w samym swetrze to chyba nie jest zbyt mądre! Co się stało? – dociekał mój mąż.

– Zamyśliłam się, rozmarzyłam...

– O czym? Wypijesz herbatę z imbirem i wszystko mi opowiesz.

– Myślałam o tym, jak pięknie mogłoby być. Że ziemia jest wielką jabłonią...

– Znam to, Gabi. „Starczy owoców, wystarczy cienia, dla tych, co pod nią się schronią”[3] – kontynuuje znany tekst Paweł.

– Przecież tak dobre jest życie...

– Wiem, kochanie, my jesteśmy pod taką jabłonią. Każdy może pod nią być. Problem mają ci, co nie chcą.

Paweł sprawia, że myśli zawracam na moje Mazury. Tu moje miejsce i mój dom. A obok mojego, drugi – tak bardzo przyjazny. Pani Danusia wróciła na stare śmieci. Zamieszkała ze swoim wnukiem, który niedawno się ożenił.

Cieszę się z takiego obrotu spraw, wprost szaleję z radości. Cierpiałam na myśl, że dom pani Danusi spotka podobny los jak nasz stary. Zastanawiałam się, kto kupi jej posesję, jacy ludzie – cudowni jak poprzedni właściciele czy zupełnie inni. Bałam się tej niewiadomej. Teraz jestem spokojna. Przez wszystkie nasze mazurskie lata zdążyłam poznać rodzinę naszych sąsiadów, dzieci nieustannie ich odwiedzały. Z Pawłem polubiliśmy wszystkich.

Z podwórka obserwuję wielki ruch u sąsiadki. Podjeżdżają samochody z pakami płytek, paneli, z pojemnikami farby. Ekipa ociepla ściany, naprawia dach. Trwa remont na całego, a wraz z nim moja wielka radość.

Listopad. Długie wieczory, mało słońca, ciemne dni, wilgoć. Paweł fascynuje się sportem w telewizji, ja znikam w świecie książek. On wieczorami majsterkuje, naprawia, co zepsułam, ja piekę szarlotki i gotuję jesienne zupy, z cebulową na czele – koniecznie na białym winie.

– Jesień z szarugami to czas zup. Dziś cebulowa, mężu mój – mówię z naciskiem na „mężu mój” i nalewam zupę do miseczek.

– Super, a co ugotujesz jutro?

– Nie wiem jeszcze, może krem z pora według przepisu Grażki? – proponuję.

– Może być, lubię krem z pora.

– Hm... nie możemy codziennie jeść tylko zup. Może upiekę rybę – zastanawiam się głośno.

– Mogę jutro kupić po pracy. „Prosto z mazurskich jezior”, taką reklamę ustawiono przed rybnym.

– Kup. Koniecznie z mazurskich jezior, nie z azjatyckich rzek – zaznaczam.

Po obiedzie powiedziałam Pawłowi, że Koniarka skończyła pisać książkę dla mnie. Przysłała mi, przeczytałam ją.

– Nie mówiłam ci, bo najpierw chciałam sama zobaczyć, jak Grażka to zrobiła.

– Szybko jej poszło. Niedawno rozmawialiście, jak ma wyglądać książka, a tu, proszę, gotowa – zdziwił się Paweł.

– Bo ona jest wulkanem energii. Kochany postrzeleniec.

– I co, podoba ci się? – dociekał Paweł.

– Tak. Wszystko jest opowiedziane tak, jak chciałam. Od najwcześniejszego dzieciństwa, odkąd tylko pamiętam, do dziś. Podczas czytania na zmianę płakałam i się śmiałam. To niesamowite, wszystko nagle jest w jednym miejscu, już nie po kawałku, w mailach do niej. Czytałam przez kilka godzin, jak byłeś w pracy. Gdyby ktoś zechciał wydać tę książkę, to... wiesz co...?

– Tak?

– Wtedy otworzę ją gdzieś w środku, chuchnę i zatrzasnę na wieki. Wstawię do biblioteczki między setki naszych książek i nigdy już do niej nie zajrzę. Zamknę część swojego życia na zawsze, zacznę patrzeć przed siebie i na to, co tu i teraz. Musiałam zamieszkać na Mazurach, żeby to wszystko tak właśnie się potoczyło. Żeby smutne minione życie ktoś przeniósł z mojej głowy między kartki.

– Moje kochanie. – Paweł przyciągnął mnie do siebie, przytulił. – Zrobisz tak, razem tak zrobimy. Gabi, a zauważyłaś, że tu, na Mazurach,

jesteś pogodna, nawet nie masz swoich napadów kaszlu? Pamiętasz, w starym domu, jak się zdenerwowałaś, miałaś je aż do odruchu wymiotnego.

– Zauważyłam. Dobrze się czuję w naszym miejscu. Z tobą. Pokochałam nasze Mazury. Idę odpisać Grażce, musimy się spotkać, postanowić, co dalej z książką.

Włączam laptopa, loguję się do poczty.

Grażko, dziękuję Ci bardzo. Przeczytałam. Jestem szczęśliwa! Teraz musimy wydać tę książkę. Bo wiesz co? Myślę, że jest bardzo wiele takich osób, tysiące, setki tysięcy. One, jak ja do tej pory, są same ze swoimi problemami w swoich domach, nieporadne, zagubione, bezsilne i wstydzą się głośno o tym mówić. Wkoło tyle się gada, jak budować w dziecku wiarę w siebie, jak zapewniać je o miłości, o wyjątkowości. Nam, dzieciom z DDA, dziesiątki lat temu wpojono, że jesteśmy do niczego. Nikt nas nie kochał, kiedy najbardziej tego potrzebowaliśmy...

Mamy po czterdzieści, pięćdziesiąt i więcej lat. Czy to znaczy, że już dla nas wszystko stracone? Na świecie wiek emerytalny się wydłuża, a my nie potrafimy w tym świecie zaistnieć, bo lęki i brak wiary w siebie już na starcie zabijają w nas każdą myśl o zmianie i polepszeniu swojego życia. Boimy się wyjść z domu. Bo syndrom DDA jest naszym doradcą. Ja sama długo żyłam w nieświadomości, nie wiedziałam, gdzie z tym iść i czy w ogóle jest ktoś lub coś, co może mi pomóc. Sama spisałam się na straty. Nie wiedziałam, że da się pogodzić tamten zły czas z obecnym.

Masz talent, Grażko, pewnie nie tylko ja Ci o tym mówię. Każdy to zauważa, kto z Tobą koresponduje. Przyjadę do Ciebie. Może wymyślimy temat następnej powieści?

Mam do Ciebie jeszcze jedną prośbę związaną z książką. Powiem, jak się spotkamy, wpadnę do Ciebie jutro. Chodzi mi o jedno zdanie, musisz je dopisać na końcu. Koniecznie!

Pa, do jutra.

PS O moich zbiorach, zbiorkach kochanych dopisz! ☺

Siedziała przy komputerze, bo od razu mi odpisała, że bardzo jej miło, ale nie jestem obiektywna w ocenie jej stylu pisania, i że jeszcze oczywiście można coś dopisać. Tylko dwa zdania, aż to do niej niepodobne, zawsze się rozpisuje. Zresztą jutro się spotkamy, nie ma co dziś marudzić.

– Paweł?

– Tak?

– Wiesz, że Grażka pisze wiersze?

– Nie wiem, ale to do niej podobne – zaśmiał się mój mąż.

– Przysyłała mi to i owo w mailach. Posłuchaj, akurat jeden znalazłam.

Gdzie można zimę przeczekać?

W twych silnych, ciepłych ramionach.

I patrzeć w wesoły ogień,

Marząca, wpółuśpiona.

Wiosną ramiona otworzysz,

Wylecę jak motyl na świat.

Radosna, w nowej sukience

Warkocze splecie mi wiatr.

Obejrzę pąki na drzewach.

Uniosę się ponad łąkę.

A gdy usłyszę śpiew w polu,

Przywitam się ze skowronkiem.

Zobaczę, jak zboża rosną,

Co ptaki mają w swych gniazdach.

Wieczorem, zmęczona, siądę

I zasnę z głową w gwiazdach.

Poranna rosa mnie zbudzi.

Promienie skrzydła osuszą.

Tak będę latać i latać,

*Aż prace żniwne ruszą.
A zimą, tak jak rok temu,
Bezpieczna, cicha, wtulona,
Znów będę marzyć o lecie.
Jak dobrze w twoich ramionach...*

– No, no. Taki raczej ekologiczny – podsumował Paweł.

– Lubi naturę, jak ja. Lubi las, moja kochana dzikuska. Nie chcę, żeby sprzedała swoje piękne miejsce. Planują zamieszkać w Londynie. Co ja bez niej zrobię? Muszę jej to wybić z głowy. Niech zajmie się pisaniem, odludzie temu sprzyja.

Niedawno spotkałam się z Teresą. Trochę ją zaniedbałam, bo ostatnio żyłam książką. Jeszcze wiele spraw musiałam sobie przypomnieć, pisać o nich Grażce, bo miała mnóstwo pytań.

– Gabi, a co będzie, gdy twoi rodzice przeczytają to wszystko? Chcesz tego? Co czujesz? Nie żal ci ich? – pytała Teresa.

– Nie, nie żal. A im było mnie żal? Są dorośli, silni, niezależni, wolni, mogą zrobić wszystko, co chcą. Ja byłam mała, słaba, chorowita, zależna tylko i wyłącznie od nich. Zafundowali mi dzieciństwo pełne strachu, siniaków, poniżenia... Nie możesz sobie wyobrazić, jak wtedy chciałam być kochana, tulona, uspokajana. Byłam zupełnie sama, mimo że wśród najbliższych. To samo pytanie mogę ja zadać teraz im: „Nie żal wam było mnie?”.

– Wiem, Gabi, wiem.

– Tereska, to nie jest moja zemsta. Takie uczucie nie jest mi znane. Od samego początku, od pomysłu, żeby spisać moje wspomnienia, myślałam: „ja wam jeszcze pokażę”, nie „zemszczę się”. Choć czułam, że to będzie rodzaj satysfakcji. W miarę upływu czasu i takie myślenie mnie opuściło. Nie ma we mnie nawet krzty chęci zemsty. Nigdy jej nie żywiłam, nawet wtedy, gdy to wszystko się działo. Bo ja... zawsze uciekałam. Również w snach. Nie potrafiłam się bronić. I tak mi zostało. Przebaczenie i zapomnienie to też dwie różne sprawy. Takich przeżyć się nie zapomina, a mimo to można przebaczyć. Osiągnęłam spokój.

– Czym właściwie jest dla ciebie ta książka? Co ci daje teraz, gdy masz wszystko zebrane w jednym miejscu?

– Zrobiłam to nie tylko dla siebie, dla tak zwanego oczyszczenia organizmu z toksyn, lecz także dla innych osób. Dla takich jak ja. Najpierw chciałam, żeby to oni ją przeczytali, matka, ojciec. Teraz jest mi obojętne, kto ją przeczyta. Już wkrótce przestanę rozmawiać o moim minionym życiu. Zdaję sobie sprawę z tego, że wspomnienia o nim zawsze będą czyhać, ale to już zamknięty temat. Natomiast wykorzystam to, czego ono mnie nauczyło. I będę mówić o tym problemie społecznym. Jak tylko zajdzie potrzeba, wręcz będę o tym krzyczeć. Przemoc stosowana wobec dzieci w rodzinach pijackich jest ściśle związana z syndromem DDA. Bez pierwszego nie zaistnieje drugie.

– Wszystkiemu dasz radę, Gabi, bo teraz wiesz o sobie dużo więcej.

– Dość uciekania. Coraz lepiej wychodzi mi mierzenie się ze wszystkim, co na początku wydawało się trudne. Zrobiłam pierwszy krok. Będę się kształcić, Teresko! I nie przeraża mnie ta myśl! – Prawie podskoczyłam, stwierdziwszy ten fakt.

– To wspaniała decyzja, Gabi. Jaki kierunek cię interesuje?

– Chciałam pomagać dorosłym osobom, które miały dzieciństwo podobne do mojego. Bo kto lepiej je zrozumie niż ja? To była pierwsza moja myśl, ale... zrezygnowałam z pomysłu. – Uśmiechnęłam się; mam tyle pozytywnej energii, mimo listopada, za którym przecież nie przepadam. – Byłabym zbyt blisko moich przeżyć.

– Więc co?

– Interesuje mnie ekologia, wegetarianizm, zdrowa żywność, akupresura. I jeszcze coś, takie tam... Widzisz, jest wiele opcji. Dużo siedzę w internecie, szperam, sprawdzam kursy, warsztaty i kierunki studiów też. Uściślam swoje marzenia, zawężam krąg. Jeszcze nie wiem, co wygra. A o książce i pomysle dokształcania się kogoś poinformowałam. – Wyciągnęłam komórkę i przeszukałam wiadomości. – Znalazłam tę od psycholożki. – Posłuchaj: „Jestem z Pani dumnaaa! W takich chwilach widzę sens pracy. Pani Gabrysiu, jest Pani bardzo dzielną kobietą!”.

– Ja też tak uważam, Gabi. Trzeba iść naprzód, robić, co ci w sercu gra, nie oglądać się na nic i na nikogo. Pójście do psychologa to była bardzo

dobra decyzja. Najlepsza.

– A co u was nowego?

– Jakoś się kręci. Powoli, bo taka pora, że ludzie wolą siedzieć przed telewizorem niż przy piwie w barze. Ale nie narzekam, wieczory są gwarne. Każdemu zwolnienie tempa dobrze robi. Mam teraz więcej czasu dla siebie. Gabi, każdy ma swój najtrudniejszy okres w życiu, tylko inaczej go przechodzi, po swojemu. Z Jerzym przeżyliśmy taki czas, jak dowiedzieliśmy się, że nie możemy mieć dzieci. Przetrwaliśmy to tylko dlatego, że byliśmy razem. Nasz problem i to, co przeżyliśmy, tylko nas wzmocniło, jeszcze bardziej się do siebie zbliżyliśmy. Ty też nie jesteś sama. Idzie lepsze, Gabi, i trzymaj się tej myśli. Są ludzie śliczni, ale kompletnie pozbawieni rozumu. Są bardzo bogaci, ale samotni i nieszczęśliwi. Inni mają dzieci, które są dla nich strasznym ciężarem. Jeszcze inni nie mogą ich mieć, a są szczęśliwi, spełnieni na innej niwie. Jedni mają kochających rodziców, ale co dnia walczą ze śmiercią. A inni nie mają rodziców takich, jakby chcieli, ale mają za to wszystko inne, co jest w życiu ważne. Długo by wymieniać przykłady. Bo...? No, Gabi, bo co?

– Bo nie można mieć wszystkiego? – Przekrzywiłam lekko głowę, pytając, bo nie wiem, czy o to chodziło Teresie.

– Mądra dziewczynka.

– Dziękuję, że cię mam, Teresko. Muszę lecieć. Wpadnijcie do nas z Jerzym, zatęskniłam za jego kawałami. Pomyśl, kiedy moglibyście nas odwiedzić, i zadzwoń. Wtedy też zaproszę naszych ludków leśnych. Razem wyperswadujemy im wyprowadzkę.

– Okej, niech chociaż odłożą ją na kilka lat. Jak się trochę wszyscy zestarzejemy i nie damy już rady skakać u nich przez ognisko. Bo z nas jeszcze młode wilki, nie?

– Faktycznie, jeśli sprzedadzą swój leśny raj, gdzie będziemy witać i żegnać lato? A majówki? Ich siedlisko jest idealne na takie imprezy. Tam nikomu nie przeszkadza nasze nocne fałszowanie piosenek.

Pożegnałyśmy się. Głowę rozpieęły mi pozytywne myśli. Wiem, że jeszcze nieraz się zawaham, jednak tymczasem o tym nie myślę. Już się nie boję.

Życie każdego to zbiór elementów. Elementy to osoby, miejsca, hobby, smaki, rzeczy, uczucia, kaprysy, polubienia... mnóstwo tego. Niektóre zbiory, jak w matematyce, mają części wspólne. Ja też mam swój życiowy zbiór i wspólne elementy ze zbiorami innych. Zbiory mój i Pawła pokrywają się idealnie. No, może nie idealnie, lecz w dziewięćdziesięciu pięciu procentach. Mikołaj, Monika, Bogusz, Oleńka, Teresa, Grażka, pani Danusia – oni wszyscy są zbiorami, z którymi wspólnota daje mi spokój i bezpieczeństwo. Do nich biegnie wiele moich myśli. Dobrych, radosnych. Zaczynam też dostrzegać wspólne elementy w zbiorach moim i Bernadety, co daje mi premię na dalsze życie. Jeszcze Jakub i Justyna, przecież nie jesteśmy sobie zupełnie obcy; wszystko jest możliwe, wiem, że zbliżymy się do siebie, to tylko kwestia czasu i chęci. I jeszcze moje dwa słodkie zbiorki: Nela i Oliwia. Są pełne energii, fantazji, miłości. To zbiory bajeczne.

– Babciu, u ciebie jest najlepiej, bo możemy same wychodzić na dwór. U nas nie możemy, bo jest przestępstwo – tłumaczyła mi Oliwka.

– Oj, Oliwka, chyba chodziło ci o przestępców – poprawiła ją Nelka. Jest już taka duża, skończyła osiem lat.

– Przecież mówię! – złościła się malutka. – Ktoś może małą dziewczynkę popchnąć albo zbić – kontynuowała swój wywód.

– Dziewczynki, u nas też nie wolno wam samym wychodzić poza ogrodzenie. A łąbyzy są wszędzie, nie tylko w dużych miastach.

– Babciu, ale u ciebie możemy biegać na bosaka po trawie i jeść na dworze. Możemy rano wyjść na podwórko w piżamach! – stwierdziła Nelka.

– No to bierzemy soczki, bloki i kredki i idziemy na dwór malować babci ogród, dobrze?

– Okej! – wykrzyknęły jednocześnie.

– Babciu, ja umiem malować motylki – chwaliła się Oliwka.

– Naprawdę? To świetnie, bo dziś lata ich mnóstwo nad kwiatami. Możesz któregoś podejrzeć, jak usiądzie na kwiatku, i namalować identycznego – proponowałam wnuczce.

Moje słodkie dziewczuszki, to one są moimi motylami. Można je tylko kochać. Nie wyobrażam sobie, jak można uderzyć takie maństwo, nawet podnieść na nie głos. Przecież to też ludzie, co z tego, że mali...?

– Babciu, ładny? – Oliwka pokazała namalowanego motyla.

– Piękny! Myślałam, że prawdziwy usiadł na twojej kartce. Obie ślicznie rysujecie. Moje zdolne dziewczynki.

– Nelka, kim chciałabyś być, jak będziesz dorosła? – zapytałam starszą wnuczkę.

– Chciałabym robić to, co tata Mikołaj – odpowiada bez zastanowienia.

– Wiesz, babciu, tata czasem na Nelkę mówi „moja asystentka” – wtrąciła Oliwka.

– Chciałabym robić ogrody na komputerze, jak tata Mikołaj. Potem jeździć do domów i wsadzać rośliny – kontynuowała Nela. – Tata Mikołaj często mnie pyta, czy pasują takie kwiaty, jak zaplanował. Pokazuje mi na komputerze i ja decyduję – opowiadała mi z dumą starsza wnuczka.

– No to rzeczywiście jesteś jego asystentką. Jak będziesz dorosła, założycie firmę Mikołaj i Córka.

Śmiałyśmy się wszystkie trzy.

– A ja zostanę piosenkarką – stwierdziła Oliwia.

– Super, to ja będę kupować płyty z twoimi piosenkami, dobrze? – spytałam.

– Okej – odpowiedziała mała, nie unosząc nawet główki znad nowego rysunku.

Zaplanowałam pojechać do miasta. Paweł wziął dwa dni urlopu. Powiedział, że nareszcie zrobi porządek w garażu. Samochód brudny jak diabli. Postanowiłam, że umyjemy go, jak wrócę. Zresztą to auto terenowe, wypada, żeby było nieco zabłocone.

Szczytno. Jest duży ruch, setki osób gdzieś pędzą. Przechadzam się wolno po moim mieście. Przyglądam się ludziom i to raczej niedyskretnie. Wzrokiem wyłapuję tylko niektórych dorosłych. Ilu z nich to DDA? Na pewno są. Patrząc na ich twarze, zaglądam w oczy.

Jakaś para idzie w moim kierunku. Obserwuję ich. Ona coś mu tłumaczy, on nic nie mówi, słucha. Ona mówi bardzo spokojnie. Kroczą wolno. Wyglądają normalnie.

Za nimi dwie panie w moim wieku. Każda w jednej ręce ma torbę z zakupami. Rozmawiają, wolną ręką co rusz któraś gestykuje. Jakie są ich twarze, wesołe czy smutne? Bo ja wiem...? Wyglądają zwyczajnie.

Zbliża się dwóch panów. Jeden pali papierosa.

– Panie, na zaćmę trzy lata się czeka. – Aha, rozmawiają o polskiej służbie zdrowia, ulubiony temat wszystkich rodaków. Czy mają coś dziwnego w rysach, w oczach? Nie, niczego szczególnego nie zauważam.

Zbliżam się do wiaty autobusowej. Na ławce siedzą trzy panie. Nie rozmawiają ze sobą. Wszystkie spoglądają na mnie, ja na nie też. Prowadzą mnie wzrokiem. Wpatruję się bezczelnie w ich twarze. Jakie są, pogodne czy smutne? Znow nic nie wyczytuję.

O, zbliża się para pięćdziesięciolatków. Trzymają się za ręce. Z Pawłem tak samo chodzimy. Kochają się.

Łowię dalej. Idzie jakaś pani, sama. Muszę się mocno skupić na jej twarzy, bo pędzi jak szalona. Zwalniam. Czy jej twarz coś mówi? Nic nie widzę.

Dziesiątki osób i nic niepokojącego. Ilu z nich żyje jak ja, i TU, i TAM? Ja też wyglądam jak oni, normalnie. A kobiety? Przyglądam im się. Wyglądają jak trzeba, porządnie ubrane. Czy któraś jest bita? Ile z nich doświadcza przemocy psychicznej, która dzień po dniu zabija poczucie własnej wartości? Ile z nich w ogóle nie bierze pod uwagę odejścia od sadysty, bo ma osobowość zależną?

W tym momencie odruchowo myślę o mojej matce. Przyspieszam kroku. Wchodzę do przypadkowego sklepu, gdzie kupuję chleb, masło, biały ser, karton mleka, po czym pędzę do samochodu. Wyjeżdżam z miasta, kierując się w stronę Pasyimia. Pilnuję się, żeby nie jechać za szybko, bo Szczytno to przecież miasto policji. Dobrze, że Paweł nie zamknął bramy po moim wyjeździe. Z impetem wjeżdżam na podwórko. W locie łapię reklamówkę z zakupami i wbiegam do domu. Rzucam wiktuały na stół i nie rozbierając się, wyciągam ładowarkę z szuflady, bo po drodze komórka dawała mi znaki, że zaraz padnie. Dopiero gdy ją podłączam, wystukuję numer.

- Halo? – Słyszę.
- Cześć, mammo.
- Kto mówi? – pyta matka.
- Gabi. Co u was słysząc? – pytam.
- Nic. Jak zawsze – odpowiada.
- Wiesz, dziś po dwudziestej będzie piękny film na jedyńce, obejrzyjcie z ojcem.
- No, nie wiem. Wiesz, jaki on jest, tylko polityka go interesuje.
- Spróbuj go namówić. Wiele lat temu przeczytałam książkę, potem nakręcili film. Widziałam go na jakimś festiwalu, a dziś jest powtórka. Obejrzyjcie go, mammo. To o wielkiej miłości i chorobie dwojga starszych ludzi. Ładny, ciepły film, z mnóstwem pięknych emocji.
- Zobaczę – odpowiada matka.
- Wiesz, mammo, chciałam ci coś powiedzieć.
- To mów.
- Mammo... kocham cię. – Cisza. Słyszę tylko dwa nerwowe chrząknięcia. – To cześć, mammo, teraz muszę już lecieć. Pa, pa, zadzwonię za kilka dni.

Czuję się lekka i szczęśliwa. Tylko dlaczego płaczę? Jak to dlaczego? Bo mam oczy w mokrych miejscach, tak mówili Mikołaj i Bogusz, gdy byli mali i wstydzieli się łez. A może to nie Gabi płacze, tylko Gabriela, ten zatwardziały, pamiętliwy babsztyl? Czy to znaczy, że wreszcie coś zrozumiała?

Jest sobota, jadę do Grażki z lasu. Na tylnym siedzeniu leży wielkie pudło czekoladek z wiśniami. Największe, jakie znalazłam w sklepie.

- Cześć. – Przytulamy się.
- Nareszcie przyjechałaś. Tylko maile i SMS-y, nie sądzisz, że czasem chcę cię ujrzeć na własne oczy, Gabi?
- Masz tak samo daleko do mnie, jak ja do ciebie – bronię się.

Dziś taki ładny dzień, postanowiłyśmy posiedzieć w altance, wyłożyłyśmy ławkę kocem czterokrotnie złożonym, żeby nasze kościste

tyłki miały komfort. Przyniosłyśmy z domu kubki i herbatę w termosie.

– To były dla mnie najtrudniejsze dni, tu, na Mazurach. Wszystko od nowa przeżywałam. Tyle wspomnień, rozdrapywanie blizn... Wiesz, ile razy ryczałam jak bóbr? O tyle rzeczy mnie wypytywałaś. Musiałam grzebać w pamięci, wszystko powróciło. Jestem potwornie zmęczona tym tematem. Nieraz musiałam wypić szklaneczkę whisky. Innym razem brać leki na sen. Ale teraz wszystko zostało już napisane, nic nie muszę mówić, tłumaczyć, wspominać. Czuję się lżej, to miłe uczucie. Jakby oczyszczenie. Koniec! *Finito!*

– *Finito*, Gabi! – Przybliżyłyśmy piątkę.

– Ależ tu cisza. U nas też niby nie ma hałasu, ale nie aż tak.

– Cisza nie jest niema, nie pamiętasz? – mówi Grażka. Pijemy parującą herbatę z cytryną. – Ciii... Słyszysz? – Pokazuje palcem na las. – Dzięki. To właśnie dlatego nasza cisza nie jest niema. Zaczekaj, przyniosę lornetkę.

Pobiegła do domu. Ona chyba nie potrafi chodzić normalnie, cały czas biega, mówi, że nawet po warzywa do ogródka biegnie. Wraca z lornetką, przykładą ją do oczu, szuka, reguluje ostrość.

– Jest! Mam cię, panie doktorze! – Podaje mi ją. – Spójrz na tę wielką sosnę.

– Gdzie?

– Tam, gdzie ten gruby konar, który wyrasta w prawą stronę, a wyżej wisi taka złamana sucha gałązka. Widzisz?

– Widzę! – Cieszę się, że namierzyłam dzięcioła.

– Od dziewięciu lat stuka w tę sosnę. Jest z nami od początku. To nasz dzięcioł.

Jeszcze przez chwilę spaceruję lornetkowym wzrokiem po lesie, w prawo, w lewo. Wychodzę z altanki, patrzę na jedyną otwartą przestrzeń z łąkami, na horyzont.

– Bardzo wyraźnie widać stąd domy we wsi. I drogę. Widzę pędzące samochody. Z Warszawy na Mazury – mówię.

– No coś ty, w grudniu na Mazury?

– Przecież dopiero listopad!

– Grudzień, listopad, jeden diabeł. Szaro, buro i ponuro.

– Fajna taka lornetka. Kupię Pawłowi pod choinkę, przy okazji będę miała i ja.

Wyzarłyśmy z pudełka większość czekoladek. Rozmawiamy jak zwykle o wszystkim. Śmiejemy się, żartujemy. Lubię tu przyjeżdżać.

– Grażko, nie wyprowadzajcie się do Londynu. Nie wyobrażam sobie, żeby ciebie nie było blisko. – Obejmuję ją ramieniem.

– To na razie plany. Po Nowym Roku zaczną się prace na lotnisku. Jeśli za dwa lata ruszy, to może nie będzie się nam opłacało wyjeżdżać? Ależ to wspaniała sprawa dla Szczytna, prawda? Nie będę się tłukła na lotnisko do Gdańska czy Modlina, pojedę rowerem na nasze. Przypnę go łańcuchem do płotu, będzie na mnie czekał, jak wrócę z Londynu. – Przyjaciółka się śmieje. – Myślisz, że za rower też trzeba będzie opłacić parking?

– Nie mam pojęcia, lecz zawsze jest szansa, że jakiś miejscowy podrzuci cię wozem drabiniastym – żartuję.

– Jasne, jak Jagnę z *Chłopów*, na gnoju. Gabi, będziemy latać w niedzielę do Londynu, do mojego syna na kawę. Ja i ty. Może do Gdańska też będą loty, polecimy sobie na Jarmark Dominikański. Chwila i jesteś, nie to co autem. – Rozmarzyła się, patrząc w niebo.

– Loty krajowe pewnie będą bardzo drogie – sprowadzam ją na ziemię.

– Przystaniemy się opychać czekoladkami z wiśniami, będziemy zbierać na bilet do Gdańska, co? – proponuje.

– No nie wiem, dasz radę bez nich żyć? Przecież dla nas to jak fajki dla palacza. Ja chyba nie piszę się na takie wyrzeczenie, już teraz wiem, że mnie przerasta.

W ciszy patrzymy w niebo, śledzimy smugę powstającą na nim, którą maluje lecący właśnie samolot. Wiem, że obie mamy głowy zajęte podobnymi marzeniami.

– Powinni dać zniżki na bilety dla miejscowych za ewentualny hałas, nie sądzisz? – Przerывam milczenie.

– Właśnie, a najlepiej bilety za darmo, bo będą przecież latać nad moim niebem. Kury mogą mi się przestać nieść – dodaje moja przyjaciółka.

Zawsze się u niej odprężam. Ładuję się pozytywną energią, radością.

– Zachwycasz się moim ogrodem, a sama masz tak pięknie. Pewnie niejedna osoba ci to już mówiła.

– Bo podglądam u ciebie. – Grażka zwija język w rurkę i pokazuje mi, jak moje wnuczki, kiedy się posprzecząją.

Znowu milczymy, patrzymy na dzięcioła, już bez lornetki.

– Pamiętasz tę książkę angielskiej malarki, którą kiedyś obie czytałyśmy? – Przerywam znów ciszę.

– Tak, pisała o swoim dzieciństwie, bardzo późno, bo miała już dorosłe dzieci.

– Właśnie. Książka zapadła mi w pamięć jak mało która. Ona przeżyła gorsze rzeczy niż ja, bo wykorzystywano ją seksualnie. Musiała usługiwać kolejnym facetom swojej macochy, była głodziona i więziona. Straszna historia. Ale kiedy na końcu swojej opowieści stwierdziła, że macocha jej nie złamała, jak miała to w zamiarze, zazdrościłam jej jak cholera. Ja czułam się złamana, pomimo że nikt tego nie planował. To dokonało się samo. Ta malarka napisała, że dziś czuje się spełniona na każdej niwie. Kocha i jest kochana, maluje, czuje się wartościową kobietą. Boże, jak ja jej wtedy zazdrościłam. Myślałam, że gdybym ja napisała taką wspomnieniową książkę, końcowe zdanie byłoby w rodzaju: „Jestem nikim”. Teraz już tak nie myślę. Spotkałam na swojej drodze osoby, które wybiły mi ten koszmar z głowy. Ty jesteś w tej grupie.

– Gabi, dość płaczu. Od dziś wal do przodu, nie rozdrabniaj się, nie analizuj. Przebaczenie to wybór. Ty je wybrałaś. Co było, minęło. Ciesz się małymi rzeczami. Dzięciołem, wiewiórką. Spójrz, jedno jabłko zostało na jabłonce. Właściwie sama skórka, bo środek wydziobały ptaki. Zobacz, ile kretowisk jest w ogródku. Z tego akurat się nie cieszę... he, he. Skubane łążą mi pod jabłonkami, kopią obok agrestu i porzeczek, które niedawno kupiliśmy.

– Krety ponoć są pod częściową ochroną.

– A moje agresty i porzeczki pienne nie? Dałam za nie prawie stówę! Wandale futrzane jedne. – Po chwili dodaje: – Już teraz nie masz żadnych smutków w głowie, rozumiesz? Ja ci to mówię, rzeźbię ci to zdanie

w pamięci. Tatuuję! I ładnie wyglądasz w tych rudych włosach. Idealnie wkomponowujesz się w jesień. Jesienna, wesoła pani... Życie trzeba przyjmować lekko, z przymrużeniem oka. Brać na klatę, co daje. W twoim życiu ty jesteś najważniejsza. W moim ja. Trzeba być trochę egoistą. Życ dla siebie. Przecież nie masz żadnych problemów, twój dom nie wyleciał w powietrze po wybuchu gazociągu, nie zalała cię fala powodziowa, nie czeka proces sądowy, eksmisja, nie ściga mafia. Rozumiesz?

– Tak jest. – Zasalutowałam do pustej głowy. Hm... pustej, bo gołej, czy pustej, bo pustej?

– Najlepiej nie myśleć o id, ego, superego ani że mamy korę mózgową, dopaminę, drogi piramidowe itp. Czysta chemia i anatomia.

– Tak byłoby najlepiej. Jednak to właśnie dzięki mojemu zagłębianiu się w świadomość, nadświadomość i wszystkie mechanizmy ich działania rozpracowałam siebie. Teraz wiem dużo więcej. Wiem, jak te twory działają i jak mam z nimi postępować. Czym je żywić, a czym nie.

– Wybrałaś już kierunek studiów?

– Najpierw musimy dokończyć sprawy z naszą książką, studia tyle czekały, to jeszcze trochę mogą. Nie martw się, już prawie zdecydowałam, czego chcę się uczyć. Tylko czasem dopadają mnie wątpliwości, wiesz, studia w moim wieku... sama nie wiem.

– Każdy wiek jest dobry, żeby inwestować w siebie. Jakiś facet niedawno skończył studia, a miał osiemdziesiąt lat!

– Czyli życie przede mną! – roześmiałam się.

– Spokojnie, na pewno wybierzesz coś fajnego. Najważniejsze, że w ogóle chcesz się uczyć i że masz zapal.

– No, zapalu mi nie brakuje, wzięło mnie jak nigdy.

– Hej, a może razem w coś uderzymy, co?

– Żartujesz?! – pytam, a właściwie stwierdzam fakt. Moja przyjaciółka potrafi świetnie podpuszczać.

– Myślisz, że byłybyśmy najstarsze na roku? – zastanawia się na głos.

No i zaczęło się fantazjowanie. Dwie zaprzyjaźnione babcie na studiach. Nasze wyobrażenia ubawiły nas po pachy. Nie pierwszy raz i nie ostatni.

Kocham życie!

Zbieram się do domu. Grażka zaczęła zamykać za mną bramę, gdy w lusterku wstecznym dostrzegam, że macha ręką. Odkręciłam szybę.

– O co chodzi?

– Gabi, chciałaś, żebym na zakończenie książki dodała zdanie, czy coś?

– Przypomniała sobie.

– Tak się zagadałyśmy, że całkiem zapomniałam, że mam cię o to poprosić! Po pierwsze chciałabym, żebyś jakoś ładnie napisała o naszym dzisiejszym spotkaniu, okej?

– Okej.

– A po drugie jest jedno zdanie, które powinno się znaleźć w książce. Wyślę ci je za chwilę SMS-em. Powinam ci je po prostu powiedzieć, ale boję się, że się rozplączę. A przecież już mi nie wypada beczeć, odkąd skończyłam porządki ze sobą, nie?

Do domu wracam w dobrym humorze, jak zawsze po spotkaniach z moją kochaną dzikuską z lasu. Nie mam żadnych zmartwień. Chyba wypiszę sobie tę myśl wielkimi czerwonymi literami i przykleję na lodówce. Tak na wszelki wypadek, jak spróbuje mnie napaść chandra.

Przechadzam się po moim ogrodzie. Jest już uśpiony. Czeka na zimę. Owocki płożącej irgi są pięknym, kolorowym akcentem wśród szarości. Berberysowe podłużne jagody też. Wielkie, zasuszone kwiaty hortensji wystają ponad wszystko inne. Specjalnie ich nie ścięłam po przekwitnięciu, bo suche też są urocze. Niby późna jesień, a ja mam tyle barw w ogrodzie. To zasługa iglaków. I Mikołaja, mojego nadwornego ogrodnika. A ile jeszcze róż! Nawet pąki mają. Były przymrozki, więc już się nie rozwinają, lecz wciąż są takie ładne. Dzisiaj zapowiadali w nocy lekki mróz. Róże znowu zmarzną. Mrożone róże...

„Powiedz, że mnie kochasz, mamo” – wstukuję w komórkę i robię wyślij.

Mazury, 19 listopada[4] 2013 rok

Epilog

Nie wybieramy swojego życia. Wiele naszych doświadczeń nie pasuje do wyobrażenia o nim – szczęśliwym. Spotykają nas smutek, cierpienie, ból i to często za sprawą najbliższych nam osób.

Nie wybieramy sobie dzieciństwa, w którym brakuje miłości. Nie wybieramy rodziców, którzy sami nie potrafili znaleźć miłości dla siebie. A brak miłości mocno nas rani, zostawia w nas lęk, bezradność, poczucie niskiej wartości. Jednak to nie jest koniec świata. Nasza droga wciąż trwa i możemy odnaleźć nasze szczęście... lecz nie sami.

Tak jak pośród ludzi cierpimy z braku miłości, tak razem z nimi musimy tej miłości szukać. Potrzebujemy siebie nawzajem. Inni ludzie są dla nas lustrami. Odbijamy się w nich. Obrazy są czasem skrzywione, zamazane, nie pokazują dobra, które w sobie mamy. Lecz tylko inna osoba poprzez prawdziwe odzwierciedlenie może nas utwierdzić w przekonaniu o istnieniu piękna, które w sobie przeczuwamy.

Tak jak w związku doświadczamy zranień, tak też ciepło, miłość i zrozumienie mogą nas uzdrowić, pomóc pokochać siebie i odkryć swoją wartość. Tą drugą osobą może być przyjaciel, członek rodziny, czasami terapeuta. Może to być też ten ktoś, kto jest przyczyną naszego cierpienia. Ból związany z odrzuceniem, zaniedbaniem domaga się ukojenia, które przychodzi wraz z przebaczeniem – tym, którzy nas zranili. Jeżeli ciągle walczymy z przeszłością, nie możemy budować przyszłości. O tym decydujemy sami. To my decydujemy, kiedy podnieść głowę i z pełną determinacją zacząć szukać miłości. Bo nie wybieramy naszego życia, ale wybieramy drogę, którą podążamy.

Szczęście zdobywamy, ucząc się miłości.

psycholog, Barbara Ślusarczyk

Podziękowania

Bardzo dziękuję pani Barbarze Stanisławczyk, pisarce, dziennikarce i reportażystce, dzięki której powstała ta książka. To pani Barbara zachęcała mnie do pisania, a potem, po zapoznaniu się z próbkami moich umiejętności, dała mi pozytywną opinię i nieprzerwanie podtrzymywała we mnie wiarę w siebie oraz namawiała do wysłania tej książki do wydawnictwa.

Piotrowi Senderowi, pisarzowi i mojemu koledze, dziękuję za wszystkie dobre słowa i za to, że pozwolił mi zadrećcać go tyłoma pytaniami oraz cierpliwie na nie odpowiadał.

Dziękuję pani psycholog, Barbarze Ślusarczyk, za wszystkie nasze długie rozmowy, a także konsultacje na temat syndromu DDA. Jest dla mnie bardzo ważną osobą.

Z wielkim ciepłem w sercu dziękuję mojej Przyjaciółce i bliźniaczej duszy, Danusi Garbani z Francji, oraz koleżance polonistce z mojego rodzinnego miasta, Ani Lenzion. Obie od lat wmawiały mi, że powinnam pisać.

Mojej miejscowej przyjaciółce, Irenie Klonowskiej, dziękuję za trzymanie ręki na pulsie tej książki oraz za jej spokój, łagodność i opanowanie, co zawsze działa na mnie kojąco i uspokajająco.

Specjalne podziękowania, wraz z wyrazami miłości, kieruję do Marka, mojego męża – za cierpliwość, bo od wielu miesięcy najczęstszym widokiem, jaki oglądał, była jego żona stukająca w klawiaturę komputera.

Dziękuję Radkowi i Przemkowi, moim synom, za ciągłe otrzymywanie od nich dowodów miłości i wielką zachętę do pisania, oraz synowym, Marzenie i Agacie, za to, że są z nami. Ponadto Adze za wspólne zgłębianie zawłości gramatycznych. Jeszcze jedno specjalne podziękowanie dla Przemka, za wszelką pomoc w trudnych dla mnie sprawach internetowo-komputerowych i że mimo dzielącej nas odległości zawsze potrafił coś

zaradzić na różne problemy spowodowane moją znikomą wiedzą informatyczną.

Moim Rodzicom dziękuję za życie, bo dzięki temu mogę przeżyć pisarską przygodę, o której od lat marzyłam.

Powieść ta w przeważającej mierze jest dziełem mojej wyobraźni, dlatego proszę czytelników o niedoszukiwanie się w niej rzeczywistych postaci i wydarzeń oraz potraktowanie jej jak fikcję literacką.

Kołysanka oraz wiersz *Gdzie można zimę przeczekać* są mojego autorstwa.

Grażyna Mączkowska

- [1] M. Konopnicka, *Śmierć Kościuszki*.
- [2] A. Asnyk, *Daremne żale*.
- [3] J. Kofta, *Jak pięknie by mogło być*.
- [4] 19 listopada – dzień, w którym zakończyłam pisanie, to także Międzynarodowy Dzień Zapobiegania Przemocy wobec Dzieci (przyp. autorki).

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz